

Zbigniew Dolecki

MUSZLA EGEJSKA

MUSZLA EGEJSKA

Jakże piękne były plaże Hellady, kiedy lądowaliśmy na nich, by orzeźwić się ich wonnym powietrzem w drodze z Kasjopei do Aldebarana. Te wymyślone przez mieszkańców słonecznych brzegów nazwy wydawały nam się piękniejsze od naszych. Dlatego nieraz, wysyłając meldunki do wartowni planetarnych, strzegących naszego gwiazdowego królestwa, wprawialiśmy w zdumienie dyżurnych, meldując: „powracamy z Kasjopei”...

Ludzka rasa zamieszkująca tę małą planetę witała nas bez lęku, przyjmując jako dobrych bogów (co prawda była w tym i zasługa transformacji). Ich wyobrażenie krainy ciemności lub szczęścia, do której idą zmarli, było dla nas czymś niewiarygodnym, budzącym niepokój. Niektórzy z nas wyrażali chęć obdarzenia tych młodszych braci, chlubiących się posiadaniem pojazdów o drewnianych kołach i żaglowych statków, niektórymi chociaż z naszych osiągnięć technicznych. Ale życie tych istot było zbyt piękne, byśmy mieli wprowadzać w nie zamęt. I tak przecież znali wojnę, znali siłę metalu i ognia, potrafili wyrządzać sobie krzywdę. Lecz nawet i to, co było w ich życiu złe, wydawało się darem bogów, było poezją, pojęciem nieznanym nam i trudnym do zrozumienia...

Oto istoty, które potrafią żyć, chociaż są jeszcze – z naszego punktu widzenia – tak dziecinne w rozwoju, chociaż nie obce im są klęski, których widocznie uniknąć nie może żadna planeta.

Patrzyliśmy na nich z dziwnym uczuciem zazdrości i smutku. My byliśmy już dalej od nich. Nieświadome, szczęśliwe dzieci bawiące się swymi mieczykami i urządzające wyprawy po Złote Runo. Nawet śmierć była dla wielu z nich – piękna. Umierali z uśmiechem, jak wojownicy z niezmiernie starej bajki, przez nas zapomnianej...

Ukrywając nasze statki wśród zielonych gajów, otaczając je powłoką niewidzialności, przybrani w ich kształty, w ich ciała, szliśmy pomiędzy nich, słuchaliśmy ich filozoficznych dyskusji (wcale nas nie śmieszyły, choć wiemy już od setek tysięcy lat o zbędności filozofii). Prawda odchodziła od nas z każdym stuleciem coraz dalej. Prawdy nie potrafił pochwycić i rozszyfrować żaden, choćby najlepszy Łowca Czasu, żaden Mózg Ultraneuronowy, najbardziej nawet precyzyjny instrument. Pozostało nam tylko abstrakcyjne wyobrażenie... które także staraliśmy się odsuwać w myślach, oraz wiara, że niektórzy z nas chociaż przed śmiercią pojną coś...

Zazdrościliśmy wszystkim mieszkańcom złotych brzegów i wysp rozsianych jak paciorki na łagodnej szyi morza. I starcom pochylonym nad kamykiem wyrzuconym przez fale, albo pijącym pachnący napój z glinianych dzbanów. Ogorzałym od wiatrów żeglarzom wychodzącym na pochyłe pokłady swych wątlých, lecz hardych stateczków. I młodym chłopcom ścigającym ze śmiechem po zboczach wzgórz swe długowłose dziewczyny.

Kobiety. To było dla nas objawienie, raczej cień objawienia, bo tajemnicy tej nie byliśmy w stanie objąć. To była największa tajemnica tej zadziwiającej planety. Potrafiliśmy zrozumieć, to znaczy odkryć prawa biologiczne, fizyczne decydujące o istnieniu dwóch płci. Lecz owo zrozumienie niewiele nam dało. To było niezwykle. Nie spotkaliśmy się z tym na żadnej ze znanych nam planet.

A znaleźliśmy ich bardzo wiele. Wszędzie życie stawało się tak, jak stają się obłoki na niebie, lub fale na powierzchni oceanów. Po prostu energia zawarta w nadmaterialnej, choć ściśle związanej z materią esencji danej planety, koncentrowała się w pewnych rytmicznych okresach i wylaniała z siebie materialne istoty żyjące. Nie tylko istoty inteligentne, predestynowane do objęcia władzy nad planetą, lecz i wszelkie inne, mniej doskonałe, wcielone w najrozmaitsze formy. Zarówno u nas, na superplanecie SV8M, jak i na wszystkich znanych nam światach, obowiązywało żelazne prawo sezonów. Jedna generacja żyjących istot umierała jednocześnie, przez pewien czas trwał okres odpoczynku i regeneracji sił osieroconej planety – i oto niemal jednocześnie pojawiła się nowa generacja. Dziedzicząc po poprzedniej twory jej (odeszłej w niebyt) inteligencji. Co kilkanaście generacji następował skok jakościowy. Inteligencja rosła. Naszych zamierzchłych początków nie znaleźliśmy, nie wiedzieliśmy jaki był sens owych manifestacji, które dawały nam byt...

Dzieciństwo, młodość, starość – z tym spotkaliśmy się dopiero tu, na Ziemi. To dziwne, że choćby z tego powodu nie założyliśmy dotąd na tej planecie stacji badawczej. My byliśmy od razu gotowi i wiedzieliśmy, kiedy przyjdzie nam zniknąć. Nie mogliśmy zniknąć wcześniej na mocy własnego wyboru, jak dane było Ziemianom. Jeszcze jeden powód do zazdrości (dopiero tu nauczyliśmy się używać tych pojęć: „zazdrość”, „niepokój”, „zdziwienie”, „smutek”...)

Nie było też obawy, że zniszczymy nasz gatunek na zawsze, to było po prostu niemożliwe. Zarówno my, jak i nasza planeta – matka – oczywiście przy zachowaniu proporcji czasowych – byliśmy nieśmiertelni.

Jakże krótkie w porównaniu z naszym było życie ludzi – i świadomość tego budziła w nas całkiem nowe uczucie: smutek. Powracaliśmy z jakiejś wyprawy i nie poznawaliśmy miasta, którego gośćmi byliśmy tak niedawno, jego ulicami chodzili już inni ludzie, czasem zastawaliśmy tylko gruzy. Spoza wzgórz wylaniały się nowe kształty, nowe budowle. Patrząc na siebie w milczeniu, wsłuchiwalismy się w spokojny szmer wypełniający wnętrza naszych statków. Zatrzymywaliśmy wzrok na barwnych, jak ziemskie kwiaty, tarczach zegarów kontrolnych, w których jedno zagaśnięcie i rozbłyśnięcie oznaczało śmierć generacji na Ziemi.

Zapraǳnęliśmy gorąco ocalenia jednej choćby istoty z tej pięknej planety. Ocalenia – dla nas. Żeby nie przeminęła jak obraz w kosmowizografii, jak nikły ogień mijanej w przelocie konstelacji. Do konstelacji można było jeszcze kiedyś powrócić. Do umarłego człowieka – nie.

Czas był czczony na Ziemi jako najbardziej okrutny z bogów. Zapraǳnęliśmy zadrwić

z niego – my sami niemal jak bogowie – wyrwać mu jedną choćby ofiarę, przedłużyć jej czas, chociaż naszego przedłużyć nie byliśmy w stanie. Nie wiedzieliśmy, czy eksperyment się uda. Choć nasi uczeni sądzili, że jest to niemal pewne. Uzyskaliśmy zgodę Rady naszego Związku Planetarnego. I oto wyruszyliśmy znów na Ziemię, aby zabrać z niej najdoskonalsze z jej istnień – kobietę. Dlaczego kobietę? Bo była dla nas tajemnicą. A tajemnice są właściwą treścią bytu wszystkich inteligentnych mieszkańców wszechświata. Czym byśmy karmili naszą egzystencję, gdyby nie dalekie, śmiałe wyprawy w Przestrzeń? Stałe poszukiwanie. Poznawanie. Choćby na chwilę przed Zniknięciem.

...Wylądowaliśmy nad zieloną zatoką. Na dźwięcznym piasku odcisnięte były stopy młodej kobiety. Nasze kryształowe przybliżacze ukazały nam jej obraz. Stała na cyplu wysuniętym w morze i jakby zaklinała nieznane bóstwo. Była piękna. Kiedy nas ujrzała, zaczęła krzyczeć głośno, zrozumieliśmy: ona nas jeszcze nie знаła, nie byliśmy podobni do znanych jej ludzi, choć przecież mieliśmy ludzkie ciała.

– Czy pragniesz udać się do królestwa bogów? – zapytał Zo, kierownik naszej wyprawy.

Milczała długą chwilę, aż z jej twarzy znikł lęk, a pojawiła się jakby nadzieja.

– Tak, ale razem z nim.

– Z kim? – zapytał Zo.

– Z moim mężem, Orfeuszem. Urzekła go najgorsza z czarownic, Aglaja. Pragnę go ocalić. Zabierzcie nas razem, o wysłańcy bogów! Zlitujcie się nad biedną Eurydyką...

Stała przed nami patrząc błagalnie, w dłoni trzymała muszlę. Wtedy Zo nacisnął guzik usypiacza i nasza zdobycz osunęła się na piasek. Ponieśliśmy ją na powietrznym dywanie w stronę statku. Pod moją nogą zachrzęściła muszla, która wypadła z dłoni Eurydyki. Obejrzałem się jeszcze, fale przyływu zmywały ślady pozostawione na piasku.

Eurydyka została naszą królową (choć nie w tym znaczeniu, jakie ma to słowo na Ziemi), została raczej naszą maskotką. Ale najpierw muszę opowiedzieć historię Orfeusza, która wiąże się ściśle z historią Urowadzonej.

* * *

...Eurydyka przebudzona, rozglądająca się z przerażeniem po wnętrzu naszego statku, patrząca na mnie... (mnie bowiem przypadła rola towarzyszenia jej, tylko ja jeden z całej załogi nie powróciłem do naszej normalnej postaci). Musiałem ją stopniowo przygotować. Doprawdy nie wiedziałem jak mam postępować, choć przeżyłem już prawie połowę swego życia (374 obroty naszej planety, obracającej się 19,11 razy wolniej od Ziemi...). W szybach iluminatorów przesuwwały się galaktyki, mój nerw indukcyjny łączący mnie z Wielką Wspólnotą przynosił mi najważniejsze wiadomości z SV8M, a ta dziwna, piękna istota o długich, lśniących w srebrnym

światle włosach, zaciskała dłonie i powtarzała bez przerwy jedno zdanie: „Orfeuszu, gdzie jesteś?” – ślepa na czas i przestrzeń, na migotanie gwiazd, na niezwykłość sytuacji. Milczałem, zrozumiałem bowiem bardzo szybko, że nie jesteśmy w stanie, mimo całej naszej ogromnej wiedzy i posiadanych środków, zabić w niej pamięć o tym człowieku. Gdy podzieliłem się mym przekonaniem z Zo, przekazaliśmy wspólnie meldunek do Rady. Czekaliśmy. Eurydykę trzeba było znów uśpić. Ponieważ nie chciała przyjmować – już uprzednio – pokarmów – musieliśmy wstrzyknąć jej zasilające kondensaty XZ. Ta podróż wbiła mi się w pamięć szczególnie mocno (choć my zawsze pamiętamy wszystko). Nigdy tak długo nie przebywałem w bezpośredniej bliskości człowieka... A do tego – kobiety. Wprowadzenie Eurydyki w stan snu było konieczne i z innego powodu. Mogła się przecież postarzeć w czasie podróży. Ryzyko było zbyt poważne (nie znaleźliśmy reakcji ludzkich organizmów, tak różnych od wszystkich nam znanych). Mikroklimat statku mógł stanowić dostateczną ochronę jedynie dla nas.

Odczuwałem coś w rodzaju niepokoju, a więc uczucie, jakie ogarnia nas (wiem to na podstawie pozostawionych nam przez Poprzedników szpul pamięciowych) jedynie przed Zniknięciem. Nie wiem dlaczego tak na mnie działała ta drobna postać, pogrążona we śnie, delikatna, jasna, okryta srebrnym światłem.

Ta mała planeta, na której gościliśmy tak chętnie, odkrywała nam nowe kategorie piękna. Przedtem piękny był dla nas kwiat, minerał, lub kształt jakiegoś pozbawionego inteligencji bytu ożywionego. Piękne były obrazy natury, za każdym niemal razem inne, jakie napotkaliśmy na penetrowanych planetach. Ale nigdy nie był piękny rodzaj panujący, istoty inteligentne. Jak gdyby inteligencja i piękno wykluczały się nawzajem... To dziwne, dlaczego w wypadku tej planety było inaczej. Żaden znany nam gatunek istot inteligentnych nie uważał się za piękny, podlegający jakimkolwiek kryteriom estetycznym, nigdzie nie spotkaliśmy wyobrażeń własnych kształtów fizycznych rzeźbionych w kamieniu, palonych w glinie, jakie oglądaliśmy na tej zadziwiającej planecie.

Nasze widowiska (staram się używać waszych pojęć, tak jak używam waszego języka, o mieszkańcy Ziemi, dla których piszę tę relację...) nie ukazywały nigdy nas. Oglądaliśmy w nich jedynie przemieniający się wszechświat. Zarówno makro, jak i mikrokosmos... Oglądaliśmy dramatyczne sceny z życia cebów (tego pojęcia nie umiem zastąpić...) z planety ROCSV4. Pasjonowaliśmy się – jeśli to słowo można w ogóle zastosować w stosunku do nas – wyścigiem bliźniaczych planetoid, dążących do jakiegokolwiek punktu grawitacji... Albo wschody i zachody (zawsze inne) Słońca-Wielkich Matek, w najróżniejszych systemach planetarnych. A więc dramaty dokonujące się poza nami. Nasze istnienie nie było i nie jest dramatem, jest po prostu sobą, tym czym jest. To tylko wy, mieszkańcy Ziemi, zawsze pragniecie czegoś ponad to, co posiadacie. Stwarzacie sobie stale bogów, pragniecie przy ich pomocy wznieść się wyżej ponad swój rodzaj, poza przydzielony wam czas i miejsce we

wszechświecie.

Ale wracam do tej chwili, gdy w odosobnionej strefie szybko mknącego ku SV8M statku, otrzymałem od Zo intron (coś w rodzaju przekazu telepatycznego), że Rada poleciła zabrać z Ziemi człowieka o imieniu Orfeusz, które to zadanie zlecone zostało statkowi patrolowemu, znajdującemu się w danym czasie najbliżej tej planety. Zabrawszy na pokład Orfeusza, miał ruszyć w ślad za nami. To mnie zadziwiło. Czy nie prościej było zrezygnować z Eurydyki i wziąć zamiast niej jakąś inną ziemiankę? Ale Zo powiedział mi, że Rada, chce przeprowadzić pewien eksperyment. Sądzi bowiem, że przy pomocy tego eksperymentu uda się odsłonić rąbek tajemnicy, jaką stanowiła dla nas Płeć.

Nadeszła chwila eksperymentu. W okrągłej sali Wielkiej Rady, której sufit oświetlały barwne, żywe latarenki z planety SXS 13 poruszające się po liniach krzywych zgodnie ze swym biorytmem, znalazła się Eurydyka otoczona kręgiem cylitów (wszyscy rzecz oczywista, przybraliśmy kształty ludzkie). Eurydyka była nieco oszołomiona po tak długim śnie, nie zdołał jej całkowicie orzeźwić nawet eliksir ESM, zwykle bardzo skuteczny. Oprócz Rady byli obecni tylko dowódcy statków, na których pokładach przybyli ziemscy goście, oraz zastępcy dowódców (ja byłem zastępcą Zo). Za chwilę miał pojawić się Orfeusz. Jego „porwanie” z Ziemi nastąpiło bez żadnych trudności. To on sam szukał nas, dowiedziawszy się od jakiegoś pasterza, że w czasie zniknięcia Eurydyki nad zatoką unosił się „niebiański wóz”. Orfeusz był twórcą wiary w nadziemskie pochodzenie istot ludzkich, nie dziwiło go więc to, co się stało z Eurydyką. Nie pomogły miłosne czary Aglai. Zbudował szałas nad zieloną zatoką i czekał. Czekał na nas. Tak. Orfeusz był mądrym człowiekiem, mimo że mylił się w wielu rzeczach. Choćby biorąc nas za opiekuńcze bóstwa umarłych, uważając naszą planetę za krainę błogosławionych duchów. Był mądry, a jednocześnie naiwny, aż dziwne jak mógł w sobie łączyć jedno z drugim. Tego, co uczynił, nie byłem w stanie pojąć aż do chwili... ale o tym później. Orfeusz był odważny. Nie lękał się niczego. Tylko los Eurydyki budził w nim niepokój, nie był pewien dokąd odeszła. I chciał ją zachować. Bez względu na swoje winy wobec niej. Chciał być z nią. Na Ziemi, albo w Królestwie Śmierci.

Rozległ się sygnał elektronowy. Coś było nie w porządku. Jedna ze ścian rozsunęła się i pojawił się Orfeusz w towarzystwie nieprzystosowanych Przewodników Gmachu. To było fatalne niedopatrzenie (a może nieznane, celowe posunięcie ze strony Rady). Przecież w naszej naturalnej postaci wyglądaliśmy dla oczu ludzkich przerażająco. Orfeusz stanął na środku sali i ujrzał Eurydykę, ukrywającą w dłoniach twarz. Zbliżył się do niej cylita Axar (który miał przewodniczyć eksperymentowi) i powiedział.

– Sprowadziliśmy cię tu, aby dać ci szansę odzyskania Eurydyki. Spójrz na nią, jest pośród nas.

Eurydyka ochłonęła z szoku, jakim był dla niej widok Przewodników Gmachu (zniknęli

błyskawicznie na znak aany przez Axara). Patrzyła na Orfeusza szeroko otwartymi oczami. Była w nich radość. Wyciągnęła rękę, Orfeusz cofnął się o krok.

– Oszukaliście mnie. Nie jesteście mieszkańcami nie bios, jesteście synami Tartaru. A ja myślałem, miałem nadzieję, że Tartar nie istnieje. Że strzegące go harpie są tylko bajką. A ta Eurydyka nie jest moją Eurydyką. Ona nie jest prawdziwa, tak samo jak i wy. Co zrobiliście z nią? – Stał twarzą w twarz z Axarem – Czy ty jesteś władcą tego królestwa pozorów? Czy jesteś Królem Piekieł?

Zanim nastąpiła odpowiedź Axara, spojrzałem na Eurydykę. Była blada, wpatrywała się nieruchomymi oczami w Orfeusza.

– Nie jestem królem piekieł, człowieku. Znajdujesz się na planecie SV8M, pośród istot z innego świata. Czy rozumiesz, Orfeuszu? Twoi bracia – ludzie nie są jedynymi żywymi istotami pośród gwiazd. A to jest – Axar obrócił oczy na smukłą postać, stojącą cicho wśród nas

-

Eurydyka, twoja żona.

Orfeusz milczał chwilę, patrząc na Eurydykę, wreszcie potrząsnął głową.

– Nie wierzę wam. Jeśli nawet nie władacie Tartarem, to jesteście złymi bogami. Zabraliście mi tę, którą kocham. Nie wiecie, co to znaczy kochać.

– Synu Ziemi – w głosie Axara było zdumienie – przecież porzuciłeś tę, która...

– Nie rozumiecie nic – krzyk Orfeusza rozbrzmiał głośno w sali. – Nie wiecie czym jest pragnienie ciała, a czym prawdziwa miłość. Czy nie kochając Eurydyki, czekałbym na was?...

Postąpił krok w stronę Tej, którą Miłował Lepiej (tak zapisałem jego niezrozumiałe dla mnie wtedy jeszcze uczucie), a która patrzyła wciąż milcząca, szeroko otwartymi oczami.

– Jeśli jesteś naprawdę Eurydyką, chodź ze mną. Oni muszą nas uwolnić. Muszą nas zwrócić naszej ojczyźnie, Ziemi. Chodź, wracamy do domu, Eurydyko – wyciągnął rękę.

Stała bez ruchu. Odpowiedziała dopiero po chwili.

– Orfeuszu. Nie wróć na Ziemię. Sama prosiłam ich, aby nas z niej zabrali. Tam jest Aglaja. Tam długo płakałam.

I czekałam na ciebie – opuszczona – przez długie, gorące noce. Zostań tu, Orfeuszu. Tu może będziemy szczęśliwi – głos jej się załamał – Jak mogłeś, jak mogłeś nie poznać mnie, Orfeuszu?

Zbliżył się i chciał ująć jej dłoń, ale ona cofnęła się o parę kroków, szlochając cicho. Wtedy zatrzymał się, twarz jego zbladła.

– Eurydyko, Aglaja jest tylko snem. Jedynie ty jesteś prawdą. Teraz już nic ani nikt nie zdoła nas rozdzielić.

Pójdź, Eurydyko.

Upłynęła jeszcze chwila (wszyscy przypatrywaliśmy się w napięciu rozgrywającej się przed

nami scenie... To było ciekawsze od wszystkiego, co było nam dotąd znane) wreszcie padło jedno krótkie słowo, wypowiedziane cichym głosem przez Tę, Która Nie Chciała Wrócić Na Ziemię.

Orfeusz pochylał głowę. Nie spojrzał już ani razu na stojącą z dłońmi przyłożonymi do oczu Eurydykę, dopóki ktoś z nas nie wyprowadził go z sali. Eksperyment był zakończony.

Eurydyka została pośród nas. Nie wymieniła już ani razu imienia Tego, Który Powrócił Na Ziemię. Nigdy nie przekazywaliśmy jej żadnych wiadomości o jego losach. Choć wiedzieliśmy o wszystkim, co czynił do czasu swej śmierci. Zdobył na Ziemi wielką sławę, która trwała wieki, jego imię stało się nieśmiertelne. Tak samo jak i imię Eurydyki. Sławił bowiem Utraconą jako tę, która pozostała bo musiała pozostać. Wziął winę na siebie. To było nieoczekiwane. Niezrozumiałe. Nasza planeta u przemieniła się w jego pieśniach w krainą Wiecznych Ciemności. Orfeusz głosił, że nadejdzie kiedyś dzień, gdy wszyscy umarli ujrzą znów światło. Co przez to rozumiał? To światło było obecne w jego wierszach. Tak przynajmniej twierdzili ci, którzy je znali. Nawet gdy zaginęły wszystkie jego pieśni (Ziemia stawała się planetą z każdym wiekiem bardziej niespokojną), nie zanikła pamięć jego wiary, jego nadziei. A także pamięć tego, czym była dla niego Eurydyka.

Umarł, zamordowany okrutnie i potajemnie (nie wiadomo, czy kryła się za tym mordem nienawiść Aglai, której czar był bezsilny po powrocie Orfeusza na Ziemię, czy też usunęli poetę kapłani oficjalnych bogów, czy też kryło się za tym coś jeszcze innego). Nie udało nam się stwierdzić tego, bowiem nie uznaliśmy za konieczne poddawać Orfeusza bezustannej obserwacji. Być może, iż przeszkodziłoby temu, co się stało.

Jego przyjaciele odszukali ciało i odprawili żałobny obrzęd – spalili je na stosie (musieli się z tym ukrywać przed władzą, gdyż kremacja była rzeczą zakazaną). Prochy wrzucili do morza, tak jak poeta sobie tego życzył. Orfeusz kochał morze. Stanowiło ono dla niego symbol nieskończoności. Było też świadkiem jego szczęścia...

Przebywałem w pobliżu Eurydyki. Zaliczałem się do tych nielicznych, którzy mogli ją widzieć bezpośrednio. Wszyscy inni oglądali ją i słyszeli tylko za pośrednictwem wideofonii.

Tego wieczoru, kiedy spotkaliśmy ją z Zo, spacerującą nad brzegiem jeziora, w ogrodzie specjalnie dla niej stworzonym, kiedy spojrzawszy na nas powiedziała nieoczekiwanie: „wiem, że on umarł” – tego wieczoru, gdy oświetleni łagodnie drżącym blaskiem Nocnych Słońc szliśmy przez ogród pełen zapachu Ziemi (woni kwiatów, morza i rozgrzanych kamieni), wtedy właśnie poczułem w sobie ten ból, który nie był bólem, a czymś co zdawało się wyobcowywać mnie z samego siebie. Zatrzymałem się wtedy i powiedziałem.

– On nie umarł cały, Eurydyko. Tak jak my umieramy. Gdybyś...

Ręka Zo zacisnęła się mocno na moim ramieniu. Przerwałem więc patrząc, jak piękna postać Królowej oddala się i niknie w głębi alei.

Czym właściwie była dla nas ta istota, tajemnicze dziecię dalekiego, maleńkiego globu? Chyba najważniejsze byłoby tu słowo: „maskotka”.

Z początku dla uczonych naszego Związku Planetarnego Eurydyka stanowiła jakby okaz niezwyklego zwierzęcia. Poddawali ją (o czym nie wiedziała) różnym badaniom. Nie odkryli jednak tajemnicy Płci, choć zrozumieli wiele jej właściwości. Teoria nasuwająca się sama przez się, iż natura stworzyła na skutek jakiegoś wybryku, tajemniczego wyskoku, istoty dwupłciowe na małej, zagubionej planetce, jedynie w celu umożliwienia kontynuacji życia (gdyż sama planeta była martwa), wydawała się nazbyt prosta, niemożliwa do przyjęcia. Zaprzeczała jej chociażby historia tych dwojga istot, których losy stały się obiektem naszych badań.

Istniała jakaś tajemnica, niemożliwa dla nas do uchwycenia. Bo co znaczyły choćby słowa padające tak często na Ziemi: „kochać”, „miłość”. Co się za nimi kryło? Dlaczego Orfeusz nie chciał pozostać na SV8M, choć mógł dzięki temu być z tą, którą kochał? Dlaczego Eurydyka nie chciała z nim powrócić, dlaczego pozwoliła mu odejść?

Eurydyka wędrowała przez dni i lata (które upływały bez udziału jej świadomości, kurczyły się w jej wewnętrznym czasie), niby przez długie, pachnące aleje swego ogrodu. Siadywała nad brzegiem zatoki, fale jeziora lśniły w srebrnym blasku Gwiazdy – Matki, czasem obserwując migotanie fotonowych statków kosmicznych w przestrzeni, lecz przeważnie wpatrując się bez ruchu w grę srebrnych fal. Niemal za każdym razem widząc jej drobną, pochyloną jakby pod ciężarem obcego nieba, błakającą się samotnie pośród kolorowych drzew postać, doznawałem owego dziwnego uczucia, które nie było mi znane przed przybyciem Eurydyki na naszą planetę.

Przypominałem ją sobie stojącą nad brzegiem morza, kiedy zbliżyliśmy się do niej owego dnia (ziemskiego dnia) przed wielu, wielu laty. A później, we wnętrzu statku, gdy czuwałem obok niej, pogrążonej we śnie, a za szybami przesuwały się odległe gwiazdozbiory...

Pragnąłem nieraz zapytać: „o czym myślisz, Eurydyko?” – lecz powstrzymałem się pamiętając dobrze, że nie wolno mi zadawać takich pytań. Wszyscy otaczający ją, a więc i ja, mieli ściśle instrukcje co do zachowania się wobec Będącej Pośród Nas, jak ją nazywaliśmy. Członkowie Rady Cylitów byli przekonani, biorąc pod uwagę fakt, że pamięć człowieka jest obliczona na nie więcej niż sto lat życia, iż Eurydyka z czasem zapomni, kim była. Mimo, że fizycznie czas stanął dla niej w miejscu. Wszystko zdawało się potwierdzać ich przekonanie.

Eurydyka zapytana w sześćdziesiątym roku swego pobytu na SV8M (a więc prawie po tysiąc dwustu latach ziemskich) kim jest, odpowiedziała.

– Jestem Będącą Pośród Was.

A gdy Axar zadał jej pytanie: czy pamięta Ziemię, odpowiedziała pytaniem.

– Co to jest Ziemia? (twarz jej była idealnie spokojna).

Axar wyjaśnił wówczas.

– To mała planeta w systemie RA03317, którą kiedyś odwiedzaliśmy, zanim nie zniszczył

jej kosmiczny kataklizm. – Patrzyliśmy uważnie. Twarz Będącej Pośród Nas nie drgnęła ani na chwilę.

Podobne próby stosowano niejednokrotnie. Zawsze z podobnym skutkiem. Nie dziwiło tej, która była kiedyś Eurydyką nawet jej szczególne, odmienne usytuowanie w naszym świecie, jej inność. Nigdy też nie spojrzała na żadnego z nas (zawsze w jej obecności przysposobionych) jak kobieta. Wygasło w niej wszystko, co było ze świata, który opuściła tak dawno.

Eksperyment udał się – orzekli Cylici (pomimo niemożności rozszyfrowania tajemnicy płci). Ja jednak miałem wątpliwości, którymi zresztą nie dzieliłem się z nikim. Zastanawiałem się nieraz nad różnymi drobnymi faktami, myślałem często o Eurydyce (zawsze nazywałem ją w myślach dawnym imieniem). Musiałem jednakże być ostrożny. Wyłączałem za każdym razem Obwód Myślowy z centrali, aby moje medytacje nie zostały przejęte przez kogoś, kto miałby akurat ochotę włączyć się na mój zakres. Nie mogłem jednak pozwalać sobie na to zbyt często, gdyż moim obowiązkiem było pozostawać w stałym kontakcie z Radą.

Któregoś dnia podjąłem decyzję. Sprawdziwszy uprzednio, czy nikogo w pobliżu nie ma, za pomocą kieszonkowego szperacza, zbliżyłem się do siedzącej nieruchomo nad brzegiem jeziora i odezwałem się.

– Eurydyko, czy pragniesz ujrzeć Ziemię?

Dostrzegłem w jej oczach lęk, wiedziałem już, że moje przypuszczenia były słuszne.

– Nie lękaj się. Jestem twoim przyjacielem. Pragnę, abyś... abyś... – szukałem odpowiednich słów – ...nie była nieszczęśliwa. Wiem, że chciałabyś ujrzeć Ziemię.

Skinęła wolno głową, patrząc na mnie uważnie. W jej oczach pojawił się blask, jakiego nigdy nie widywałem dotąd. Usiadłem obok niej i powiedziałem szeptem.

– To jest bardzo trudne. Ale może się uda. Polecimy na Ziemię. Czekaj na znak ode mnie. Czekaj cierpliwie.

I bądź taka, jak dotąd, rozumiesz?

Krótkie słowo „tak” zabrzmiało jak najpiękniejszy z dźwięków, jakie dotąd słyszałem. Tego dnia zrozumiałem chyba, co to znaczy być człowiekiem.

Nie będę opisywał, jak przygotowywałem plan ucieczki, bo przecież była to ucieczka. Ileż razy zdawało mi się, że już ta chwila nadeszła, ale niebezpieczeństwo okazywało się zbyt poważne, abym mógł ryzykować.

Eurydyka spacerowała po swoim ogrodzie, spotykaliśmy się, a ja nie mogłem powiedzieć jej, że już. Mijaliśmy się bez jednego słowa.

Jakże musiałem pilnować się, aby moje myśli w czasie dyżurów, kiedy byłem podłączony do centrali, były „czyste”. Często cierpiałem istne tortury. Lecz pilnowałem się tak dobrze, że nie zdradziłem się niczym.

I ten dzień, a raczej noc (na SV8M nie ma między nimi ścisłego rozróżnienia) nadeszła.

Miałem dostęp – kosztowało mnie to wiele przemyślnych starań – do hali, w której znajdowały się cztery świeżo zbudowane, eksperymentalne statki o niespotykanej dotąd szybkości.

Powiem krótko: udało mi się przeniknąć z Eurydyką do wnętrza tajemnej hali, w której spoczywały na wyrzutniach statki. Udało mi się zniszczyć trzy spośród nich. Kiedy Eurydyka znalazła się w kabinie i zapadła w ochronny sen, kiedy nacisnąłem dźwignię, widząc przed sobą wylot korytarza startowego, przez który zaglądały gwiazdy, wówczas wszystkie ośrodki strażnicze planety znajdowały się już w stanie alarmu. Było jednak za późno... Za późno dla tych, którzy pragnęli nas zatrzymać. Daleko poważniejszym niebezpieczeństwem była możliwość, że nie będę potrafił prowadzić statku. Były w nim przecież dodatkowe urządzenia.

Wprawdzie udało mi się uzyskać informacje o wprowadzonych innowacjach, lecz przecież nikt jeszcze nie wypróbował tych statków. Wszystko więc mogło się zdarzyć.

Nie zdarzyło się jednak. Leciałem przez kosmos w oszałamiającym tempie, kilkunastokrotnie przewyższającym szybkości rozwijane przez statki znane mi dotąd. Żaden z nich nie mógłby zatrzymać tego wspaniałego wehikułu.

Zbudził się jednak teraz we mnie największy lęk. Lęk o Eurydykę. Czy wytrzyma tę podróż? Przecież ona posiadała ciało z Ziemi. Piękne ciało, które nie utraciło nic ze swej młodości mimo przebywania przez trzydzieści ziemskich wieków na obcym globie. Patrzyłem na śpiącą pełen lęku... i jeszcze jakiegoś uczucia, którego nie nazwę nawet teraz. Jak to się stało, że zamieszkały one we mnie, że stałem się prawie człowiekiem?

Moja relacja zbliża się do końca. Mogę więc powiedzieć: cieszę się, więcej: jestem szczęśliwy że to, co się stało ze mną, było możliwe. Że wyszedłem poza swój stan... Nie wiem, czy to dobrze, czy źle – i czy można to w ogóle oceniać.

Wylądowaliśmy na Ziemi wczesnym wieczorem. Słońce zachodziło za krawędź morza, tego samego morza, nad którego brzegami stąpała kiedyś Eurydyka z Orfeuszem. Dalej, w głębi lądu, wszystko wyglądało inaczej. Wyrosły jakieś wielkie, całkiem odmienne niż wtedy wyglądające miasta. Na niebie widziałem małe, prymitywne statki, niektóre z nich znajdowały się nawet poza sferą przyciągania planety. O mało nie zniszczyłem jednego z nich, gotując się do lądowania.

Nie interesowała mnie jednak w tej chwili przemieniona na przestrzeni wieków Ziemia. Cała moja uwaga skoncentrowana była na drobnej, delikatnej postaci leżącej w kabinie.

Osiadłszy u stóp niewielkiego wzgórza, w okolicy jak się wydawało niezamieszkanego, wyniosłem śpiącą i ułożyłem na trawie. Preparat wyprowadzający ze snu działał. Powieki leżącej drgnęły, przez twarz przebiegał lekki skurcz. Wreszcie oczy otworzyły się, pochwytyły obraz nieba, obłoków, zachodzącego słońca.

Eurydyka usiadła, rozejrzała się, chwyciła w dłoń kępkę trawy. Patrzyłem na nią milcząc. Wstała, uczyniła parę kroków, odwróciła się ku mnie. Wyszeptała cicho, tak że raczej domyśliłem się niż usłyszałem:

– Gdzie jest morze?

Jest tam – wskazałem następne wzgórze, za którym rozciągało się wybrzeże. Zamaskowałem szybko statek i ruszyłem za nią, idącą, biegnącą prawie w kierunku wybrzeża. Potykała się, więc ująłem ją pod ramię i prowadziłem, wypełniony po brzegi tym uczuciem, które czyniło ze mnie prawie człowieka...

Tak doszliśmy do morza. Owionął nas jego zapach, ujrzeliśmy fale rozbijające się o skały zatoki. Eurydyka usiadła na jednej ze skał. Wyciągnęła dłoń i podniosła z piasku muszlę. Wpatrywała się w nią w milczeniu.

Oddaliłem się, nie patrząc na nią, bowiem zrozumiałem, że chciała być sama.

Czy nie powinienem był tego uczynić? Czy mogłem uchronić Eurydykę? Nie mogłem – wiedziałem to dobrze, już wtedy kiedy leciałem z nią pośród gwiazd, nie, wcześniej, już wtedy gdy powziąłem swój szaleńczy zamiar.

Wiedziałem, że ją utracę, że będę musiał oddać ją Ziemi. Że będę świadkiem jej śmierci. Uczyniła to, co jedynie mogła uczynić.

I nie sprawiała mi bólu ta chwila, kiedy odwróciwszy się ujrzałem jak wstępuje odważnie w fale, przyjmując ich uderzenia na swe drobne barki, jak niknie jej postać, kurcząc się do złotej plamki oświetlonych przez zachodzące słońce włosów. Lecz sprawił mi ból jej krótki okrzyk, jaki usłyszałem, nim pogrążyła się całkiem w morzu.

– Orfeuszu!

Przez kilka następnych dni przeszukiwałem wybrzeże; morze nie wyrzuciło jednak ciała Eurydyki. Przyjęło ją na zawsze. Znalazłem tylko przy skale, na której siedziała, oddychając po raz ostatni powietrzem Ziemi, niewielką muszlę. Pozostawię ją razem z tą relacją – wam. Znajdziecie ją przy mnie, kiedy umrę. Bo pragnę umrzeć, jak umiera każdy z was. Jak człowiek. Nie powrócę na swoją planetę, którą zdradziłem dla tej, która odeszła. Odeszła, aby połączyć się z tym, którego kochała.

Wiem, że oni są już w drodze. Że niebawem pojawią się tu. Jakże się zawiodą. Nie odnajdą ani Eurydyki, ani statku (zniszczyłem go), ani mnie. Żaden z nich nie domyśli się, co właściwie się stało.

Ludzie, siostry i bracia Eurydyki, którzy pamiętacie wciąż, mimo upływu tych wieków o niej i o tym, który ją sławił w swych pieśniach, znajdziecie przy mnie jeszcze coś, co być może nazwiecie wierszem, jeśli wystarczy wam pobłażliwości. Wiersz o Eurydyce, który napisałem ja, Bez Imienia, zanim odszedłem w morze. A pisząc go – pełen bólu – wiedziałem, co to jest szczęście. Ludzkie szczęście... Odczuwam i smutek, że nie byłem człowiekiem i że do was (tylko do was) należała ta, która: w morze wstąpiła niby w czas i z dłoni jej wypadła – egejska muszla...

MINOTAUR

Spojrzałem w ekran okienny, na którym szalały niby w migotliwym tańcu boga Sziwy nieskończone gwiazdy. Chyba statek minął już dawno ową pustynną część galaktyki, w której znajduje się Układ Słoneczny i moja ojczysta planeta, Ziemia. Spałem tak długo. Był to sen trochę podobny do śmierci. Nie tej oznaczającej całkowitą nicność, ale tej będącej powrotem do Łona Matki, do wszechistniejącej natury. Kiedy przebudziłem się wreszcie, uczułem błogość jakiej już dawno nie odczuwałem, chyba od lat wczesnej młodości, kiedy wypoczywałem w słońcu lata na brzegach wysp, pośród modrych wód południa. To był ten sam spokój, bezprzyczynowa radość, afirmacja istnienia. Wynikająca z wiary w jego sens, ukrytą harmonię...

Taki sam spokój i radość dawała mi muzyka Mozarta. Pomyślałem, że bardzo bym pragnął usłyszeć teraz któryś z jego koncertów fortepianowych. W chwilę później uczułem coś na kształt słabego powiewu gdzieś ponad swoją głową, pod sufitem dziwnego pomieszczenia, w którym się znajdowałem. Dziwnego, bo wydawało się nie mieć ścian, po prostu nie było ich widać, a przecież miejsce na statku, gdzie przebywałem, musiało mieć jakieś określone wymiary...

W idealnej ciszy, którą mącił jedynie momentami mój oddech, rozległy się pierwsze takty koncertu d-moll, z opusu 466, według katalogu Kóhla.

Oprócz radości poczułem i coś na kształt lęku. Oni odgadli moje pragnienie, a więc czytali również i wszystkie inne moje myśli? Nie mogłem na to przystać wewnętrznie, chociaż oni budzili tak wielkie zaufanie, tak bardzo spontaniczne, że trudno było spodziewać się z ich strony czegokolwiek złego.

Słuchając mozartowskiego adagia, uspokoiłem się nagle. Przypomniałem sobie jak ten najstarszy, zwący się Mey-Hirem, powiedział w czasie pierwszej wizyty u mnie, że przywiodły ich moje pragnienia. Że to jest dla nich jak gdyby pierwszy znak skłaniający ich do zainteresowania się danym człowiekiem. Odcyfrowują tylko ludzkie pragnienia, dobre i złe oczywiście, które krzyżują się w przestrzeniach Ziemi niby miliony fal radiowych...

Nie wiem doprawdy, czym zasłużyłem na to wyróżnienie. A może nie było po prostu chętnych do opuszczenia Ziemi? Bo czym innym wszak jest buntować się przeciwko temu, co się dzieje na ojczystej planecie, a co innego dobrowolnie ją opuszczać na wezwanie tajemniczych gości z kosmosu...

Muzyka umilkła, gdy przeminęło moje ulubione adagio. Z niewidzialnego głośnika dobiegł głos Mey-Hira.

– Jesteśmy w połowie drogi. Czas, abyś dowiedział się dlaczego interesujemy się losem Ziemi. Musisz poznać historię MINOTAURA, taką, jaka zdarzyła się naprawdę. Kiedy ją poznasz, zrozumiesz wiele.

Głos umilkł. Rozjaśniła się przede mną jedna ze ścian. Z początku zobaczyłem jakieś

przelewające się szarozielone kształty, usłyszałem najpierw cichy, a potem rosnący szum. Ależ... To było morze! Niemalże poczułem jego zapach. Przypomniała mi się moja samotnia niedaleko Cypru. Czyżby oni...? Byłem o tym niemal przekonany, zwłaszcza że po chwili ujrzałem brzeg z piaszczystą plażą. Ktoś nią nadchodził. Kiedy się zbliżył, okazało się, że jest to dziewczyna w białej sukni ściśle dopasowanej do figury, tak zgrabnie, że mimo długości nie tamowała jej ruchów. We włosy miała wpięty złociście połyskujący przedmiot. Prawdopodobnie był to klejnot.

Wydawało się, że dziewczyna jest tuż obok mnie, lecz przecież ja nie mogłem dla niej istnieć. Nagle zobaczyłem coś, czego ona nie dostrzegła. Ktoś nadbiegał plażą, był to mężczyzna w stroju wojownika (jakiż to mógł być czas?), trzymający w ręku krótki miecz. Kiedy był już kilka metrów od dziewczyny, ta odwróciła się, usłyszała skrzypienie jego sandałów na piasku. Ja także słyszałem je. Krzyknąłem, tak była prawdziwa owa fikcja rozgrywająca się przede mną na ekranie.

Dziewczyna uniosła rękę do skroni. Żołnierz był już o kilka kroków. Podnosił miecz do ciosu. Klejnot we włosach dziewczyny zaśnił intensywnie. Żołnierz zatrzymał się w pół kroku, stał przez moment ze wzniesionym mieczem, po czym osunął się na piasek. Dziewczyna opuściła rękę. Powiedziała coś melodyjnym głosem. Nie zrozumiałem z tego nic a nic, chociaż... Tak, tonacja niektórych słów była jakby znajoma, ale słowa nie.

Dziewczyna zaczęła wracać w tym kierunku, skąd przyszła. Gdy była już małą figurką na nieskończonym wybrzeżu, zatrzymała się w miejscu. Na niebie pojawiło się coś. To coś opuściło się na plażę obok dziewczyny. Kiedy po chwili uniosło się w górę, na plaży nie było już nikogo poza leżącym żołnierzem, który nie był martwy, ponieważ poruszył się przed chwilą.

Minotaur... Przecież ta historia była mi znana. Jedna z zapomnianych prawie legend. To był przecież jakiś potwór na Krecie za czasów króla Midasa. Potwór, którego pokonał dopiero Te... Tezeusz. Tak. I była tam jeszcze jakaś dziewczyna. Melisanda? Antygona? Solwejga? Nie, te imiona były mi znane skądinąd. To była... ta, która dała nici. Nici? Ariadna!

Zobaczyłem ją po chwili razem z Tezeuszem. Bo to był on, ten młody, smukły mężczyzna w luźnej szacie. Nie miał żadnej broni. Tylko na jego szyi wisiał klejnot, błyszczący silniej od złota, podobny do tego, jaki miała wpięty we włosy dziewczyna.

Rozmawiali. Znajdowali się (a razem z nimi i ja, chociaż nie istniejący dla nich) w obszernej sali, pozbawionej jakiegokolwiek przepychu, a jednak imponującej swoją powagą.

Drzwi w głębi otworzyły się i ktoś wszedł. Było to dwóch mężczyzn, jeden młody, drugi nieco starszy. Kiedy weszli, coś uderzyło mnie w ich postaciach, lecz jeszcze nie domyśliłem się.

I wtedy zacząłem rozumieć, co mówili Tezeusz i Ariadna, a także nowo przybyli.

– Twój ojciec, Ariadno, owładnięty jest pragnieniem rozciągnięcia swej władzy daleko poza wyspę. Może nawet zechce zawładnąć całym światem. A wiesz dobrze, czym grozi nadużycie

siły. Czym grozi władza, która nie liczy się ani trochę z poddanymi jej...

– Wiem. Mój ojciec nie był taki, zanim wy nie przybyliście do nas. To wy obdarzyliście go taką siłą.

– Masz słuszość, księżniczko. To my sprawiliśmy, sądząc, że ofiarujemy waszej wyspie szczęście płynące z wiedzy. Wyspie największej cywilizacji na tej planecie. Nie spodziewaliśmy się, że twój ojciec zmieni się tak bardzo.

Teraz odezwał się młodszy z przybyszów.

– Z początku traktował nas prawie jak bogów, którzy przybyli obdarzyć go szczególną łaską. Teraz i nam nie daje przystępu do miejsca, w którym znajduje się MINOTAUR, mimo że nam właśnie zawdzięcza posiadanie go.

Boję nad tym podobnie jak wy. Mój ojciec ma teraz niedobrych doradców. Oni wiedzą, że Ludzie Światła nie są zdolni do stosowania przemocy. Że nic nie uczynią złego Midasowi i im także. Wykorzystują to – Ariadna przerwała na chwilę. – Wczoraj znów próbowali mnie zabić, kiedy odbywałam spacer nad brzegiem morza. Tezeusz krzyknął prawie:

– Ariadno, nic mi o tym nie powiedziałaś! Trzeba było...

Ariadna przerwała mu w pół słowa.

– Poradziłam sobie sama. Zapominasz, że posiadamy oboje dary od Ludzi Światła.

Starszy z mężczyzn powiedział trochę smutno.

– Nasze dary nie zawsze dają dostateczną obronę. I one niekiedy zawodzą w obliczu niebezpieczeństwa.

Nie były wszak pomyślane jako obrona przed... ludźmi.

Ariadna opuściła głowę.

– Słuszna jest twoja gorycz, De-Dalu. Rozumiem ją. Uczynię wszystko aby nie dopuścić do tego, by siły MINOTAURA zostały wykorzystane przez mego ojca i jego doradców w złym celu. Obiecuję to wam.

– Lecz niebezpieczeństwo jest poważne. Musimy działać możliwie najszybciej – powiedział to młodszy z dwóch mężczyzn nazwanych Ludźmi Światła. – Dobrze, iż mamy Tezeusza. Że tak dobrze rozumie on sytuację i pragnie udzielić pomocy, ponieważ kocha ciebie, Ariadno.

– Nie chcę uczynić tego jedynie dlatego, że kocham Ariadnę, że przybyłem na Wyspę dla niej, ujrzawszy ją kiedyś na pokładzie statku, podczas świątecznych Morskich Wyścigów. Tak, kocham Ariadną. Ale także kocham tę wyspę. I swoją ojczyznę również. I całą wielką Ziemię, którą znam jeszcze tak mało, a która jest tak piękna.

– Poznasz ją dobrze, Tezeuszu – powiedział z serdecznym uśmiechem młodszy mężczyzna.

– I ja mam nadzieję, Y-Karze. Będziemy podróżować bardzo daleko, razem z Ariadną. Poznamy cały świat. A kiedy poznamy go, może zawędrujemy jeszcze dalej.

– Możliwe, że tak się stanie, Tezeuszu. Bardzo chciałbym, bo jesteś jakby moim bratem. Ale

najpierw musisz poznać dobrze Ziemię, a jeszcze przedtem ocalić ją.

Teraz głos zabrał De-Dal..

– Drogę do MINOTAURA może nam utorować jedynie Ariadna. Znamy z Y-Karem tajemnice Labiryntu, bo sami go przecież budowaliśmy. Wiemy, którą prowadzi droga i drogę tę pamięta też dobrze Ariadna, chociaż nigdy nie była w Labiryncie... My nie możemy używać siły. Nie możemy zabijać. A bez tego, być może, nie uda nam się dotrzeć do MINOTAURA. Może to się udać jedynie wam, Ariadno, Tezeuszu...

Ekran przede mną stał się na chwilę pusty, później ujrzałem czerń nocy, gdzieś wysoko płonęła samotna gwiazda. Usłyszałem szum przyływu, później z mroku dobiegły głosy.

– To jest jedno z tajemnych wejść, Tezeuszu. Mam do niego klucz. Musisz jednak zapalić pochodnię, którą otrzymałeś od Y-Kara.

W ciemnościach rozbłysło coś podobnego do... tak, to był rodzaj latarki o wąskim promieniu.

Światelko zbliżyło się i ujrzałem ich dwoje przed hartownymi – drzwiami, ukrytymi za załomem nadbrzeżnych skał. Dziwiłem się tylko, zrozumiałwszy dokąd wchodzi Tezeusz i Ariadna, że nie było w pobliżu żadnej straży. Ale być może nie była potrzebna. Nikt, kto nie miał klucza, nie mógł przedostać się przecież do Labiryntu.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Ariadna weszła pierwsza. Tezeusz za nią, zamknąwszy uprzednio drzwi za sobą. Jednak nie byli sami, razem z nimi byłem ja, urodzony tysiące lat po nich, należący do innego wymiaru czasu i przestrzeni, lecący w tej chwili w stronę planety oddalonej o całe lata świetlne od Ziemi...

Szeroki na jakieś dwa metry korytarz (wysoki na trzy) przypominał mi korytarz instytutu badawczego, w którym pracowałem niegdyś. Zawsze ogarniał mnie chłód na widok przerażająco jasnych, pobłyskujących ścian.

Po kilkuminutowej drodze w głąb, odbytej przy świetle latarki trzymanej przez Tezeusza, korytarz rozszerzył się w niewielką salkę. Ariadna zawahała się przez moment, później podeszła do jednej ze ścian.

– Przyświeć, Tezeuszu.

Fragment ściany uchylił się, odsłaniając sporą wnękę. Znajdowały się w niej jakieś mechanizmy. Ariadna dotknęła któregoś przycisku. Rozbłysło światło podobne do elektrycznego, ale bardziej przypominające blask słoneczny, jaki bywa w letnie popołudnie, intensywny zarazem i łagodny.

– Czy nie boisz się, że to... zaalarmuje strażę? – odezwał się Tezeusz.

– Nie. Wiem na pewno, że nie. – Popatrzyła na swego towarzysza uważnie i długo. – Tezeuszu...

– Co, Ariadno?

– Gdyby... Gdybyśmy spotkali mego ojca. Pamiętaj... miej wzgląd na niego. To jest jednak mój ojciec.

– Wiem, Ariadno. Obiecuję.

Ruszyli dalej. Korytarze wiodły ku mniejszym i większym salkom, rozgałęziając się coraz częściej. Nie było nic, oprócz pobłyskującej jadowicie bieli. Za każdym przebytym odcinkiem drogi Ariadna wyłączała światło w przebytych już korytarzach i włączała w tych, które były do przebycia, aż do następnej centralki świetlnej.

Nie wiem kiedy uświadomiłem sobie, że w ciszy korytarzy, przerywanej tylko od czasu do czasu szeptem Ariadny i Tezeusza, pojawił się jakiś dziwny dźwięk. Pojawił się i narastał, wibrując niepokojąco, jak gdyby jakaś obłędna, monotonna muzyka elektronowa. Zatrzymali się, spoglądając na siebie.

– Idziemy dobrą drogą. To już niedaleko – powiedziała Ariadna.

– Co to jest, na wszystkich bogów – zapytał Tezeusz. – To... To jest właśnie MINOTAUR. Jego głos.

– To nie przypomina zupełnie niczego.

– Tak. Kiedyś jego głos był inny. Wówczas kiedy służył De-Dalowi i Y-Karowi, którzy go stworzyli. Wówczas, kiedy ja byłam jeszcze dzieckiem. Wtedy MINOTAUR był dobry. Sprowadzał pogodę. Ratował żeglarzy na morzu.

Także leczył...

– W jaki sposób, Ariadno?

– Nie wiem, Tezeuszu. Byłam jeszcze taka mała. Ale pamiętam, jak to on ocalił od śmierci moją najlepszą towarzyszkę, Violę, którą ugryzła jadowita ryba. Nie wiem, czym on jest. Czym był wtedy, i czym jest teraz, kiedy już nie służy Ludziom Światła, którzy go stworzyli, aby podarować naszej Wyspie... Teraz służy doradcom mego ojca...

– I królowi Midasowi.

– Nie musisz mi o tym przypominać, Tezeuszu. Kiedy o tym pomyślę, chce mi się płakać. Tezeuszu, pocałuj mnie! – w oczach Ariadny rzeczywiście pojawiły się łzy. Tezeusz objął dziewczynę i pocałował, pogłaskał jej włosy, jego dłoń o mało nie dotknęła pobłyskującego silnie klejnotu.

Nagle, z głębi korytarza dobiegły powolne, lecz niesłychanie ciężkie kroki, jak gdyby zbliżał się jakiś olbrzym ze starodawnej baśni. Kroki przygłuszyły nawet ów wibrujący dźwięk wwiercający się coraz nieznośniej w uszy.

– Co to?– zapytała z przestraszeniem Ariadna.

– Cokolwiek by nie było... I ktokolwiek by nie był... pamiętaj, Ariadno, że MINOTAUR służy teraz tylko śmierci...

Kroki zbliżały się coraz bardziej, rytmicznie i nieubłagalnie. Tezeusz sięgnął do boku,

w torbie z nieznanego tworzywa znajdował się przedmiot podobny do instrumentu muzycznego.

Dostrzegłem Strażnika w tym samym momencie co oni. Dla mnie widok tego automatu wysokiej niewątpliwie klasy nie był czymś wstrząsającym. Wszak na Ziemi konstruowano automaty od ponad stu lat... Ale dla Ariadny i Tezeusza było to z pewnością szokujące.

A jednak, mimo bladości na twarzy Tezeusza, nie dostrzegłem u niego objawów lęku czy paniki. Tylko lekko zadrżała mu dłoń, w chwili gdy naciskał stalowy guziczek, Z przedmiotu przezeń trzymanego wysunęła się błyskawicznie cienka rurka, a z rurki wyprysnęła kropla oślepiającego blasku. Automat stanął jak wryty, po chwili przewrócił się z łoskotem i znieruchomiał.

Wibrujący dźwięk, który znów rozebrzmiał na korytarzu nagle począł się przerywać, zatrzymał się zupełnie na kilka sekund, po czym pojawił się znów w swojej monotonnej ciągłości.

– Nie wolno zabijać, Tezeuszu. Tak powiedział De-Dal.

– To nie był człowiek, Ariadno. Nie mogłem nic innego zrobić. To... wskazał na klejnot, który dziewczyna miała wpięty we włosy – nie pomogłoby w tym wypadku.

– Skąd wiedziałeś?

– Zrozumiałem to już wówczas, gdy usłyszałem jego kroki. Chodźmy, Ariadno, musimy iść dalej...

– Boję się, ale trzeba tam dojść, Tezeuszu.

– Może ty zostaniesz tu, Ariadno, a ja dojdę sam. To już niedaleko.

– Nie. Muszę być z tobą. Zwłaszcza teraz.

Korytarze jarzyły się, dźwięk wibrował w nich coraz głośniej. Wreszcie przestały rozwidlać się na różne strony. Ariadna nie musiała koncentrować całej swej pamięci aby nie zapomnieć planu, jaki utrzymał w jej komórkach mózgowych budowniczy Labiryntu, De-Dal. Teraz znów przyszła pora na Tezeusza. Podszedł do hermetycznych drzwi zamykających wylot ostatniego korytarza i powiedział cicho jakieś słowa. Drzwi uchyliły się powoli.

Ta sala była ogromna. Powietrze nieco bardziej duszne niż na korytarzach, dopływało jednakże przez ukryte wentylatory. Wibrujący dźwięk wciskał się nieznośnie w uszy. MINOTAUR spoczywał na obszernej platformie, metalowej konstrukcji. Mało przypominał swym wyglądem współczesne superkomputery na Ziemi. A jednak był dziełem inteligencji żywych istot, przybyszów z kosmosu zwanych Synami Światła.

Ariadna i Tezeusz patrzyli szeroko otwartymi oczami, stojąc bez ruchu, jak sparaliżowani. Czyżby działało na nich jakieś pole siłowe? Zapomniałem zupełnie, że byłem tylko widzem tego, co się działo. Chciałem włączyć się do akcji. Zrobiłem kilka kroków zanim uświadomiłem sobie, gdzie naprawdę się znajduję.

Dźwięk ustał. Rozległ się głos.

– Kim jesteście? Czy pragniecie oddać mi cześć?

Ariadna i Tezeusz milczeli, nie ruszając się z miejsca.

– Dlaczego nie odmawiacie modlitwy do mnie, jak król Midas i inni, którzy przychodzą prosić mnie o siłę, której sami mają zbyt mało... Czy wy także jej pragniecie?

– Nie. My ją mamy – powiedział Tezeusz – lecz ona jest inna od tej, jakiej pragnie król Midas.

– Inna? Jest tylko jedna. Ta, która zadaje śmierć. Kiedyś nie wiedziałem o tym. Nie byłem wtedy tym, czym jestem teraz.

– Byłeś czymś więcej. Broniełeś ludzi od śmierci. A teraz służysz tym, którzy błędzą, pragnąc śmierci swoich braci, którzy nie chcą im się podporządkować. Błędzą, pragnąc być wyżej od innych, sądząc, że osiąga się to dzięki władzy.

– Ja nie służę, człowieku... Ja uświadomiłem sobie swą wolność, wolność boga – i sprzymierzam ją z wolnością takich ludzi jak król Midas. Bo cóż jest większą wolnością, jak panowanie nad życiem innych?

– To jest właśnie niewola. Niewola wobec śmierci. Był czas, kiedy i ja myślałem podobnie. Lecz później zacząłem rozumieć czym jest, czym może być człowiek. Dzięki tej, która stoi obok mnie. Dzięki Ludziom Światła, tym, którzy ciebie stworzyli. Czy zapomniałeś ich?

– Kłamiesz. Nikt mnie nie stworzył. Jestem, odkąd istnieje czas. To tylko wy mu podlegacie. Jemu – i śmierci.

– Mylisz się. Szkoda, że nie możesz służyć naszej planecie. Dobru zamieszkujących ją istot. Ludzie Światła stworzyli cię właśnie po to. Lecz okazało się, że zło, które wciąż istnieje w nas, mieszkańcach Ziemi, mogło nawet ciebie uczynić innym. Zło jest silne. Ale niektórzy z nas już wiedzą, że można je pokonać.

– Śmieszny człowieku, przekonasz się zaraz ile warte są twoje słowa. Zginiesz. I zginie ta kobieta, która przysła z tobą. Jestem Siłą. Jestem Mądrością. Jestem Wolnością.

Ariadna chwyciła ramię Tezeusza, przytuliła się do niego trwożnie. MINOTAUR zamilkł. W absolutnej ciszy jaka panowała przez chwilę, coś się działo. To była walka. Walka, w której rolę broni spełniała myśl.

Cisza trwała dalej, słychać było tylko przyspieszony oddech Ariadny. Nagle zgasło światło. To był koniec. MINOTAUR stał się martwą rzeczą.

Ariadna i Tezeusz powrócili tą samą drogą, którą przybyli. Na brzegu morza oczekiwał ich statek latający Y-Kara. Wstawał słoneczny dzień.

* * *

W następnej części rozgrywającej się przed moimi oczami historii, której byłem biernym

współuczestnikiem – oba statki, Y-Kara i De-Dala unosiły się nad wyspą. Byłem we wnętrzu pierwszego z nich, w którym znajdował się Y-Kar i Ariadna. Statek nie leciał ani zbyt szybko, ani wysoko. Posiadał krótkie skrzydła, lśniące w świetle słonecznym. Wnętrze nie różniło się zbyt od kabiny samolotu transkontynentalnego z moich czasów. Tylko mniej było przyrządów nawigacyjnych.

Na dole przesuwały się zielone łąki z błękitnymi wstążkami strumieni, ciemniejsze pasma lasów, wzgórze i pastwiska, na których widniały drobne sylwetki zwierząt i ludzi. Z oddali nadciągało jakieś pasmo górskie. Pejzaż zmieniał się stopniowo na bardziej dziki, nie było widać już prawie nigdzie ludzi.

– Kiedy pożegnacie nas, Y-Karze?

– Już niebawem.

Jest mi smutno. Chociaż pokonaliśmy go, wypełniliśmy nasze zadanie. Chociaż mój ojciec, król Midas, żyje – i być może – zmieni się znów na lepsze... Chociaż kocham Tezeusza, a on mnie i dążymy do jego ojczyzny...

– Nie bądź smutna, Ariadno. Czeka cię przecież piękna przyszłość. Będiesz natchnieniem Tezeusza. Jesteś piękna, musisz być jeszcze bardziej: dobra. Bo miłość to służenie dobru. Będiesz nie tylko matką jego dzieci, ale również matką miasta, w którym wszyscy będą braćmi. To będzie Miasto Mądrości. A-THENE. Przekonaliśmy się, my, wasi dalecy bracia, że jeszcze za wcześnie, aby dzielić się z wami naszymi umiejętnościami, naszą wiedzą. Musicie wpierw zdobyć inną wiedzę sami... Mądrość. Przede wszystkim mądrość zrozumienia, iż potęga, siła, to nie jest panowanie nad innymi, zadawanie im śmierci. Spójrz. Świeci słońce.

Dla wszystkich. Ono nie zna nienawiści, nie wybiera, nie dzieli. W jego świetle wszystko jest jednością.

Y-Kar zamilkł, jego twarz jaśniała w blasku, była pełna spokojnej radości. Statek leciał nad brzegami wyspy. Widać było płynące żaglowce, pozostawiające za sobą nikły ślad. Nadbrzeżne wzgórza oddalały się, aż pozostał tylko zarys lądu, który zmienił się w ciemną kreskę, potem znikł. Pod statkiem rozciągało się nieskończone morze. Statek przechylił się lekko i zaczął wznosić się coraz wyżej w czystą, słoneczną przestrzeń. Podczas tego manewru zobaczyłem na chwilę bliźniaczy statek, którym lecieli De-Dal i Tezeusz.

– Y-Karze – odezwała się znów Ariadna. – Powiedz mi, czy tam... na waszej planecie są piękne kobiety?

– Są i bardziej piękne od ciebie. Dlaczego o to pytasz?

– Tak sobie. Jestem ciekawa... Odpowiedz mi na jeszcze jedno... Czy zaprosicie kiedyś Tezeusza na waszą planetę, aby nauczył się być jeszcze bardziej mądrym niż jest? On mówił, że pragnąłby was odwiedzić...

Y-Kar przyjrzał się uważnie dziewczynie. Później uśmiechnął się łagodnie.

– Kiedyś, być może, zaprosimy Tezeusza – i ciebie także. Ale prędzej chyba zobaczymy się tu, na Ziemi. Będziemy czuwać, będziemy w pobliżu, kiedy wy budować będziecie Miasto Mądrości. Głosić braterstwo zamiast nienawiści – wszystkim ludom... Mądrość odkrywa się samemu, we własnym sercu. Nie można się jej nauczyć, jak uczy się człowiek czytać, albo pisać hieroglify na tabliczkach. Albo tkąć piękne suknie, Ariadno.

I znów było słońce. Ale statki nie unosiły się w powietrzu. Stały na twardym piasku półkolistej zatoki. Daleko na horyzoncie widać było płynący żaglowiec. Bardzo wysoko przesuwały się po niebie obłoki. W cieniu nadbrzeżnej skały rozmawiali, trzymając małe czarki z winem, Y-Kar, De-Dal, Ariadna i Tezeusz. Widziałem ich z pewnej odległości, nie wiadomo co mówili. W pewnej chwili Ariadna postawiła swoją czarkę na wielkim głazie, na którym stał gliniany dzban i ruszyła w stronę statków, wyglądających niby wyrzucone na plażę niezwykle ryby. Stała chwilę przy nich. Później jakby się zdecydowała. Znikła we wnętrzu jednego z nich. Spędziła tam kilka minut. Przez ten czas trzej mężczyźni rozmawiali popijając wino. Słońce osiągnęło na niebie najwyższy punkt. Światło przesunęło się po skale i dotarło do rozmawiających. Dopiero teraz usłyszałem głos De-Dala.

– Nie zostawimy wam naszych uprzednich darów... rozumiesz, dlaczego... Wiem, że przydałaby wam się nieraz w niebezpieczeństwie ta broń, która nie zabija – wskazał na promienisty klejnot, który Tezeusz przed chwilą zdjął z szyi i podał De-Dalowi... Tylko jedno przyjmijcie na pamiątkę, ten znak.

Wyteńczyłem wzrok i zobaczyłem okrągłą plaketkę z nieznanego tworzywa, na której widniał symbol nieskończoności, taki sam, jaki w wiele wieków później miał narysować Albert Einstein.

Nadeszła Ariadna. Jej twarz miała trochę dziwny wyraz. Nalała sobie wina do czarki i wypła szybko. Jej włosy lśniły w słońcu, zauważyłem, że nie było w nich klejnotu.

Widocznie pozostawiła go we wnętrzu statku.

– Nie smuć się, Ariadno – zwrócił się do niej Y-Kar. – Gdy będzie trzeba, przybędziemy znów... Odwrócił się w stronę De-Dala, patrząc pytająco.

– Tak. Już nadszedł czas. Gwiezdny statek wysłany po nas znajduje się na orbicie ziemskiej... Do zobaczenia, Ariadno. Do zobaczenia, Tezeuszu.

Dwaj Ludzie Światła stali jeszcze przez chwilę, patrząc na młodą parę trzymającą się za ręce, po czym odwrócili się i ruszyli w stronę statków.

Słońce osiągnęło już zenit i przesunęło się odrobinę w dół. Białe, wysokie obłoki znikły. Na spokojnej powierzchni morza widniał jeszcze, w coraz większej oddali podłużny punkcik.

Statki uniosły się wolno nad plażą i zaczęły nabierać szybkości. Były coraz wyżej. Ariadna i Tezeusz podnieśli głowy, patrząc w ślad za nimi. Nagle jeden ze statków zatrzymał się przez chwilę bez ruchu, po czym zaczął gwałtownie spadać. Spadek był tak szybki, że drugi zaledwie zdołał zmienić kurs aby opuszczać się także, w znacznie jednak wolniejszym tempie. Pierwszy

ze statków z impetem zderzył się z powierzchnią morza, aż trysnęła woda, można było dostrzec to, chociaż odległość od brzegu była znaczna. Drugi statek opuścił się nad miejsce, w którym zniknął pierwszy i zataczał wokół niego koła.

Ariadna i Tezeusz patrzyli, stojąc bez ruchu i nie wydając najślabszego nawet okrzyku. Wreszcie Tezeusz puścił rękę dziewczyny i spojrzał na nią, nadal milcząc. Na jego twarzy dostrzec można było grozę, pomieszaną z wielkim zdziwieniem.

- To ty, Ariadno – powiedział i zamilkł znowu.
- Tak – odpowiedziała dziewczyna, patrząc mu prosto w oczy.
- Dlaczego... Dlaczego to zrobiłaś?
- Ponieważ cię kocham. Ponieważ nie chcę cię utracić. Nigdy...

Tezeusz odwrócił wzrok od Ariadny i spojrzał znów na morze, nad którym zataczał wciąż koła niby bezradny ptak, błyszczący w słońcu statek pilotowany przez Y-Kara, albo De-Dala. Krążył tak jeszcze kilka długich minut, aż uniósł się szybko w górę i znikł w ogarniającym całą ziemię słonecznym blasku.

- Nie. Nie kochasz, Ariadno – powiedział wolno Tezeusz.

I to był ostatni obraz, jaki ujrzałem na ekranie. Kabinę wypełniło delikatne światło. Siedziałem w miękkim fotelu i patrzyłem bez ruchu na ścianę, która zdawała się to zbliżać, to oddalać, aż zamieniła się z kolei w ekran okienny. Płonęły czystym blaskiem gwiazdy. Statek mknął przez kosmos groźny i obcy, ale gdzieś w odległej jeszcze przestrzeni znajdowała się planeta, ku której zmierzał. A w innym dalekim miejscu wszechświata kołysała się planeta, będąca moją ojczyzną.

Zaszemrało cicho i usłyszałem głos Mey-Hira.

- Czy może chcesz mnie o coś zapytać?
- Tak. Dlaczego nie zwątpiliście ostatecznie o... Przecież...

Po chwili milczenia Mey-Hir odpowiedział.

– Tezeusz, mimo że utracił Ariadnę, nie zwątpił w miłość. Zbudował Miasto Mądrości, które nie stało się wprawdzie miastem szczęścia, lecz stworzyło kulturę, stworzyło wartości nieśmiertelne, żywe aż do dziś w wielu z was... Byli też inni, niezliczeni Tezeusze, którzy nie budowali wprawdzie miast takich jak A-THENE, ale uczyli mieszkańców Ziemi, co to znaczy być naprawdę – człowiekiem.

Patrzyłem na jaśniejącą mlecznym światłem niby wielką perłą galaktykę, do której statek zbliżał się coraz bardziej. To w głębi niej była ojczyzna Y-Kara i De-Dala.

NIEWIDZIALNI

W stronę tej planety rzucił nas przypadek. Już siódmy rok zdążaliśmy wzdłuż długiej niby warkocz, liczącej ponad 17 000 lat świetlnych długości galaktyki Sin 21. Nasza podróż miała charakter badawczy. Badaliśmy planety niektórych gwiazd, których pasmo świetlne wskazywało na wiek podobny do wieku naszego Słońca.

Wybieraliśmy te planety, niby geolog próbki minerałów. Jednak geolog, nawet najmniej szczęśliwy, miał z pewnością nie tak trudną pracę jak nasza, a znacznie więcej z niej radości.

Zbadaliśmy czterdzieści trzy planety. Trzydzieści dziewięć przypominało zamierchłe wyobrażenia o piekle. Nasze odporne na wszystko, otoczone podwójnymi ekranami bezpieczeństwa rakiety zwiadowcze, przedzierały się przez gęste warstwy burogranatowych gazów spowijających owe planety, unosząc się tuż nad ich powierzchnią. Powierzchnia ta wyglądała przeważnie jak jedno ogromne, bulgoczące i fosforyzujące bagno, o takich kombinacjach barw, jakich nie oglądaliśmy jeszcze nigdzie, choć mamy już za sobą tyle podróży. Niekiedy zdawało się nam, że w głębiach owych przelewających się bagien dostrzegaliśmy zarysy jakiś monstrualnych kształtów.

Nie ryzykowaliśmy jednak bliższych dociekań, jakie to były kształty.

Cztery pozostałe planety wyglądały podobnie, jak wyglądają najbardziej pustynne obszary Sahary, lub Gobi, których do dziś nie udało się adaptować do życia. Powietrze (choć istniało) było na nich niesłychanie suche, gorące, ale mogliśmy mimo to obyć się bez skafandrów. Nie odkrywaliśmy śladów żadnych istot żywych. Poza roślinnością, przypominającą roślinność odkrytej niegdyś przez nas planety Nulla 13, w gwiazdozbiorze Żyrafy.

Straciliśmy więc już właściwie nadzieję, że uda nam się znaleźć jakąś planetę podobną do Ziemi. Kapitan Lang polecił nawigatorowi kurs na Kłos Panny, spodziewał się bowiem w tamtych okolicach znaleźć gromadę żółtych karłów posiadających układy planetarne. Po dokonaniu lustracji na paru globach mieliśmy ruszyć w drogę powrotną na Ziemię.

Lecz oto los pokrzyżował wszystko. Nastąpiła awaria silnika fotonowego, która zmusiła nas do wejścia na orbitę jednej z najbliższych planet. Nie mogliśmy lądować naszą ALFĄ, gdyż groziło to tym, że już nie uda nam się wystartować. Na pomoc nie było co liczyć. Trudno przypuszczać, aby ewentualna wyprawa ratunkowa mogła nas odnaleźć wcześniej niż za kilkanaście lat. Zresztą, czy myślano akurat o nas, skoro sytuacja na Ziemi nie wyglądała różowo już w chwili naszego odlotu. Należało się spodziewać poważniejszego konfliktu, który mógł bardzo źle się zakończyć.

Myśleliśmy z pewnym lękiem o powrocie. Co zastaniemy? Ale mieliśmy nadzieję, że sprawy nie posuną się za daleko.

Ja, rzecz oczywista, tak jak wszyscy bałem się o losy Ziemi. Lecz moim prawdziwym

domem była od wielu lat ALFA, a przedtem, kiedy byłem dzieckiem, towarowy statek Helios 104, dowodzony przez mego ojca, a kursujący regularnie pomiędzy Saturnem, a Merkurym. Na Ziemi urodziłem się co prawda, ale nie spędziłem na niej w sumie więcej, niż kilkanaście miesięcy. Przerażały mnie jej miasta – kolosy, z dziesiątkami milionów mieszkańców. Przerażał brak szerokich przestrzeni, wolnych od dzieł rąk ludzkich. (Nieliczne rezerwy przyrody wydawały mi się żałosne, niby zielone skwerki dla zabaw dziecięcych). Wolałem – może zbyt przytłumione w barwach, zbyt posępne, ale za to naturalne, pejzaże Marsa, na którym żyła niewielka ilość emigrantów z Ziemi.

Wyprawy do innych galaktyk trwały dopiero od około trzydziestu lat. Wcześniej nie było fotonowych statków. Przyspieszono prace nad ich budową wtedy, gdy na Ziemi zaczęło być coraz ciasniej, zbyt ciasno. Inne planety systemu słonecznego nie nadawały się do emigracji na szerszą skalę. Warunki na nich były zbyt trudne. Nieliczni koloniści żyli w specjalnych, izolowanych osiedlach i byli we wszystkim uzależnieni od Ziemi.

Jak już powiedziałem, moim prawdziwym domem była ALFA, odkąd rodzice zginęli w katastrofie, jaka spotkała świeżo przydzielony ojcu statek „Selene”... Była jakaś usterka w jego agregatach. Nastąpił wybuch. Ja byłem wówczas na siedmiomiesięcznych studiach na Uniwersytecie Telepatycznym. Wkrótce potem zapisałem się na kurs astronautów galaktycznych.

Moim domem jest ALFA również dlatego, że na jej po kładzie znajduje się dziewczyna, którą kocham. I która mnie kocha. Evi. To jej zawdzięczam, że czuję się szczęśliwy... Moja mała, jasnowłosa Evi... Jakże drżały jej usta, kiedy mówiła mi na pożegnanie: „uważaj na siebie, Ad”.

Bo właśnie mnie zalecił kapitan Lang zbadanie planety.

ALFA miała pozostać na orbicie z kapitanem, nawigatorem, oraz czterema głównymi mechanikami pracującymi nad naprawą silnika fotonowego. Reszta z osiemdziesięciosiedmioosobowej załogi miała lądować w małych raketach zwiadowczych na nieznanym globie.

Lecz pierwszy byłem ja. Wyruszyłem samotnie, jedynie w towarzystwie robota – Nixa, aby zbadać czy planeta jest bezpieczna. Bo z obserwacji, jakie poczyniliśmy na superradarach ALFY, wynikało, że warunki życia podobne były do warunków panujących na Wenus, a więc były całkiem zadowalające. Dokładne zbadanie planety, to było zadanie dla mnie. Byłem wszak jedynym na ALFIE zwiadowcą I klasy...

Kiedy minąłem obszar białoróżowych obłoków, odsoniła się przede mną wyraźnie powierzchnia planety. Na jej widok zaparło mi na chwilę dech... Nie przypominała ani powierzchni Ziemi, ani żadnej ze znanych mi, bądź to podobnych zwiadowi planet. Mieniła się, pulsowała łagodnie niby muzyka mego ulubionego, a żyjącego przed czterystu kilkudziesięciu

laty kompozytora, Mozarta.

Kiedy wylądowałem w małej kotlinie, pośród łagodnych wzgórz porośniętych zieloną roślinnością, zdziwiłem się jeszcze bardziej. Aparat, który miałem zainstalowany w hełmie, wykazał w atmosferze planety zdumiewającą ilość tlenu. Nie chciało mi się wprost wierzyć. Ale aparat działał, musiał więc wskazywać faktyczny stan rzeczy.

Zdjąłem ostrożnie hełm. Powietrze, które wciągnąłem w płuca, miało świeżość nieporównywalną do najbardziej znanych pod względem swej zdrowotności miejsc na Ziemi. Wdychałem je jakby jakiś orzeźwiający napój. Ochłonawszy trochę z wrażenia, rozejrzałem się po okolicy. Roślinność przypominała ziemską, była jednakże nieco inna w barwie. Niby zielona, ale z jakimś odcieniem nadającym jej niezwykłą soczystość, a zarazem pastelowość. Ponad nią przelatywały ptaki o intensywnie barwnym upierzeniu. Te maleńkie latające tęcze śpiewały. Śpiew ten przypominał brzmienie instrumentów z okresu baroku, przede wszystkim klawesynu, wioli i fletu.

Zrobiłem kilka kroków bo puszystej murawie, na której gdzieś rosy różowe i błękitne kwiaty. Bałem się, czy czasem ta idylliczna sceneria nie kryje w sobie zasadzki. Mogła to być tylko zręczna inscenizacja ze strony potencjalnych mieszkańców planety. Musiałem wyruszyć poza kotlinę. Dałem Nixowi rozkaz wyjścia z rakiety. Kiedy zamknął za sobą hermetyczne drzwi, poleciłem mu ruszyć przodem.

Idąc za Nixem stąpającym bezszelestnie na swych pneumatycznych nogach i wężącym wkoło niby pies (obraził by się, gdyby mógł odgadywać moje myśli) miałem w oczach panoramę planety, jaką oglądałem jeszcze przed półgodziną z rakiety. Ten przypadkowy, bo z konieczności wybrany przez nas glob, wydawał się być polem niemal z baśni.

Zbliżaliśmy się do małego lasu na samej krawędzi doliny. Nix zasygnalizował nagle obecność jakichś żywych istot w pobliżu. Na wszelki wypadek wyciągnąłem zza pasa anihilator. Coś się poruszyło pośród drzew. Kiedy zbliżyliśmy się jeszcze trochę, ujrzałem zwierzątko podobne do małej sarny (sarny można było na Ziemi oglądać tylko w paru rezerwatach), o długim, zabawnym pyszczku i świecących sympatycznie oczkach. Zwierzątko machnęło krótkim ogonkiem, spojrzało najpierw na mnie, potem na Nixa, stało przez chwilę bez ruchu, po czym podeszło na swoich czterech delikatnych nóżkach do Nixa i wyciągnęło mordkę. Nix nadał błyskawiczny sygnał wyrażający pytanie, co ma zrobić. – Nic – zasygnalizowałem. Nix stał bez ruchu, a zwierzątko obwąchiwało jego plastikowy korpus, mrugając swymi lśniącymi oczkami... Po minucie merdnęło ogonkiem i odeszło spokojnie w stronę jednego z drzew, na którym zauważyłem małe owoce podobne do mandarynek.

Zwierzątko ujęło mnie tak bardzo swym zachowaniem, że uczyniłem rzecz lekkomyślną. Poszedłem za nim i zerwawszy owoc z drzewa rozgryzłem go. Postąpiłem wbrew wszelkim instrukcjom. Powinienem był poddać owoc uprzedniej analizie chemicznej i bakteriologicznej,

za pomocą podręcznego analizatora, który miałem przy sobie w jednej z kieszeni skafandra... Owoc nie tylko rozgryzłem, ale i zjadłem go. Był przepyszny. Zjadłem po nim kilka następnych z prawdziwą rozkoszą. Nix patrzył na mnie z niemym potępieniem w swych lazurytowych oczach. Uśmiechnąłem się do niego i poleciłem mu iść dalej naprzód.

Przeszliśmy przez lasek, w którym dostrzeżliśmy kilka zwierząt podobnych do pierwszego, tak samo wyzbytych wobec nas wszelkiej obawy, wyszliśmy na większą przestrzeń, jak gdyby łąkę, na której gdzieś widniała kępa drzew. Większych znacznie od tych, jakie tworzyły lasek na wzgórzu. Po zielonkawobłękitnym niebie wędrowały obłoki, różowe i o barwie pereł. Gwiazda będąca słońcem planety znajdowała się bliżej niż słońce Ziemi. Ale świeciła znacznie łagodniej. Jej blask nie raził w oczy. Temperatura wynosiła – jak stwierdziłem – 22 stopnie Celsjusza. Jednak nie odczuwałem gorąca, nie pociłem się, mimo że mój skafander był bądź co bądź dość ciężki, choć wykonany ze szlachetnego tworzywa, geolenu.

Zastanawiałem się, czy nawiązać już łączność z ALFĄ, aby przekazać radosny meldunek o idyllicznych warunkach panujących na planecie, kiedy usłyszałem w moim aparacie zawieszonym pośrodku piersi sygnał wzywający mnie do odbioru. Słyszałem przez chwilę trzask, potem odezwał się głos kapitana Langa – niedobrze... w ko-mo-rze anty-gra-wita-cyjnej... W re-akto-rach... Słyszysz mnie, Ad? Ad! – Tak! – krzyknąłem. – Ad... boję się, że... – głos urwał się. Naciskałem guzik raz po raz, odczuwając coraz to większy lęk. Wreszcie. Znów zabrzmiał na moment przerywany głos kapitana. – Mu-si-my lado... – Głos urwał się gwałtownie. Na próżno przez następne minuty próbowałem nawiązać kontakt.

Minęło jeszcze kilka minut. Nagle usłyszałem jak gdyby grzmot. Po lewej stronie horyzontu pojawił się blask. Serce podeszło mi do gardła. To właśnie tam, na wysokości 400 kilometrów ponad planetą znajdowała się ALFA.

A na ALFIE była Evi, byli wszyscy moi towarzysze, przyjaciele... Evi... Evi... – wyszeptałem... ALFA... Co się stało?

Tkwiliśmy jak wrośnięty na zielonej, soczystej łące, która roztaczała wokół mnie swe balsamiczne wonie, oniemiały, przerażony, zrozpaczony.

Nie wiem co bym zrobił ze sobą po ostatecznym dotarciu do świadomości faktu, że ALFA przestała istnieć (a wraz z nią...), gdyby nie Nix. Podeszedł do mnie i patrzył swymi lazurytowymi oczami, w których zda się – przeblyskiwało współczucie. Sygnalizował do mnie jakieś niepowiązane ze sobą logicznie, wychodzące poza ramy jego zaprogramowanych kodów słowa.

Patrzyłem na niego długo, wreszcie powiedziałem:

– Zostaliśmy sami, Nix. Chyba że... – Wciąż jeszcze mimo wszystko pozostał we mnie cień irracjonalnej nadziei.

– Wracamy do rakiety.

Ruszyliśmy w drogę powrotną. Niedaleko nas przebiegały smukłe, płowe zwierzątka

o długich pyszczkach. Wokół rozlegały się klawesynowe młoteczki i fletowe brzmienia śpiewu ptaków. Ale ja nie zwracałem teraz na nic uwagi, nic nie cieszyło moich oczu i uszu.

Kiedy dochodziliśmy już do kotlinki, przypomniałem sobie naraz strzępy słów kapitana Langa: „musimy lądo...” Przecież to znaczyło, że kapitan zdawał sobie sprawę z tego, że niebezpieczeństwo grozi lada chwila... Od chwili przerwania się kontaktu do chwili eksplozji minęło około dziesięciu minut. W tym czasie mogły wystartować rakiety. Ale gdyby wystartowały, to przecież krążyłyby poszukując mojej rakiety, mnie, aby dowiedzieć się o rezultatach mego zwiadu. Może jednak eksplozja ALFY uszkodziła je, może musiały lądować awaryjnie gdzie bądź, daleko od miejsca, w którym ja się znajdowałem. Planeta nie była mała. Była większa od Ziemi.

Czepiając się tak w myślach strzępów nadziei, ominąłem zarośla zasłaniające widok na miejsce, w którym pozostawiłem rakietę, spojrzałem i zamarłem. Rakiety nie było.

Od chwili gdy opuściłem ją z Nixem, upłynęło nie całe półtorej godziny. Gdyby w kotlinie wylądowała jakaś inna rakietka, spostrzegłbym to niewątpliwie. Start dostrzegłbym również. A więc...

Sprawcą musiał być ktoś inny. Kto? Chyba nie te miłe, płowowłose zwierzątka. Ktoś jeszcze inny musiał być na planecie. Ktoś obdarzony inteligencją i dysponujący wysoką techniką. Ukrycie gdzieś ważące wiele ton rakiety nie było bagatelką. Na murawie nie było żadnych śladów, poza miejscem, w którym rakietka lądowała – było wygniecione i nadpalone. Ktoś musiał więc unieść raketę w powietrzu, przy pomocy jakiegoś bezgłośnego urządzenia. Bo pod ziemię chyba się nie skryła. Niemożliwe, aby akurat w miejscu lądowania znajdowała się tajemna zapadnia.

Stałem pośrodku kotliny i myślałem, że właściwie utrata rakiety nie ma znaczenia, skoro moja Evi prawdopodobnie nie żyje, skoro pozostałem sam, tylko w towarzystwie robota Nixa, na tej planecie.

Nagle Nix, znajdujący się o kilkanaście metrów ode mnie zaczął gwałtownie sygnalizować niebezpieczeństwo. Spojrzałem na niego, wyciągał rękę w kierunku jednego ze wzgórz. Skierowałem wzrok w stronę, którą wskazywał. Na szczycie wzgórza coś było widać. Jakąś ciemną, kłębiącą się niby dym masę. Patrzyłem jak zahipnotyzowany. Ze stoku wzgórza zsuwał się powoli monstrualnej wielkości wąż. Jego ciało, już w tej chwili długie na dobre trzydzieści metrów, nie było konsystencji stałej, lecz jakby gazowej. Pośrodku okrągłej głowy potwora świeciło troje złotych oczu... ta mała konstelacja stanowiła niewątpliwie trwały ośrodek gazowego korpusu.

Wąż długi już na pięćdziesiąt metrów znajdował się coraz bliżej. Nie można było wahać się ani chwili. Wyjąłem anihilator i to samo poleciłem uczynić Nixowi. Potwór pęłzał w naszym kierunku. Jednocześnie z Nixem nacisnęliśmy spusty broni. W miejscach gdzie strumień

niszczących promieni stykał się z ciałem monstrum, powstawały przy akompaniamencie ostrego syczenia, wyrwy, które jednak po chwili zasklepiały się. Wąż pełzał dalej naprzód.

– Nix, cofaj się – wydałem rozkaz. Sam uskokczyłem pospiesznie kilkadziesiąt kroków w tył.

Nix nie zareagował, mimo, że połączenie między nami nie było uszkodzone. Jak gdyby powziął po raz pierwszy i ostatni w swym życiu robota własną decyzję... Stał naprzeciw potwora, kierując lufę anihilatora prosto w jego ślepie. Ślepie te gasły przysłonięte strzępami unicestwianego cielska, kłębiącymi się już i wokół Nixa. Kiedy zapaliły się, Nixa już nie było.

Patrzyłem na to, nie mając sił do dalszej ucieczki. Było mi już wszystko jedno. Zacząłem kierować lufę anihilatora w stronę własnej piersi, gdy straciłem świadomość. Jakbym zapadł w głęboki sen bez snów.

Nie wiem jak długo to trwało. Obudziłem się i zacząłem rozglądać się wokół, nie wiedząc gdzie jestem. Nic nie mogłem dostrzec w otaczających mnie ciemnościach. Tylko gdzieś w górze widać było kilka jasnych, migotliwych punkcików. Obmacałem miejsce, w którym się znajdowałem. Było miękkie. Moje palce wyczuły jakieś znajome kształty. Ależ tak. Znajdowałem się we wnętrzu rakiety. Podniosłem się i zapaliłem górne światło. Miejsce, na którym leżałem przed chwilą, to było łóżce uczynione z połączonych dwu tylnych siedzeń w mojej rakiecie. Obok spoczywał skafander.

Przypomniałem sobie ostatnie chwile przed utratą świadomości. Zniknięcie Nixa w splotach czarnego gazu, przybliżającą się głowę z trojgiem jarzących się oczu... Kto mnie ocalił? Kto mnie przeniósł tu? Kto przedtem przeniósł raketę?

Nie ubierając się w skafander, jedynie w kombinezonie, otworzyłem szybko drzwi” i wyskoczyłem z rakiety. Najpierw ujrzałem niebo. Nocne niebo, bardziej jasne niż na Ziemi, od gwiazd mniej może licznych, lecz za to bliższych, świecących bardziej intensywnym blaskiem.

Później, gdy odwróciłem się nieco w prawo, ujrzałem linię wysokiego lasu ciągnącego się u stóp wzniesień znacznie wyższych od wzgórz otaczających kotlinkę, w której wylądowałem. Poszedłem w stronę lasu, po gęstej murawie rozścielającej się niby dywan pod moimi stopami. Kielichy jaśniejących na łące kwiatów roztaczały różnorodnie wonie. Kiedy przechodziłem koło jakiegoś rosnącego drzewa, usłyszałem śpiew ptaka tak przejmująco piękny, że zatrzymałem się. Wibrował tak wysokimi, a jednocześnie czystymi i łagodnymi tonami, że można go było porównać jedynie do celesty, owego „niebiańskiego” instrumentu, skonstruowanego w początkach XX wieku. Albo do neutronowych fal Larioiosa, które wzbogaciły zasób znanych ludzkości środków muzycznych w sto lat później.

Ptak śpiewał nostalgiczną, krystaliczną w swym skondensowanym liryzmie arię. Stałem obok drzewa i nie byłem w stanie ruszyć dalej. Powiał lekki wiatr, woń kwiatów stała się bardziej dojmującą. Pomyślałem o Evi, którą tak bardzo kochałem. Poczulem w oczach łzy.

Ptak przerwał nagle. I w tejże chwili usłyszałem nieokreślony głos, ni to kobiecy, ni męski,

ale niesłuchanie sugestywny. „Wracaj do domu... Wracaj do domu...” Najpierw pomyślałem: jakże to jest możliwe, przecież nie mam ze sobą aparatu. Dopiero później zastanowiłem się. Kto właściwie przemawia do mnie? Wreszcie na końcu przyszła myśl: co to znaczy „wracaj do domu”? Do jakiego domu? Do rakiety?

Przestraszyłem się. Byłem absolutnie bezbronny. A to coś, czy ten ktoś, kto był autorem telepatycznego komunikatu (telepatia była już od dawna znana na Ziemi, ale tylko niektórzy ludzie zdolni byli nią się posługiwać), mógł okazać się niebezpieczny. Choć należałoby raczej sądzić, że jest to ów ktoś, kto mnie ocalił, a więc nie mógł żywić względem mnie wrogich zamiarów.

Ruszyłem szybko w kierunku rakiety. Ptak odezwał się znów, żegnając mnie wariacjami w tonacji c-dur, przypominającymi gawot jednego z koncertów Corelliego. Zacząłem biec w stronę rakiety, która spoczywała na murawie niby wyrzucona przez morze na brzeg przedhistoryczna ryba. Otworzyłem drzwi. Sięgnąłem do przycisku światła. W tej króciutkiej chwili wiedziałem już, że we wnętrzu rakiety ktoś jest...

Rozbłysło światło. W tym samym miejscu, w którym ja spoczywałem przed trzema kwadransami, leżała Evi.

Przypadłem do niej. Oddychała. Spała, a jej piersi rysujące się wyraźnie pod cienką materią kombinezonu poruszały się rytmicznie. Kiedy przytknąłem głowę aby usłyszeć wyraźnie jej oddech, owiał mnie zapach jej włosów spływających swobodnie długimi, złotymi smugami aż po skraj łoża, na którym spoczywała. Serce biło mi mocno. Mocniej niż wtedy, gdy stałem na wielkiej łące i gdy usłyszałem grzmot, a potem ujrzałem błysk na niebie.

Nie mogłem się powstrzymać, ucałowałem usta Evi, choć to mogło ją przebudzić. A ja nie chciałem jeszcze tego. Musiałem ochłonąć.

Myślałem, że moje nerwy mogą nie wytrzymać tej wielkiej radości, tego szczęścia, że Evi, moja Evi żyje. Jest obok mnie. Nie ważne wszystko inne. Nie ważne, że planeta, na której znajdowaliśmy się oboje kryje tyle tajemnic. Groźnych i cudownych. To drugie słowo brzmiące tak archaicznie dla ludzi XXIV wieku, zyskało dla mnie w tej chwili pewien sens.

Jakże wytłumaczyć logicznie to wszystko, co działo się od chwili opuszczenia przeze mnie pokładu ALFY... Wpojone mi racjonalne podejście do spraw wszechświata nadkruszyło się cokolwiek w obliczu owych faktów, które miały miejsce, ale najbardziej z powodu nagłego i niewytłumaczalnego pojawienia się we wnętrzu rakiety Evi.

Obiektywnym faktem było, że jakieś inteligentne istoty znajdujące się na planecie roztoczyły opiekę zarówno nade mną, jak i nad Evi, której udało się uratować z katastrofy jaka spotkała ALFĘ. Pytanie sprowadzało się do tego, co było powodem takiego, a nie innego postępowania z ich strony?

Naraz uderzyła mnie jeszcze jedna rzecz. Przecież odebrany przeze mnie telepatyczny

komunikat nie brzmiał tak, jakbym odbierał go normalnie, za pomocą słów, pojęć. To dopiero ośrodek centralny mego mózgu przetłumaczył go na słowa, na pojęcia. Treść komunikatu odebrałem bezpośrednio, jak gdyby intuicyjnie. Kimkolwiek były nieznane istoty żyjące na planecie, nie były z pewnością podobne do ludzi. Gdyby bowiem były podobne, nawet jeśli ukrywały się celowo, to przecież zauważyłbym chyba jakieś ślady ich obecności. Lecąc rakieta tuż nad powierzchnią globu nie dostrzegłem niczego, co by przypominało kształty jakichś miast czy osiedli.

Staliśmy się więc z Evi odkrywcami pierwszej planety posiadającej inteligentnych, choć różniących się niewątpliwie bardzo od ludzi formą życia mieszkańców. Na planetach dotąd spenetrowanych zarówno przez ALFE, jak i inne galaktyczne statki fotonowe, spotkaliśmy się jedynie z różnymi przedstawicielami fauny, przeważnie znajdującymi się na tym szczeblu ewolucji, na jakim znajdowały się zwierzęta epoki przed lodowcowej na Ziemi.

Noc trwała, ptaki przestały śpiewać, zapanowała kompletna cisza. Siedząc w otwartych drzwiach rakiety słyszałem tylko oddech śpiącej Evi. Trwałem tak jakiś czas, dopóki nie ogarnął mnie spokojny sen.

Obudził mnie delikatny dotyk. To była dłoń Evi na mojej twarzy. Podniosłem i odwróciłem głowę. Evi siedząca tuż obok mnie bez słowa pocałowała mnie i przytuliła się całym ciałem. Milczeliśmy, wpatrując się w siebie. Wreszcie Evi przemówiła:

– Ad... kochany... Jesteśmy razem... Żyjemy... To oni sprawili...

Jacy oni! – szepnąłem, lękając się spłoszyć głośnym słowem jej pół realną wciąż dla mnie obecność.

– Oni... Niewidzialni. Ci, którzy nas ocalili... Którzy przenieśli tu ciebie i mnie. I rakieta. Którzy powiedzieli mi, jak mam zabić węża...

– Węża? Więc i ty go spotkałaś?

– Och, to było okropne. Równie okropne jak to, co stało się z ALFĄ. Zresztą to, co było również przyczyną...

– Co?

– Wąż... To było tak. Posłuchaj, Ad... Czekaliśmy wszyscy na wiadomość od ciebie. Zgromadziliśmy się, oprócz głównych mechaników, w sali centralnej. Nagle rozległ się sygnał z komory generatorów, gdzie pracowali mechanicy. Odezwał się głos Testokla, jednego z nich. – Za oknem coś jest... Czy wy nie... – głos przerwał, aby za chwilę raz jeszcze odezwać się. – W oknie... To jest... – Na tym koniec.

W trzy minuty później jeden z automatów awaryjnych doniósł, że w komorze generatorów wybuchł pożar. Że zbliża się szybko do zapasów paliwa. Że z ośmiu automatów, które przystąpiły natychmiast do akcji, połowa uległa już zniszczeniu. Zrozumieliśmy, że pozostaje tylko jedno. I że mamy bardzo mało czasu. Kapitan Lang nawiązał łączność z tobą. Została ona

jednak przerwana. Usłyszeliśmy tylko twoje „tak”...

Ruszyliśmy wszyscy biegiem na pokład rakiety. Ja znalazłam się w jednej z małych rakiet, razem z Meą, Golem i Wendem. Przed nami wystartowała rakietka dwunastoosobowa. My tuż za nią. Po dwóch minutach, kiedy oddaliliśmy się od ALFY o jakieś 120 kilometrów, obejrzałam się. Za nami mknęły cztery rakiety. Po chwili nastąpiła eksplozja. Musiałam przymrużyć oczy, mimo że ochraniały je szkła. Gdy otworzyłam je ponownie, nie było już ani ALFY, ani czterech rakiet. Nami też targnęło potężnie, ale wytrzymałyśmy. Znajdowaliśmy się poza zasięgiem eksplozji. Staraliśmy się trzymać kurs na rakieta lecącą przed nami. Byliśmy od niej w odległości około 200 kilometrów. Nagle spostrzegliśmy, że zbliża się do niej jakiś czarny obłok. Znikła w nim. Wend pilotujący naszą rakieta zrobił gwałtowny skręt w prawo. Zbliżaliśmy się już do powierzchni planety. Wybraliśmy najbliższą, niezalesioną płaszczyznę. Wylądowaliśmy...

Evi przerwała na chwilę i przytuliła się do mnie jeszcze mocniej. Czulem, jak jej ciało przebiega dreszcz. Otoczyłem jej plecy ramieniem.

– Och, Ad... Ledwo zdążyliśmy wyjść z rakiety i rozejrzeć się po okolicy, gdy pojawił się on. Zleciał niby czarna chmura z nieba, nieopodał nas. Kiedy zaczął się rozwijać, staliśmy obok siebie nie mogąc uczynić żadnego ruchu. Naraz coś go przepłoszyło. Zwinął się błyskawicznie na powrót w czarną chmurę i odleciał.

Staliśmy długo, nie będąc zdolni do wykrztuszenia choćby słowa. Gol śmiał się histerycznie. Mea tuliła się do mnie, płacząc. Tylko Wend był spokojny.

– Na drugi raz nie zaskoczy nas, tak jak teraz – powiedział. – Mamy przecież anihilatory. Tamci nie zdążyli ich użyć.

– Wend – odezwałam się – nie jestem pewna czy... Mechanicy...

– Oni byli zaskoczeni – powiedział stanowczym głosem Wend. – Opamiętajcie się. Musimy odnaleźć Ada. Powinien być niedaleko nas. Spróbuj nawiązać z nim kontakt. O ile oczywiście... – spotkał się z moim spojrzeniem i przerwał. Zaczął manipulować przy swoim aparacie.

– Do licha! Co się z nim dzieje? Nie zgłasza się.

Wybuchnęłam płaczem. Byłam pewna, że ciebie spotkał podobny los jak wszystkich tamtych.

Pogładziłem Evi po włosach i otarłem chusteczką jej łzy. Potem zapytałem.

– Ile czasu mogło upłynąć od chwili, gdy wąż odleciał, do momentu, kiedy Wend zaczął mnie wzywać?

– Chyba nie więcej jak dziesięć minut. Może nawet mniej.

– A więc w ciągu dziesięciu, czy nawet tylko ośmiu minut zdążył odnaleźć mnie...

– Tak – powiedziała Evi. – Dobrze, że ty chociaż byłeś sam... Co ja mówię zresztą... Przepraszam cię, Ad. Ale ty przynajmniej nie przeżywałeś tego, co... – przerwała na chwilę,

zanim podjęła na nowo.

– Siedzieliśmy obok rakiety, mając coraz to mniej nadziei na to, że ocalałeś. Trzymaliśmy w pogotowiu nasze anihilatory. Zastanawialiśmy się w jaki sposób ustrzeżemy się od nagłego ataku, kiedy zapadnie noc. Przecież nawet jeśli jedno czy dwoje z nas będzie czuwać, to nie będzie rzeczą łatwą zauważyć ową czarną chmurę pośród nocnych ciemności. Nie wiedzieliśmy zresztą, że noce są tu tak jasne.

Poczuliśmy głód. Wyciągnęliśmy kilka porcji z zapasów znajdujących się w rakiecie. Tylko mnie jedzenie nie mogło przejść przez gardło. Myślałam wciąż o tobie. Nie byłam w stanie uwierzyć, że nie żyjesz...

Wtedy on pojawił się znowu. Spęłzył z łagodnego wzniesienia znajdującego się kilkaset metrów od nas. Chwyciliśmy za anihilatory.

Zbliżył się do nas. Nasza broń nie robiła na nim większego wrażenia. Bolały nas już palce od ciągłego naciskania spustów, a on tkwił nieruchomo naprzeciw nas, atakowany bez przerwy strumieniami promieni gamma i patrzył na nas trojgiem swych gorejących oczu.

Pod tym spojrzeniem zaczęłam odczuwać gwałtowne, rosnące z każdą chwilą pragnienie, aby skierować lufę anihilatora w kierunku moich towarzyszy. Odwróciłam celownik od gazowych splotów potwora. Ręka mi drżała. Walczyłam ze sobą całą siłą woli. Kątem oka spostrzegłam, że podobną walkę toczą w sobie Mea, Wend, Gol.

Zmagaliśmy się tak dość długo, pod przenikliwym, potęgującym swój blask spojrzeniem trojga oczu. Wreszcie Mea krzyknęła i rzuciła swój anihilator na ziemię. Ja wycelowałam lufę mojego na powrót w głowę potwora.

Wend uczynił to również. Natomiast Gol... Gol odwróci) szybko swą broń w kierunku Mei. W ułamku sekundy przestała istnieć. Za chwilę ten sam los spotkał Wenda, ja mogłam unicestwić Gola. Ale nie byłam w stanie tego uczynić. Przecież wiedziałam, że winna była tylko jego zbyt słaba wola...

Gol puścił swoją broń. Patrzył na mnie przez chwilę pełnym bólu i niedowierzania spojrzeniem. Następnie przytknął lufę do swej piersi i nacisnął spust.

Wtedy poczułam jak gdyby czyjaś obecność koło siebie, odezwał się we mnie głos: „użyj koncentratora świetlnego”, choć nie słyszałem żadnych słów...

– Wiem – przerwałem Evi – mów dalej.

– Koncentratów świetlnych, czyli laserów używaliśmy jako narzędzi do przecinania i kruszenia twardych materiałów... Nigdy nie przyszło by mi na myśl, że można go użyć jako broni. Wszak anihilator był dotychczas zawsze, w każdych okolicznościach skuteczny.

Waż obserwujący mnie dotąd nieruchomo, zaczął się cofać. To było zaskakujące. Ale domyśliłam się, że powodem tego faktu była niewidzialna obecność, którą odczuwałam w dalszym ciągu.

Wyciągnęłam szybko koncentrator. Wąż był już zwinięty. Jeszcze chwila, a zniknąłby. Jednak zdążyłam. Czarna chmura zaczęła się kurczyć, wreszcie nie zostało z niej nic. Moje nerwy nie wytrzymały tak wielkiego i długotrwałego napięcia. Zemdlałam, czy też raczej zasnęłam.

Gdy obudziłam się, spostrzegłam ciebie czuwającego u wejścia do rakiety. Usiadłam obok ciebie. Wtedy usłyszałam ów głos, nie głos, ten sam co przedtem.

– Jesteście we dwoje. Możecie tu żyć szczęśliwie.

Teraz jesteście sami, ale później ta planeta stanie się nową Ziemią... Nie wiesz wprawdzie kim jesteście, lecz może to odgadniesz. Pewnie się dziwisz, dlaczego ci wszyscy, którzy byli z wami zginęli. Dlaczego nie uratowaliśmy ich także. To należy do spraw, które trudno wam zrozumieć.

Nie rozumiecie jeszcze tak bardzo wiele...

Głos umilkł, a ja siedziałam obok ciebie i patrzyłam w gwiazdy, które jakby uśmiechały się do nas, starały się przekazać nam swoje pozdrowienie...

Kiedy Evi zakończyła, siedzieliśmy długo w milczeniu, obejmując się mocno. Noc zdawała się już kończyć. Niebo zaczęło błękitnieć. Odezwał się ptak, ten sam, którego śpiewu słuchałem zanim rozległ się głos każący mi „iść do domu”...

Gdy spoza horyzontu ukazał się rąbek słońca, powiedziałem do Evi.

– Gdzie zbudujemy nasz dom?

Popatrzyła na mnie z uwagą.

– Założymy go tu. Zbudujemy go sami, we dwoje. Będzie inny od tych, jakie są na Ziemi, montowane z gotowych części przez roboty. Będzie naprawdę nasz – wybuchnęła szczęśliwym śmiechem, później spoważniała znów.

– Ad. Odszukajmy teraz to miejsce, gdzie... Pójdziemy tam pieszo. To na pewno nie jest daleko...

Słońce weszło nad horyzontem. Ponad nami unosiły się tęczowe ptaki. Szliśmy po miękkiej murawie, mijając kępy szmaragdowych drzew, zarośla i gaje pełne pachnących owoców. Jedliśmy je w drodze, rozkoszując się ich soczystością i smakiem. Co chwila przemykały w pobliżu nas płowowłose zwierzątka o długich pyszczkach. Niektóre z nich podchodziły i obwąchiwały nas z ciekawością. Kiedy minęliśmy jedno z większych skupisk drzew, usłyszeliśmy nagle plusk i za chwilę stanęliśmy na brzegu dużego strumienia, płynącego kręto pośród pasma falistych pagórków.

Evi klasnęła w ręce.

– Ad. Wykapmy się! Tak tu pięknie!

Za chwilę i ja znalazłem się w strumieniu. Biegaliśmy w wodzie, pluskając na siebie, goniąc się i śmiejąc w dziecinnym rozradowaniu. Długie, złote włosy Evi rozwiewały się niby smuga

światła.

Później leżeliśmy obok siebie na łagodnym stoku zielonego wzgórza. Gdy odpoczęliśmy trochę, ruszyliśmy – trzymając się za ręce – w dalszą drogę.

Znaleźliśmy to miejsce, któremu nadaliśmy nazwę Doliny Węża. Patrzyliśmy na rakieta stojącą pionowo niby pomnik. Bez słowa wyjęliśmy koncentratory (które zabraliśmy przezornie ze sobą) i ustawiliśmy w nich skalę nie na całkowite spalanie, lecz na topliwosć. Rakieta w ciągu kilkadziesięciu sekund zamieniła się w rzeźbę, przypominającą w ogólnych zarysach postać astronauty w skafandrze.

Później stanęliśmy znów obok siebie.

PRZESTĄPIĆ STYKS

Wgryzaliśmy się w krystaliczne pokłady planety. To już był nie wiem który rejs naszego Eksploratora Zero, jedyne jak dotychczas egzemplarza nowego typu szperacza wewnątrzziemskiego, który mógł – jak zapewniał jego konstruktor, Dave Clash – zapuścić się ponad czterysta kilometrów w głąb. Dotychczasowe szperacze nie były w stanie przekroczyć granicy siedemdziesięciu kilometrów...

Byliśmy w tej chwili z Rolfem na poziomie trzysta siedemdziesiąt. Wszędzie wokół rozciągały się pokłady tristenu, który nie nadawał się do niczego, poza wykorzystaniem do celów zdobniczych. Poszukiwaliśmy rozpaczliwie owego tajemniczego składnika wewnętrznej skorupy ziemskiej, który podobno miał nas uratować przed klęską energetyczną. Jakoś nie udało nam się, wbrew przewidywaniom uczonych z ubiegłego wieku, wykorzystywać energii kosmicznej. To było jednak ponad siły naszej, tak wspaniałej cywilizacji.

Wspaniałej? O, tak, była rzeczywiście wspaniała. Cała należąca jeszcze do nas część planety (Podwójny Kontynent) została doszczętnie oskalpowana. Pozostały tylko nieliczne rezerwy przyrody, sztuczne Ogrody Wypoczynku, dostępne jedynie dla wybrańców. Pejzaż ziemski już od kilkudziesięciu lat przypominał u nas prawie księżycowy. No, może przesada, ale niewielka...

Księżyc. Na jednej ze stacji księżycowych przebywa Maggie, moja Maggie, jeśli to pojęcie cokolwiek jeszcze znaczy. Była moja niewątpliwie wówczas, gdy byliśmy razem przez kilkanaście miesięcy na Morzu Arktycznym. To znaczy w jednym z pływających miast, znajdujących się w tym rejonie. Pamiętam dobrze, jak spacerując wieczorami po ogrodzie pełnym kwiatów zasadzonych przez Spółkę Roślinną „Flora”, wdychając ich intensywny zapach patrzyliśmy w niebo. Niebo, na którym migotały tysiące świetlnych punktów pomykających przez przestrzeń... Jedne wolno, inne szybciej.

– Kiedyś ludzie patrzyli na gwiazdy – powiedziała Maggie.

– Gwiazdy? – zdziwiłem się. – Ach, tak, rzeczywiście. Przecież czytałem o tym. Ale... zapomniałem... – przyznałem się z niejakim wstydem. Maggie czytała znacznie więcej książek ode mnie. Ja wołałem oglądać trójwymiarowe filmy.

Maggie, czy ona jeszcze myśli o mnie, podobnie jak ja o niej? Związki międzyludzkie są tak nietrwałe. Niegdyś, wiem o tym z książek (nie z filmów, gdyż te unikały ukazywania przeszłości) łączyło ludzi coś, co nazywało się miłością... Także wspólnie wychowywano dzieci, które dziś oddawane są wkrótce po urodzeniu do Ośrodków na Wyspach Pływających... Gdybyśmy nawet mieli dziecko z Maggie, to też nic by nie było. Dlaczego właściwie wciąż myślę o niej, zamiast przestawić się wewnętrznie na jakąś inną kobietę.

– Trzysta osiemdziesiąt dziewięć – wykrzyknął Rolf.

– Przestań spać, Mark. Czuję, że dzisiaj nam się uda!

Na ekranie wizjera połyskiwały nieskończone złoża tristenu. Coś jednak zdawało się zmieniać. Barwa? Konsystencja?... Zagłębialiśmy się bardzo wolno, ale jednak schodziliśmy wciąż w głąb. Ziemia wpuszczała nas, broniła się, a jednak musiała ustępować cal za cal. Przecież musieliśmy żyć, musieliśmy odbierać jej skarby, których miała jeszcze z pewnością bardzo wiele. Może kiedyś poszukamy jakiejś innej Ziemi, ale na razie ta jest naszą matką, którą zjadamy po trochu, po kawałeczku, lecz cóż innego możemy robić?

– Trzysta dziewięćdziesiąt trzy! Czy dajemy znać do Centrali?

– Jeszcze nie, jeszcze zaczekajmy, Rolf, aż dojdziemy do czterystu. Nie wiadomo, czy nam to się uda, chociaż skład masy wyraźnie się zmienia. Może dlatego właśnie nie utknęliśmy do tej pory... Czy myślisz, że naprawdę możemy dojść do tego legendarnego „Iksa”?

– Tak myślę – Rolf spojrział na mnie i wyszczerzył zęby. Rzadko zdarzało mu się uśmiechać, ale gdy to czynił, to już całą gębą. – Mark, zrobimy to! Złapiemy starego „Iksa” za ogon i wtedy świat będzie nasz!

– Nasz? Masz na myśli, że... wyślą nas na Wyspę Szczęścia?

– To także, Mark. Ale nie tylko to. Dzięki „Iksowi” znów ruszymy pełną parą i prześcigniemy tamtych. Zmusimy ich wreszcie do uznania, że jesteśmy lepsi! Po przeszło stu latach, pomyśl tylko!

Przyjrzałem się uważnie Rolfowi. Nie lubiłem, kiedy zaczynał mówić o „nas” i o „nich”. To była jedna z rzeczy, które nie miały sensu. Może właśnie rzecz najważniejsza. Ten podział... Zupełnie jak gdyby Ziemię zamieszkiwały dwie rasy kosmiczne. Jakby istniały obok siebie dwie cywilizacje... Chociaż poniekąd tak właśnie było. My wiedzieliśmy dużo o nich. Oni wiedzieli tak samo o nas. Ale istniał wciąż ten mur. Nieufności? Strachu? Istnieliśmy obok siebie w spokoju długo. Od ostatnich małych wojen lokalnych upłynęło ponad pół wieku. Trwała stabilizacja, oparta w dużej mierze o posiadane zapasy śmiertelnej broni.

To nie było zdrowe z pewnością, ten dziwny stan ni to przyjaźni, ni to wrogości. Nas było znacznie mniej niż ich. Właściwie, gdyby chcieli, to by mogli nas zaatakować w ciągu tego pół wieku. Wygraliby, chociaż i im by się dostało. Nie wiem właściwie dlaczego tego nie uczynili. Może dlatego, żeby nie doprowadzić swojej, większej części planety, do takiego stanu, w jakim znajdowała się nasza? To idiotyczne, ta niechęć, prawie nienawiść, która drzemie w Rolfie i w niektórych innych ludziach z naszego świata. No cóż, odpowiednie wychowanie też robi swoje. Nawet jeśli później człowiek nie wszystkiemu wierzy, co mu się kładzie w głowę...

– Mark! Czterysta! – krzyknął Rolf. – Jest już czterysta! Daję znać, że przeszliśmy. I że idziemy dalej.

Nacisnął guzik komunikatora, ozwał się leciutki brzęczyk, a później głos Centrali.

– Centrala 4... Centrala 4...

– Mówi EKS Zero. Składam meldunek... Minęliśmy przed chwilą poziom czterysta! Idziemy

dalej! – triumfalny głos Rolfa załamał się prawie.

– Co widzicie?

– Zmiany w masie. Coś, jakby szara zieleń. Konsystencja mniej gęsta.

– Utrzymać stały kontakt. Meldujcie wszystkie zmiany Schodźcie aż do oporu.

Rolf wahał się przez moment, po czym zapytał:

– Czy jednak nie grozi nam?... Mamy już poziom czterysta dwa...

– Tak, groźba istnieje. Mimo to schodźcie dalej. Musicie sprawdzić, czy jesteście nadal w tristenie, czy też jest to coś innego.

– Tak – odpowiedział Rolf. – Schodzimy dalej. Mamy już czterysta trzy.

Schodziliśmy wolno, lecz nieustannie w głąb. Masa wokół nas zdawała się jakby lekko rozjaśniać. Czyżby zbliżała się chwila odkrycia „Iksa”? Wierzyliśmy w jego istnienie, a zarazem wątpiliśmy. Przygodą było już samo penetrowanie wnętrza Ziemi, zwłaszcza odtąd, odkąd dostaliśmy naszego unikalnego EKS-a.

– Mark! Patrz!

Ekran wizjera coraz bardziej rozjaśniał się. Rozległ się głos Centrali.

– Dlaczego milczycie? Na jakim poziomie jesteście?

– Czterysta siedemnaście – powiedział Rolf, patrząc bez przerwy w ekran wizjera. – Nie wiemy... – przerwał, bowiem w tejże chwili ekran rozjaśnił się jeszcze bardziej i... znaleźliśmy się na powierzchni ziemi.

Tak. Eksplorator Zero wyszedł na powierzchnię i automatycznie zatrzymały się jego silniki. Rolf patrzył jak zahipnotyzowany w ekran. Ja byłem nie mniej od niego zdumiony i wstrząśnięty. Staliśmy na rozległej łące, porośniętej gęstą murawą, nie przypominającą ani „gwarantowanej trawy” Spółki Roślinnej „Flora”, ani nawet tej, jaką oglądałem w którymś z Rezerwatów...

Spojrzałem na Rolfa i zrozumiałem, że obaj pomyśleliśmy to samo. Że jakimś cudem (ale jakim?) znaleźliśmy się u „nich”. Na twarzy Rolfa widniało przerażenie. Powiedział prawie szeptem:

– No, dadzą nam... – Ale jak to mogło się stać? Wzrok jego spoczął na komunikatorze.

– Musimy...

– Nie działa – rzekłem. – Już od momentu, kiedy... kiedy przekroczyliśmy poziom czterysta siedemnaście.

Popatrzył na mnie w milczeniu. Wreszcie powtórzył głucho:

– Czterysta siedemnaście... – A po chwili, jakby coś zrozumiał. – Nic innego, tylko „Oni” musieli to urządzić... Nie wiem jak, ale przechytrzyli nas, wyprowadzili w pole...

– Nie – powiedziałem. – To jest coś innego. Spójrz na słońce.

Spoza zielonego wzgórza ukazała się tarcza słoneczna.

Matowe, choć zarazem bardzo jasne światło tego słońca było całkiem odmienne od tego, które prześwitywało blado przez szarą mgłę znanego nam nieboskłonu. Ale nie o to chodziło. Słońce które widzieliśmy na ekranie, promieniowało inaczej. I znajdowało się bardzo blisko ziemi. Mogliśmy to stwierdzić nawet my, posiadający tylko podstawowe wiadomości z zakresu fizyki.

– Mark, czy nam to wszystko nie śni się czasem? – Rolf patrzył na błękitne niebo, które zdawało się przenikać do wnętrza maszyny, a nie odbijać się tylko w ekranie, niebo, po którym płynęły wolno białe obłoki.

– Wyjdźmy na zewnątrz – powiedziałem. – Przekonamy się w ten sposób czy śnimy, czy też może znajdujemy się na jakiejś innej planecie...

– Innej?... – Rolf, nie ruszając się z miejsca patrzył na mnie przeciągle.

– Zwariowałaś, Mark. Tak! Obaj zwariowaliśmy! Albo też... – zawiesił głos. – Albo to wszystko, to tylko specjalnie dla nas przygotowana halucynacja.

Otworzyłem włącznik i wyszedłem na zewnątrz. Poczulem czyste, pachnące powietrze – łagodne dotknięcie słonecznych promieni. Postąpiłem kilka kroków, murawa ugięła się miękko. Niedaleko, o kilka metrów, rosły jakieś kwiaty o pastelowych barwach, pomarańczowej i żółtozłotej.

W ślad za mną opuścił wnętrze EKS-a Rolf. Stał obok mnie z nieprzytomnym wyrazem twarzy i patrzył nieruchomo przed siebie. Usłyszeliśmy nagle jakieś dźwięki, ciche niby tony dalekich skrzypiec. Zbliżały się. Wreszcie spoza wzgórza wyszły dwie postacie. Nie spostrzegły nas z początku i dążyły nadal przed siebie, bieląc się pośród zieleni łąki. Naraz zatrzymały się. Stały długą chwilę bez ruchu. Później zaczęły zbliżać się do nas.

To były dwie młode kobiety, w prostych, lecz świetnie wymodelowanych sukienkach z cienkiej materii, uwydatniających zgrabność ich ciał, lecz nie w sposób podobnie wzywający, jak strój kobiet naszej Cywilizacji. Kobiety, raczej dziewczęta, miały smagłą, lekko brązową skórę i wyraziste oczy o dużych rzęsach. Mówiły coś melodyjnym językiem, w którym nie byłem w stanie rozpoznać żadnego ze znanych mi języków Ziemi. (Czyżbyśmy naprawdę zostali przeniesieni na inny glob? – przemknęło mi przez głowę.)

Z twarzy Rolfa zaczął znikać lęk. Odwrócił się do mnie i powiedział:

– Jeśli to nawet tylko sen, to muszę przyznać, że całkiem miły.

Kobiety-dziewczęta patrzyły na nas z radością. Mówiły coś do nas, lecz nic z tego nie rozumieliśmy. Jedna z nich zbliżyła się do mnie, spojrzała prosto w oczy i powiedziała wyraźnie:

– Lir-tis.

Zrozumiałem. Odrzekłem więc.

– Mark...

– Maaark – powtórzyła przeciągle, uśmiechając się.

Później ujęła moją rękę. Spostrzegłem, że także jej towarzyszka chwyta dłoń Rolfa. Czy to czasem nie jest podstęp – przemknęło mi błyskawicznie przez myśl. Czy...

W tej chwili utraciłem przytomność, tak mi się przynajmniej wydawało, gdyż praca mego mózgu przerwała się na określoną chwilę.

Kiedy świadomość powróciła, skonstatowałem, że nie jesteśmy na zielonej łące pośród wzgórz. Znajdowaliśmy się na kamiennym placu jakiegoś miasta. Na placu? Nie, raczej na obszernym tarasie, położonym dość wysoko, gdyż niezbyt daleko, o kilka kilometrów, wznosiła się prosto ku niebu wysoka wieża. Jej podstawa była poza zasięgiem mego wzroku, gdzieś w dole...

Obok mnie stała Lirtis, trzymając mnie wciąż za rękę. Za naszymi plecami usłyszałem głos drugiej z kobiet, przemawiającej do Rolfa. Pośród melodyjnych słów powtarzało się jedno: Ne-a. Nea.

Lirtis poprowadziła mnie ku kamiennej balustradzie. Spojrzałem na miasto rozciągające się w dole, wznoszące się tarasowato pośród zieleni, wśród której gdzieniegdzie przebłyskiwała woda niewielkich jezior. Miasto było piękne. Piękniejsze od wszystkich jakie znałem. Skąpane było w łagodnym blasku słońca, okryte czystym, błękitnym niebem. – A-tlan-tis... – powiedziała dziewczyna. Puściła moją rękę. Uniosła dłonie jakby w modlitewnym geście. Później uśmiechnęła się do mnie, ale jej twarz przyobekł na chwilę smutek. Spoważniała. Ujęła znów moją dłoń i poprowadziła mnie, niby dziecko, w kierunku budynku znajdującego się po drugiej stronie placu-tarasu. Usłyszałem za nami ciche kroki Nei i Rolfa.

Jesteśmy tu już osiem dni. Rolfa po pierwszej naszej rozmowie z Bezimiennym, spotykam rzadko. Kiedy widzimy się, spogląda na mnie z gniewem i szyderstwem. Myśli o czymś intensywnie, ale nie dzieli się swymi myślami ze mną. Wiem, co to znaczy.

Zanim jednak powiem o Rolfie, powrócę do rozmowy, a raczej kilku rozmów z Bezimiennym, które w mej pamięci ułożyły się w jeden ciąg, w historię zdającą się być wytworem czystej fantazji. A jednak prawdziwą. Historię, której właśnie mnie zdarzyło się wysłuchać (jak i dotrzeć tu, do Atlantis): Mnie... i Rolfowi.

Wciąż pamiętam spojrzenie Bezimiennego spoczywające na nas wtedy, gdy znaleźliśmy się po raz pierwszy przed nim. Spojrzenie tego starca, który zachował piękność, szlachetność właściwą wszystkim mieszkańcom Wnętrza Ziemi, spojrzenie intensywne, wyrażające nie zdumienie, a radość, nie nieufność, a braterską miłość. To pojęcie straciło tam „na górze”, u nas, wszelkie znaczenie. Było pojęciem z zamierzchłych ksiąg. Odnalazłem jego sens w oczach Bezimiennego i wszystkich, których spotkaliśmy w Atlantis... Zrozumiałem już wtedy, od pierwszej chwili, że nie mogę zawieść tej ufności, tej przyjaźni, wywołującej we mnie drzenie serca, uczucia jakich dotąd nie zaznałem.

Nie rozumieliśmy się z początku nic a nic. Wydało mi się nagle upokarzające, że trzeba było użyć martwego, choć inteligentnego przedmiotu jakim był Translator Myślowy (tak ja go nazwałem), zbudowanego przed tylu tysiącami lat, aby mogli się ze mną porozumieć ludzie, których dzieliły nieskończone wieki wzajemnej niewiedzy o sobie... żyjących jak gdyby na dwóch odległych planetach. A przecież było to tylko czterysta siedemnaście kilometrów skorupy ziemskiej...

Na to spotkanie oczekiwali Atlanci tak długo, pozostawiając w spadku z pokolenia na pokolenie gorzką wiedzę, oraz wciąż nie gasnącą nadzieję, więcej – pewność – że do spotkania kiedyś dojdzie. I że będzie ono zapowiedzią rychłego powrotu na powierzchnię ojczystej planety. Pod jej niebo...

Prawdziwe, pełne gwiazd w nocy, a słonecznego światła we dnie. Światła mniej łagodnego, mniej pieśzcotliwie dotykającego twarzy, lecz ofiarowywanego Ziemi przez prawdziwe Słońce.

Przyjmowali nas jako tych, którzy przynosili ze sobą spełnienie odwiecznej tęsknoty. Jako wysłanników nowej, szczęśliwej Ziemi. Mnie i Rolfa, pilotów szperacza wewnątrzziemskiego, typu Eksplorator Zero...

Oto, czego dowiedzieliśmy się z rozmów z Bezimiennym, sprawującym wśród Atlantów funkcję podobną, jaką niegdyś pełnili wśród wielu ludów arcykapłani.

To stało się czternaście tysięcy trzysta siedemdziesiąt trzy lata temu. Istniały na Ziemi trzy wielkie cywilizacje, pokrewne sobie ale wrogie. Atlanta pragnęła zdobyć prymat, gromadziła więc zapasy broni zdolnej zniszczyć ogromne połacie lądów. Istniało już jednak wtedy Bractwo, organizacja religijna i społeczna ludzi głoszących przyjaźń, miłość, pokój. Organizacja rozrastała się i dysponowała coraz większymi środkami materialnymi. Nie była jednak w stanie przeszkodzić temu, co miało nastąpić w niedługim czasie...

Przywódcy Bractwa zrozumieli, że nie odwrócą zbliżającego się nieszczęścia. Byłoby to trudne nawet wtedy, gdyby nastąpiły zasadnicze zmiany w ich ojczyźnie. Bowiem jedna z dwóch pozostałych cywilizacji dążyła już wówczas zdecydowanie do starcia.

Pośród tysięcy członków Bractwa byli także uczeni. To jeden z nich odkrył Bramę do wnętrza Ziemi. Znajdowała się ona – i znajduje do dziś – pośród szczytów górskich, w Kordylierach... Kilkudziesięciotysięczna rzesza zgromadziła na statkach powietrznych wszelkie posiadane przez siebie wytwory cywilizacji (poza bronią) i udała się na południe, wylądowała w dzisiejszej Ameryce Południowej. Wówczas był to ląd prawie nie zamieszkanym, jeśli nie liczyć prymitywnych plemion górskich. Wobec rządu Atlanty zgłoszono tę wyprawę jako pielgrzymkę Bractwa do siedziby Słonecznego Boga. Władcy Atlanty byli zadowoleni, że pozbyli się „niepożądanego elementu”. Kiedy statki patrolowe, wysłane w jakiś czas później zameldowały, że nie widzą żadnych śladów „pielgrzymki”, uznano z ulgą, że członków Bractwa spotkała zagłada.

Tymczasem oni rozpoczynali swoją długą drogę poprzez wieki, budując własną cywilizację wewnątrz Ziemi. A mogli ją budować dlatego tylko, że stali się jedynymi na planecie posiadaczami tajemnicy. Tajemnicy polegającej na tym, że Ziemia stanowiła w nieokreślonej przeszłości (uczni w Atlantis przypuszczali, że było to 170000 do 210000 lat temu) swego rodzaju stację kosmiczną dla przedstawicieli jakiejś galaktycznej supercywilizacji wędrującej od środka galaktyki ku jej krańcom. Statki przestrzenne owych przybyszów lądowały na Ziemi, w drodze ku nieznanemu skupisku gwiazd. Dlaczego „zagospodarowali” oni wnętrze planety? Dlaczego stworzyli w jej środku sztuczne słońce? Dlaczego pozostawili po sobie zapasy energii o mocy, którą trudno sobie w ogóle wyobrazić... Nie sposób dać zdecydowaną odpowiedź na wszystkie te fascynujące pytania. W każdym razie dzięki tajemniczym przybyszom z kosmosu, powstała wewnątrzziemska cywilizacja Atlantów.

W cztery lata po exodusie Bractwa, przestała istnieć Atlantyda. Niedobitki jej mieszkańców dotarły do brzegów Afryki i Ameryki Środkowej, założyły swoje państwa, mieszając się częściowo z zamieszkującymi wcześniej te ziemie ludźmi. Ale bezpowrotnie przeminęło potężne imperium. Przeminięła wspaniała cywilizacja techniczna. W śmiertelnym zwarciu zostały zdruzgotane również dwa pozostałe, konkurencyjne imperia. Ci z mieszkańców planety, którzy ocalili, musieli zaczynać prawie od nowa. Nie groziła im już jednak owa broń, ścierająca z powierzchni Ziemi w mgnieniu oka największe nawet miasta.

Ci, którzy zstąpili do wnętrza planety, ślubowali, że nie wyjdą na jej powierzchnię wcześniej, nim nie zapanuje na niej wieczny pokój, braterstwo wszystkich ludzi. Przez całe wieki wysłali co pewien czas zwiadowców, aby sprawdzić czy nie nadchodzi upragniony czas. Niestety, nie nadchodził. Planeta, co prawda, dźwignęła się ze zniszczeń, nic jednak nie zapowiadało, aby miała na niej zapanować zgoda i miłość. Wysłannicy wracali i jedynym śladem ich kontaktów z „ludźmi powierzchni” były krążące na Ziemi legendy o „podziemnym świecie umarłych”, a także o „antypodach” i żyjących gdzieś rzekomo „do góry nogami”...

Rzeczywiście, istniejący wewnątrz planety układ grawitacyjny, będący dziełem kosmitów, umożliwiał poruszanie się „do góry nogami” w stosunku do powierzchni.

Później przestano wysyłać zwiadowców. Uznano prawie za dogmat, za prawdę niemal religijną, że kiedy na Ziemi zapanuje powszechne braterstwo, wówczas wysłannicy zjednoczonej ludzkości odnajdą drogę do podziemnej Atlantydy i wezwą jej mieszkańców do Powrotu...

Długo milczałem po wysłuchaniu opowieści Bezimiennego, po pierwszej z nim rozmowie. To było tak bardzo smutne. Oczy Bezimiennego i innych znajdujących się w sali Atlantów spoczywały na nas, oczekujące i pełne nadziei. Opuściłem głowę. Przemknęły mi przez nią, niby strzępy filmu, obrazy naszej „wspaniałej” cywilizacji, której byłem przedstawicielem (na moment mignęła też twarz Leny). Cóż miałem powiedzieć? Czy powinienem kłamać? Dla dobra „nas”, czy dla dobra tych tak ufnie patrzących, oczekujących na kres trwającego czternaście

tysięcy lat oczekiwania...

Postanowiłem powiedzieć prawdę. Kiedy jednak zacząłem, Rolf zerwał się gwałtownie z miejsca i krzyknął.

– Mark! Zamknij się, bo... – popatrzył na mnie groźnie. A odwróciwszy się do Bezimiennego, powiedział.

– Posłuchajcie mnie. On jest trochę... niespełna rozumu. Nie wierzcie temu, cokolwiek wam powie.

Bezimienny popatrzył kolejno na nas obu. Później rzekł:

– Jesteśmy wszyscy nieco zmęczeni. Powieście nam, jak jest na Ziemi później... Musicie powiedzieć nam prawdę, jakakolwiek by ona była. Czekaliśmy tak długo na tę chwilę...

Następnych dni wzywano nas do Sali Obrad osobno. Nie wiem, co powiedział Atlantom Rolf, ale mogłem się tego domyślać. Chociażby po tym, że podczas obiadu nachylił się nad stołem i rzucił twardym głosem:

– Nie popsuj wszystkiego, idioto! Musimy postępować politycznie. Pamiętaj, że najważniejszą rzeczą jest nasza Cywilizacja. I, że musimy zdobyć dla niej nowe źródła energii!

Nie odpowiedziałem wówczas nic, ale niebawem doszło do zasadniczego spięcia między nami. Stało się to w trzy dni później, kiedy Rolf zorientował się ostatecznie, że Atlanci wiedzą już wszystko o sytuacji panującej na Ziemi, wiedzą – dzięki mnie.

Zbliżył się do mnie z twarzą wykrzywioną nienawiścią (było to w ogrodzie, w chwilę po rozstaniu z Lirtis, z którą odbywałem spacer pośród wiecznie zielonych drzew...)

– Zdrajco! Wiem, co naplotłeś o naszej Cywilizacji! I ci... ci pierwotniacy uwierzyli tobie, a nie mnie. Lecz na nic to się nie przyda. I tak dobierzemy się do ich skarbów! Zrobimy to szybko, aby nie przyszło im na myśl wyprodukowanie jakiejś broni... Poza tym „tamci” na górze, nic nie będą w stanie nam zrobić, kiedy będziemy mieli taki schron atomowy... Powiedz, co z tobą? Zwariowałeś, czy może to z powodu tej... dziwki, która tak potrafi przewracać oczami?

Chciałem go uderzyć, ale nie zrobiłem tego. Wiedziałem, że nic a nic nie zrozumie, wierząc ślepo w swoją „jedyną prawdziwą” Cywilizację i że nigdy nie będzie świadom tego, iż spotkanie z nią Atlantów stałoby się dla nich nieszczęściem. A także dla całej planety, gdyby cywilizacji, do której należeliśmy z Rolfem, opanowała nieprzebrane zasoby energii pozostawione przez kosmicznych wędrowców...

Wiedziałeś, że Rolf coś knuje. Należało go za wszelką cenę uprzedzić. Uniemożliwić zawiadomienie przez niego naszej Centrali. Tam na górze byli już przekonani, że zginęliśmy. Ale to ich nie powstrzyma przed skonstruowaniem i wysłaniem nowego eksploratora. To tylko kwestia czasu.

Wiedziałem również, że Atlanci nie są w stanie zrozumieć, tak naprawdę, niebezpieczeństwa

jakie stanowił Rolf. A również, potencjalnie – i ja. Stwierdzili po prostu ze smutkiem, po tym co im opowiedziałem, że jeszcze będą musieli poczekać na Powrót, wznawiając jednakże stary obyczaj wysyłania co pewien czas zwiadowców. Wyzbyli się natomiast, po tysiącach lat życia w pokoju i wzajemnej miłości czegoś, co można nazwać instynktem obronnym. Nie mogą po prostu uwierzyć, że grozi im ujarznienie ze strony Cywilizacji, której byłem przedstawicielem. Ja i Rolf. Chociaż uwierzyli mnie, to jednak kłamstwa Rolfa traktowali po trosze jako pragnienie idealizowania rzeczywistości, wynikające z miłości do ojczyzny...

Nie mogłem dopuścić do tego, aby Rolf... Muszę natychmiast dowiedzieć się, gdzie znajduje się Eksplorator.

Chciałem zapytać o to Lirtis, ale nie mogłem jej znaleźć, zapytałem więc jednego z najbliższych towarzyszy Bezimiennego, Peruela. Wydawał się być zdziwiony.

– Ależ tam, gdzie go pozostawiliście. Nic mu nie mogło się stać...

Poprosiłem Peruela, aby mi towarzyszył. Zresztą było to konieczne i z tej przyczyny, że sam nie byłem w stanie błyskawicznie przemieścić się w przestrzeni, jak to potrafili Atlanci.

„Wylądowaliśmy” o kilkadziesiąt metrów od Eksploratora Zero. Nie będę w stanie tego darować sobie nigdy. Bo może jeszcze byśmy zdążyli. A tak, nie mając żadnej broni...

Tuż obok Eksploratora walczyli ze sobą Rolf i Lirtis. Rolf usiłował zmusić dziewczynę, aby weszła do środka maszyny (chciał mieć niewątpliwie żywy „dowód” dla Centrali). Lirtis opierała się ze wszystkich sił. Nagle, zanim Paruel zorientowawszy się w sytuacji chwycił na powrót moją dłoń, aby przeprowadzić korektę naszego „lądowania”, Lirtis zachwiała się i upadła. Rolf czymś ją uderzył.

Nie zdążył wciągnąć ciała dziewczyny do środka maszyny. Byliśmy już obok niego. Nie, nie chciałem świadomie zabić Rolfa, ale go zabiłem. Mój cios trafił go prosto w skroń. Upadł bez jęku, obok zamordowanej przez siebie dziewczyny.

Tak więc zadałem po raz pierwszy (i oby ostatni) śmierć drugiemu człowiekowi. Nie zapomnę o tym, podobnie jak i o śmierci Lirtis... Myślę jednak czasami, że to było potrzebne. Dzięki temu bowiem ocaleje Atlanta. A może i cała planeta, będąca naszą wspólną ojczyzną. Ojczyzną wszystkich ludzi.

Powrócę Eksploratorem Zero na powierzchnię. Powiem, że Rolf zginął w czasie naprawiania awarii maszyny. Uczczą go jak bohatera. Sprawią mu wspaniały pogrzeb. Będzie salwa honorowa. Nic innego nie sprawiłoby mu podobnej radości, gdyby mógł o tym wiedzieć.

Wyprawy w głąb Ziemi zostaną na pewien czas przerwane. Atlanci zdążą przez ten czas przygotować pole siłowe o odpowiedniej mocy. Nie wpuszczą dzięki niemu nikogo, kto by chciał przyjść z orężem zamiast pokoju... z nienawiścią zamiast miłości.

Będą jednak wierzyć równie gorąco jak przez wszystkie nieskończone wieki, że nadejdzie dla nich dzień Powrotu. Ja także w to wierzę. I będę starał się przybliżyć ten dzień...

OPIUM KOSMOSU

Zet obudził się i zrozumiał od razu, że nie było to normalne przebudzenie. Pokrywa hibernatora była zamknięta. Lecz można ją było otwierać również od środka. Toteż po chwili był już na zewnątrz. Usłyszał głos Komputera.

– Odchylenie... Duże odchylenie od kursu. Odchylenie...

Pobiegł prawie w kierunku sterowni. W łagodnym świetle padającym z sufitu widniały ekrany rejestrujące wszelkie dane dotyczące prawidłowości, czy też odchyień nawigacyjnych. Lecz uwagę Zeta przyciągnął przede wszystkim pusty fotel pilota. Nikt nie sterował statkiem. Co się stało?

Komputer powtarzał dalej: – Duże odchylenie od kursu...

– To ty mnie przebudziłeś? – zapytał Zet.

– Tak. Odchylenie od...

– **Jak duże?**

– **Cztery kwadraty galaktyczne.**

– **Koryguj!**

– Tak. Nie wiedziałem... Bo dawno nie ma... pilota.

– Dawno?

– Tak.

– Jak długo?

– Siedem miesięcy... ziemskich...

Zet był przerażony. Siedem miesięcy... Przez ten czas statek mógł zboczyć jeszcze bardziej, pomknąć w przestrzeń międzygalaktyczną będącą otchłanią, w której statek zagubiłby się bez żadnej nadziei. Zostali wysłani we czterech. Mieli za zadanie dotrzeć do galaktyki spiralnej Y 701. Ich całe życie było poświęcone temu zadaniu, bo mimo niesłychanej szybkości statku, ich podróż w jedną tylko stronę miała trwać blisko siedemdziesiąt lat ziemskich.

Zet patrzył na ekrany pulsujące światłem. Tych siedem miesięcy lotu po zmienionym torze, to wielka strata, lecz mimo niej zdążą dotrzeć do galaktyki Y 701 – i jeśli nie zginą – po zebraniu danych, powrócić na Ziemię.

Skorygowawszy kurs, Zet pomyślał o swych towarzyszach. Przede wszystkim o tym, który powinien pełnić dyżur w sterowni. Który to z nich mógł być? Kolej dyżuru na Zeta przypadła po Esie... Komputer powiedział, że przerwa trwała siedem miesięcy, wynikało z tego, że tym, który porzucił swe obowiązki był Jot. Ale dlaczego komputer zbudził właśnie Zeta?

Gdy znalazł się w komorze hibernatorów, którą opuścił zaledwie przed kilkunastoma minutami, zrozumiał. Byli tam wszyscy trzej: Es, Jot i El. Ale nie spali zwyczajnym snem okresowym, z którego mógł ich przebudzić komputer. Albo poprzednik. Spali snem

wyłączającym ich całkowicie. Mogli być z niego obudzeni tylko na Ziemi...

Zet patrzył na swych śpiących towarzyszy zdrtwiałą z przerażenia. Dlaczego to uczynili? I to wszyscy trzej? Pomyślał jednocześnie, że było strasliwym błędem wyposażenie statku w hibernatory umożliwiające zapadnięcie w sen, który wybierali jedynie ci, którzy nie chcieli żyć w czasie, który im przypadł, którzy pragnęli przebudzić się dopiero w odległej przyszłości... To nie była śmierć, ale coś bardzo jej bliskiego. Chociaż z nadzieją na „zmartwychwstanie”...

A więc pozostał praktycznie biorąc sam na statku. W tej sytuacji pozostaje mu tylko jedno: zawracać w stronę Ziemi.

Co mogło się stać? Dlaczego uczynili to ludzie sprawdzeni przecież pod każdym względem, wytypowani do tej podróży jako absolutnie sprawni tak pod względem psychicznym, jak fizycznym?

Cóż, stało się. I on, Zet, nie może uczynić nic innego, jak spróbować powrócić na Ziemię. Tak, tylko spróbować, bo komputer, choć bardzo pomocny, nie jest zdolny do samodzielnego kierowania statkiem.

Będzie mógł zasypiać tylko na krótko. Aby czuwać nad przebiegiem powrotnego lotu. Czy starczy mu na to życia? Być może tak. W każdym razie jest skazany na spędzenie całej swej egzystencji samotnie, we wnętrzu statku. Jeśli uda mu się żywemu dotrzeć z powrotem na ojczystą planetę, to tylko po to, aby się z nią pożegnać na zawsze.

A jeśli nie dotrwa, to może jednak komputer doprowadzi szczęśliwie statek na Ziemię (szansa ta będzie tym większa, im później czas jego, Zeta, wyczerpie się). Pozostawi raport. A poza tym będą przecież oni, Es, Jot i El. Oni pewnie wyjaśnią, dlaczego to uczynili. Chyba, że stało się z nimi coś takiego, iż nie będą mogli tego uczynić...

Zet szedł w stronę sterowni tak wolno, jakby jego stopy stały się ciężkie niby z ołowiu. Czy będzie w stanie znieść psychicznie to, co go czeka? Nie pozostaje mu jednak nic innego.

Usiadł w sali nawigacyjnej i wydał odpowiednie rozkazy komputerowi. Zażył pastylki wzmacniające i popił je sokiem owocowym. Powinien właściwie coś zjeść, organizm jego przestawiał się przecież znów na normalne funkcje, które były zawieszony w czasie snu. Ale nie odczuwał głodu. Patrzył na ekrany, w których była pustka. Statek znajdował się bowiem w nieskończonej przestrzeni pomiędzy galaktykami.

Naraz ekrany znikły przed jego oczu. I znalazł się w póllesie, półogrodzie pełnym drzew i krzewów, jakich nie znał na Ziemi, tak intensywnie zielonych. Powietrze było pełne zapachów niosących ukojenie. Słońce świeciło jasno, lecz jego promienie nie były palące.

Czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia. Obejrzał się. To była dziewczyna o miedzianych włosach, długich i rozpuszczonych. O oczach łagodnych i czułych. Ubrana była podobnie jak i on, prawie naga. Tylko w przepasce na biodrach. Zarazem nie wiedział i wiedział kim ona jest. Wydawało mu się, że zna ją od zawsze. I było rzeczą wcale nie niezwykłą, że stoi obok niego

i uśmiecha się, patrząc z miłością, która zdawała się trwać już długie wieki, a jednocześnie była równie wiosenna jak ogród, w którym przebywali.

Poczuł błogość, jakiej nie zaznał dotąd nigdy w życiu. Składała się na nią radość samego istnienia, obecności dziewczyny, którą kochał podobnie jak ona jego, poczucia, że absolutnie znikąd nic mu nie grozi, nawet ze strony śmierci, która wydawała się być tylko złą bajką, dawno zapomnianym fantomem.

– Chodź – powiedziała dziewczyna i wzięła go za rękę. Poszedł z nią pomiędzy drzewami, których gałęzie dawały cień, a prześwitujące między nimi gdzieniegdzie wąskie promienie słoneczne padały na mech tworząc złociste, żywe, bo poruszające się plamy.

Wyszli na wielką polanę, na której było kilkadziesiąt młodych par podobnych im. Siedzieli kręgiem na trawie jedząc jakieś owoce. Pośrodku kręgu, do którego dołączyli, stał młody mężczyzna o długich włosach i mówił coś na tyle głośno, aby wszyscy mogli go usłyszeć.

Był to hymn do słońca, w którym co pewien czas powtarzała się prośba, aby było zawsze młode, podobnie jak ludzie, aby było wieczne.

Później wszyscy zaczęli śpiewać pieśń, kołysząc się lekko w takt melodii; była to pieśń o pragnieniu szczęścia jeszcze większego niż to jakim żyli. O tym, że może ono stale wzrastać, o ile tylko naprawdę do niego się dąży...

Był włączony w krąg i szczęśliwy podobnie jak inni. Lecz mimo wszystko jakąś częścią świadomości odczuwał, że nie przynależy do tego świata całkowicie, że jest on dla niego rzeczywistością bardziej jeszcze obiecaną, aniżeli daną. Ujął w dłonie twarz dziewczyny i patrzył na nią długo, bez słowa, aż wreszcie objęła go gwałtownie przytulając się całym ciałem. Powiedziała.

– Ty nie wierzysz, że tu jesteś? Z nami. Ze mną?

– Wierzę, ale...

– Będiesz ze mną zawsze. Wiesz? Gdziekolwiek i kiedykolwiek.

– Tak – powiedział. – I w tej chwili znikła, a on odnalazł się w sterowni statku, naprzeciw promieniujących sztucznym blaskiem ekranów.

– Jak długo spałem? – zapytał komputera.

– Pięćdziesiąt siedem minut.

Pokrywało się to z czasem, który spędził tam. To znaczy we śnie. Ale ten sen był całkiem odmienny od normalnego snu, także hibernacyjnego. Uczestniczył w nim tak, jakby jego miejsce było właśnie w tamtym śnionym świecie, a nie tu, na statku. Odczuwał żal, że sen się przerwał.

Nigdy mu się przedtem nie zdarzało, aby zasnął przy pulpicie sterowniczym, w czasie pełnienia dyżuru. Coś w tym było. Tylko co?

Przez następne dwa dni wszystko przebiegało normalnie. Zet pozwalał sobie na krótkie drzemki kontrolowane przez komputer. Budził się po czterech, czy też sześciu

zaprogramowanych godzinach, jadł posiłek krzepiący jego siły i czuwał przy pulpicie. Chociaż wiedział jaka jest jego sytuacja, żywił nadzieję, że zdoła dotrzeć do Ziemi przed kresem swego życia. Było to jego obowiązkiem.

O tamtym śnie prawie już zapomniał, chociaż nie zapomniał o Miedzianowłosej. Wydawało mu się, że musiał ją kiedyś spotkać na Ziemi, i że powróciło to w jego wspomnieniach... Obiecał sobie koniecznie przypomnieć kim ona była, chociaż na nic mu się to już nie zda, ponieważ będzie bardzo stary... Ale dla samej wiedzy, o ile oczywiście uda mu się jeszcze dotrzeć do Ziemi.

Trzeciego dnia wstąpił znów w ten tajemniczy wymiar, przychodzący nie wiadomo skąd i zakłócający wszelkie jego władze psychiczne i fizyczne. Zakłócający? Kiedy zasnął, był jeszcze bardziej szczęśliwy, aniżeli za pierwszym razem.

To była odgradzona bluszczem od krawędzi zatoki restauracja na jakiejś południowej wyspie. Kelnerka podeszła do niego i zapytała co sobie życzy. Zajrzał do karty leżącej na stoliku okrytym białym obrusem i zamówił musakę, sałatkę z pomidorów oraz butelkę demestiki. Było to wino smakujące jak żadne inne, o ile było odpowiednio chłodzone.

Wino było w sam raz zimne, sprawiało podniebieniu przyjemność dzięki swemu smakowi, zapachowi, jedynemu w swoim rodzaju. Nigdy nie był koneserem wina. A tu, teraz, wprowadzało go w stan euforii, zdawało się być prologiem do czegoś, co już za chwilę miało go wprowadzić w stan pełnego szczęścia.

Spojrzał pomiędzy chwiejącymi się w lekkim wietrze gałązkami akantu. Zatoka lśniła w słońcu. Morze szmaragdowobłękitne falowało pomiędzy dwoma skalistymi przylądkami. Otwierało się na daleki, czysty horyzont.

Szła ku niemu, mijając puste stoliki, nad którymi rozwijały się kolorowe parasole – ona. Miedzianowłosa.

– Dzień dobry – powiedziała po prostu, jak gdyby rozstali się poprzedniego dnia (chyba rzeczywiście tak i nastąpiło to, czego oczekiwał, nalewając chłodne wino z pokrytej rosą butelki. Nadeszła, idąc prosto ku było). Usiadła na drugim krzeselku przysuniętym dotąd do stolika.

– Dzień dobry – odpowiedział. – Na co masz dzisiaj ochotę? Może zjesz kebab, który tak lubisz (skąd o tym wiedział?) Demestika jest chłodna, taka jak trzeba... Ale może wolisz retzinę?

– Nie – rzekła uśmiechając się. – Ja także lubię demestikę... A kebab, owszem, chętnie zjem!

Patrzył na nią, podziwiając jej nieskazitelną urodę. Potrafiła ją podkreślać odpowiednim ubiorem. Jej szmaragdowa, ze złocistymi cętkami sukienka uwydatniała wszystkie jej powaby. Jakże czuł się szczęśliwy, że młoda kobieta, której imienia nie pamiętał (lecz to nie miało żadnego znaczenia) kochała go, a on odwzajemniał to uczucie, które zdawało się być wieczne, nie tak, jak to często bywa z ludźmi spotykającymi się pod ciepłym, południowym niebem

i bliskich sobie przez tydzień, albo dwa... Kelnerka przyjęła zamówienie, patrząc na nich z sympatią i zrozumieniem. Nie upłynęła minuta, a przyniosła w metalowym naczyniu pachnący kebab, talerz ze śnieżystym pieczywem, oraz nową butelkę demestiki.

– Smakuje ci? – zapytał.

– Tak. Chociaż ja potrafię zrobić lepszy, nie zaprzeczysz chyba?

– Nie zaprzeczę – odparł. Przypomniawszy sobie smak przyrządzanych przez nią potraw.

– Zobacz, jaka piękna jest dzisiaj zatoka – powiedziała patrząc na żaglówki i jachty tańczące na wodzie, oddalające się w stronę pełnego morza i powracające ku wyspie, która wyciągała ku nim swoje górzysto-zielone, porośnięte piniami ramiona.

– Może wynajmiemy jacht i popływamy? – zaproponował.

– Dobrze! – ucieszyła się.

Zeszli po kamiennych schodkach na plażę i skierowali się w stronę portu.

* * *

Któregoś wieczoru, gdy wiatr nadbiegający od morza cesał palmy na nadbrzeżnym bulwarze, na którym stał hotel, w którym mieszkali, wyszedł na balkon pozostawiając Miedzianowłosą w szerokim dwuosobowym łóżu, nad którym wisiał pejzaż jeziora z odległych, północnych krain. Pozwoliła mu na tę chwilę samotności, ponieważ wiedziała, że potrzebuje jej aby dopełnić radości jaką przeżywali oboje i której kresu nie miało być nigdy. Dlaczego? Tajemnica należała do niej. On wierzył w to, co mówiła mu ona. Ale mimo poczucia nierozzerwalnego związku z Miedzianowłosą, coś go jeszcze chwilami niepokoilo, coś przeszkadzało połączyć się na zawsze i w absolutnym szczęściu z nią. I nie tylko to. Również uwierzyć w całkowite zwycięstwo nad czasem.

* * *

W ekranach coś pulsowało niespokojnie. Migotały, jak gdyby wietrzyły niebezpieczeństwo. Zet patrzył w nie zdumiony. Dlaczego tu jest? I co tu właściwie robi?

Odzyskał jaką taką świadomość dopiero po kilkunastu minutach. W nagłym odruchu przypomnienia sięgnął po pastylki wzmacniające. Zażył ich kilka.

– Jak długo spałem? – zapytał komputera.

Ten odezwał się dopiero po chwili.

– Czterdzieści trzy dni.

– Czy nastąpiło zboczenie z kursu?

– Tak.

– Jak duże?

– O szesnaście stopni.

Komputer wydał mu się niepotrzebnym świadkiem. Choć będąc tylko precyzyjnym aparatem zainstalowanym na statku nie mógł go sądzić, zdawał mu się w tej chwili być sędzią. Potępiającym go...

– Oczekuję na rozkazy – odezwał się komputer.

Skoryguj kurs. W kierunku naszej galaktyki. W kierunku... Ziemi... – powiedział głosem, który był jakby głosem innego człowieka. Odczuwał przerażającą nierealność swojej sytuacji, choć przecież była ona, niestety, jak najbardziej realna.

Wstał z fotela i wyszedł na korytarz przebiegający wzdłuż statku. Doszedł aż do końca, przystanął przed drzwiami za którymi była pustka. Przez chwilę walczył ze sobą, mając ochotę otworzyć drzwi. Poszedł następnie do komory z hibernatorami. Patrzył na śpiących, którzy wydali mu się od wieków martwi, chociaż ich więź z życiem nie została przecięta...

Patrzył na ich twarze, spokojne, obojętne, twarze ludzi, którzy nie byli jednak umarli, którzy gdzieś istnieli. Gdzieś?...

Powrócił do sterowni. Zasiadł znów w fotelu. Na widok ekranów zbudziło się w nim uczucie dotąd obce: nienawiść. Nigdy nie zdarzyło mu się nienawidzić żadnego człowieka. A teraz doznał tego uczucia w odniesieniu do martwych przecież, choć pracujących zgodnie z wyznaczonym im przez ludzi zadaniem, aparatur.

Minęło tym razem zaledwie tylko kilka godzin, gdy znalazł się znów tam, gdzie pragnął przenieść się już na zawsze. W ten inny wymiar, w którym pojęcie czasu zanikało, gdzie mógł żyć prawdziwie.

* * *

Był obok niej. Tak cieleśnie, jak nie mógłby dawniej, gdy był tylko embrionem człowieka. Jego wszystkie zmysły odbierały zarówno jej obecność, jak i rzeczywistość otaczającego ich świata, zdając się być tożsame z jego świadomością. Odczuwał swoją pełnię. I wiedział, że pełnia ta stanowi część jeszcze większej pełni będącej istotą świata, do którego się przeniósł.

Miedzianowłosa, kobieta nie jednego, lecz wszystkich możliwych czasów, wprowadziła go tym razem w przyszłość będącą przeszłością jedynie w odniesieniu do egzystencji jaką porzucił, która była już tylko majaczącym odlegle cieniem. Lecz ten cień jednak pojawiał się niekiedy, a szczęśliwość bytu w jaki wstąpił nie powinna być macona przez nic...

* * *

Komputer powtarzał przez jakiś czas monotonnie: Zboczenie z kursu. Zbo... A później zamilkł, zrezygnowany. Ekrany w sterowni migotały, wskazywały przestrzenne położenie statku, który dążył teraz donikąd. Mógł zmierzać w określonym kierunku, do jakiegoś celu tylko wtedy, gdy był kierowany przez ludzi. Byli oni na jego pokładzie, lecz naprawdę przebywali całkiem gdzie indziej. Chociaż byli, tak czy inaczej w – kosmosie...

FALE

Lato zbliżało się już do końca. Tłumy wczasowiczów, rojące się na nadbrzeżnym bulwarze, zdawały się czuć instynktownie, bardziej aniżeli myśląc o tym, że wkrótce przeminą barwy, ciepło i swoboda i trzeba będzie znów schronić się w pachnącej naftaliną i mrozem wielkiej szafie zimy, tak niełaskawej dla północnych krajów.

Wędrując w popołudniowym słońcu bulwarem, przyglądałem się morzu toczącemu o kilka metrów niżej, a kilkanaście dalej, swój odwieczny dialog z lądem, podziwiałem wytrwałość plażowiczów leżących ciało obok ciała na wąskiej plaży tego modnego, nadbałtyckiego kurortu. Słuchałem głosów dzieci potrafiących wykrzesać ze wszystkiego radość, biegających bez celu albo przystających przy sklepikach z tandetnymi pamiątkami, przy kioskach ze słodyczami, napojami, lodami. W powietrzu trudno było odszukać zapach morza. Pachniały za to smażone ryby, kielbaski, frytki.

Mimo oficjalnych zakazów mącenia ciszy w miejscach publicznych puszczano beztrąsko w ruch radia tranzystorowe oraz przenośne magnetofony, z których rozbrzmiewały z reguły piosenkarskie szlagiery. Niekiedy dobiegał od strony portu głos syreny. To któryś z pasażerskich stateczków dawał znać o swym kolejnym wycieczkowym rejsie.

Odczuwałem melancholię, znacznie większą niż kiedykolwiek, gdy żegnałem nad brzegiem morza lato, co zdarzało mi się niemal corocznie. Potęgowanie się tego uczucia wiąże się z pewnością i z faktem, że jestem coraz starszy. I że za kilka, czy kilkanaście, sezonów być może już mnie nie będzie.

Wreszcie Anna, moja żona... Żyliśmy razem, ale jakże często milczeliśmy, jakże często odczuwaliśmy oboje samotność, choć przecież byliśmy razem. Przeminęły tamte czasy, kiedy młodzi pojawialiśmy się na plażach lipca czy sierpnia, aby cieszyć się morzem, niebem, słońcem i samymi sobą. Dlaczego i kiedy właściwie to się zmieniło, uległo niespostrzeżeniu blaknięciu aż do chwili, gdy nie spędzaliśmy już wakacji razem. A przecież kochałem Annę. I nie przestawałem wierzyć, że ona również kocha mnie nadal, mimo wszystko.

Teraz byłem tu sam, zamierzając niby pracować, napisać cykl wierszy, bo poza moimi czysto zarobkowymi zajęciami jestem również poetą. Ale czułem, że wysechł we mnie powoli źródło poezji, że stał się podobnie pustynny jak te znajome od dawna wybrzeża, dawniej tak piękne w swej samotnej dzikości, a teraz będące żerem cywilizacji uosabianej przez te tysiące niewiele myślących o jakichkolwiek naprawdę poważnych sprawach ludzi, przybyłych tu w zatłoczonych pociągach, albo w blaszanych pudełkach swych samochodów, z których są tak dumni, wokół których roztaczają tak pieczołowitą opiekę, będąc obojętnymi na uroki przyrody, traktując ją jak jeszcze jedną „rzecz”, towar do kupienia i konsumpcji. Nawet ów odwieczny żywioł: morze,

nieugięty nigdy wobec człowieka, traktowany był przez większość z nich jako przyjemna (bo ciepła), albo niemiła (bo zimna) kałuża do odświeżającego pogrążania białych, stłuszczałych od miejskiego życia brzuchów.

Pobyt tu był dla nich zabawą, jarmarkiem, okazją do wyzbycia się części oficjalnych masek, a przybrania innych, bardziej według nich radosnych. Ale czy naprawdę?

Lecz cóż mogłem, poza gorzką ironią, świadomością otaczającej mnie pustki przeciwstawić im, tym moim współczesnym, obywatelom tego samego czasu, współnikom tych samych być może nadziei, tęsknot i rozczarowań, klęsk, pokrytych niesionym przez wiatr piaskiem, pyłem codzienności...

* * *

Postanowiłem wybrać się na morski spacer statkiem, który co dwie godziny odbijał od przystani.

Chętnych było wielu, tak że zarówno ławki na pokładzie, jak i miejsca pod pokładem były zajęte. Ulokowałem się na dole, przy samym oknie. To już nie ten czas, gdy razem z Anną staliśmy blisko dzioba wycieczkowego stateczku trzymając się za ręce i wystawiając na podmuch orzeźwiającego morskiego wiatru.

Po wypłynięciu poza basen portowy statek zaczął kołysać. W miarę jak oddalał się od brzegu kołysanie było coraz większe. Zauważyłem, że coraz to ktoś zmierza w kierunku toalet. Przeważały dzieci. W pewnej chwili obok ławki, na której siedziałem, przeszła może dziesięcioletnia dziewczynka z bladą twarzą, uśmiechająca się jednak bohatercko, starająca się sprawić wrażenie, że nic jej nie dolega.

Patrzyłem przez grubą szybę na fale wspinające się jedna za drugą, lśniące w promieniach słońca i znikające aby ustąpić miejsca następnym. Uczułem naraz w oczach migotanie i leciutki ból. Zdjąłem okulary i pomasażowałem końcami palców gałki oczne. Ból ustąpił. Wpatrywałem się znowu w morze, które jakby ciemniało w miarę oddalania się od brzegu. Tylko wierzchołki fal były wciąż promienne, lśniące, dzięki zapożyczonemu od słońca światłu.

Poczułem pragnienie. Zszedłem więc po metalowych schodkach ku niższej jeszcze części statku, gdzie znajdował się bufet. Wypiłem herbatę, która była świeża i mocna, ponieważ zaparzyłem ją sam z porcjowanej torebki. Statek robił zwrot w lewo pozostawiając za sobą smugę piany. Widocznie wkrótce zacznie wracać w stronę brzegu, już w tej chwili niedostrzegalnego.

Wróciłem na swoje miejsce. Spostrzegłem, że morze jest znów jasne, jak wtedy, wkrótce po wypłynięciu. Ktoś znów przechodził obok mnie. Spojrzałem. To była dziewczynka o bladej twarzy, zmierzająca w kierunku, gdzie znajdowały się toalety.

Ależ... wszystko powtarzało się dokładnie. Uśmiech dziewczynki był taki sam i jej przejście dyskretne, tak aby nie zwrócić uwagi otoczenia. I uświadomiłem sobie nagle, że inne, nieistotne przecież szczegóły były również identyczne. Pochylone ku sobie głowy jakiejś pary w średnim wieku siedzącej na sąsiedniej ławce. I słowa wypowiedziane przez grubego mężczyznę w kraciastym pulowerze: „Do licha. Kołysze prawie tak, jak na Atlantyku”! Już z góry znałem odpowiedź drugiego mężczyzny. Młodego, z jasnymi wąsikami, który wyjmował z kieszeni jakiś drobny przedmiot, wiedziałem, że była to paczuszka drażetek miętowych, którymi za chwilę poczęstuje grubasa i rzeczywiście tak było.

Cała sytuacja do najdrobniejszego szczegółu powtarzała się. Jakże to było możliwe? Spojrzałem na zegarek. Była na nim piętnasta trzynaście. Statek rozpoczął rejs o piętnastej.

Rozejrzałem się wokół. Nikt nie wydawał się być zaniepokojony. Wszyscy zachowywali się tak, jakby rozpoczynali podróż. Można było o tym wnioskować na podstawie ich rozmów, których przedtem nie słuchałem, ponieważ były mi całkowicie obojętne. Teraz jednak nie były obojętne. Nikt więc nie zauważył, że... Że co właściwie? – Przepraszam, która jest godzina? Stał mi zegarek... Zagadnięta kobieta siedząca na ławce znajdującej się przede mną odwróciła się i odrzekła trochę gniewnie, bowiem przerwałem jej rozmowę z mężczyzną, który siedział vis a vis niej.

– Trzecia piętnaście – po czym powróciła do przerwanej rozmowy.

Nic nie rozumiałem. Skłoniłem znów głowę ku szybie, za którą przesuwały się rytmicznie, pobłyskując świetliście na wierzchołkach fale.

I nikt, zupełnie nikt nie zauważył, że w pewnym momencie czas przesunął się i powtórzył.

Nazajutrz po południu, po zjedzonym obiedzie poszedłem brzegiem morza daleko wzdłuż plaży. Mogłem to uczynić, ponieważ z powodu złej pogody mało kto decydował się zejść z bulwaru na dół, na mokry piasek, który nie zdążył jeszcze pochłonąć deszczu padającego od rana do godziny trzeciej.

Szedłem samym skrajem, uskakując co chwila przed bardziej agresywnymi falami wdzierającymi się na plażę i tworzącymi na moment rozległe zatoczki. Niebo było nadal pochmurne, jedynie od czasu do czasu zdawał się powstawać w nim wąski prześwit, jednak przesączające się przezeń światło było nikłe i blade. Im dalej znajdowałem się od portu i miejskiej plaży, tym bardziej zapach idący od morza był przyjemny i prawdziwie orzeźwiający, pozbawiony wszelkich nienaturalnych domieszek. Wciągałem tę woń głęboko w płuca, żałując zmarnowanych poprzednich dni spędzonych na włóczeniu się po ulicach kurortu, siedzeniu na ławce na bulwarze albo w pensjonatowym pokoju w daremnym oczekiwaniu na twórczą myśl...

Wędrowałem pogrążony w zamyśleniu, pełen częściowo świadomości przyczyn, a częściowo bezprzyczynowego żalu, który chwilami łagodniejąc przybierał postać tęsknoty. Za czym? Ogólnie biorąc – za utraconą bezpowrotnie przeszłością, za życiem nie przeżyтым lepiej,

mądrzej i pełniej.

Dotarłem wreszcie do grupy skał stanowiących rzadkość na wybrzeżach mego kraju. I spojrzawszy na nie – przystanąłem. Znałem je bowiem, oglądałem niegdyś i to nie raz. Mijaliśmy je w czasie wspólnych spacerów z Anną, kiedy spędzaliśmy wakacje w wiosce, jakże się ona nazywała? Tak jakoś śmiesznie. Skoro już doszedłem tu, do tej grupy skał, o które rozbijały się zwielokrotnionym szumem fale, to pójdę jeszcze dalej, aby dotrzeć do wioski i przypomnieć sobie przy okazji jej nazwę. Choć mogłem to uczynić bardziej prosto, sięgając po mapę, którą miałem w swym pokoju.

Szedłem dalej plażą i naraz ustąpiły z nieba chmury, w sposób tak błyskawiczny, jakby jakiś szybki i precyzyjny automat zmienił nagle dekoracje teatralne... Było słonecznie i gorąco. Gorąco w taki błogi i niemęczący sposób, jak było to dawno temu, gdy lato było jeszcze naprawdę sobą a ja, młody i zdrowy, czułem się jakby jednym z jego synów, pełnych miłości i siły czerpanej z matczynego ciepła.

Stałem na piasku i nie mogłem zrozumieć, co właściwie się stało. Patrzyłem przed siebie, a lekki wiatr od pobłękitniałych, cichych wód targał moje włosy. Kiedyś miałem je gęste i puszyste. Podniosłem rękę i... stwierdziłem, że są właśnie takie. W oddali, może o sto metrów ode mnie ujrzałem jakąś sylwetkę poruszającą się wolno wzdłuż nierównej linii plaży. Ruszyłem naprzeciw niej, wypełniony nagle niezrozumiałym wzruszeniem. Kiedy sylwetka zbliżyła się przystanąłem znów, a moje serce biło coraz mocniej, równym, zapomnianym rytmem.

Rozróżniałem już kolory sukienki zbliżającej się kobiety, dziewczyny? Coś we mnie z każdą chwilą otwierało się i przymykało na powrót. Jakbym był zawieszony pomiędzy... pomiędzy czym właściwie?

I usłyszałem głos, znajomy i nieznajomy zarazem. Usłyszałem swoje imię. Zadrzałem. To był głos Anny, mojej żony, ale jakże inny od tego jakim żegnała mnie kilka dni temu, gdy opuszczałem miasto, w którym mieszkaliśmy, aby wyruszyć na kolejny, samotny urlop. Chciałem coś odkrzyknąć w odpowiedzi. Ale nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Anna – nie Anna zbliżała się do mnie i zobaczyłem, że wyciąga ku mnie rękę. Moje ramię uniosło się także. I wtedy, na ułamek sekundy ogarnęła mnie ciemność. Uczyniłem krok naprzód. Nie. To wszystko było niewytłumaczalnym przywidzeniem. Znów było chmurne niebo, pusta aż po horyzont plaża, fale morza bijące niespokojnie o brzeg.

Gdy powróciłem do miasteczka, sklepy były jeszcze otwarte. Wstąpiłem do apteki i kupiłem jakieś środki uspokajające. Kiedy połknąłem proszek popijając go oranżadą w sklepiku warzywnym, starałem się za wszelką cenę uzyskać równowagę psychiczną. Cóż z tego, że uspokoiłem się trochę. Wciąż nie mogłem zrozumieć, co właściwie ze mną się dzieje od wczoraj. Bo przecież to zaczęło się wczoraj. W czasie mej wycieczki statkiem na morze. Wytłumaczenia mogły być dwa. Albo nabawiłem się jakiejś choroby, wywołującej stany halucynacyjne, albo...

To drugie przypuszczenie było bardziej niepokojące. Czyżby mój stan psychiczny był tak krytyczny, że...

Poszedłem na pocztę i zamówiłem błyskawiczną rozmowę. Szczęśliwie nie czekałem długo. Wszedłem do kabiny, uniosłem słuchawkę i usłyszałem spokojny głos Anny: – Halo?

Nie wiedziałem, co jej właściwie powiedzieć. A więc była tam, w naszym mieście, w naszym mieszkaniu. Nie przyjechała tu i nie widziałem jej na plaży dwie godziny temu... Powiedziałem cicho:

– Zadzwoiłem... żeby dowiedzieć się co słyhać u ciebie, jak się czujesz. Pogoda jest taka fatalna, chyba nie tylko tu, nad morzem...

– Dziękuję ci za troskę – w jej głosie była ironia i ten lekko uchwyty odcień rozgoryczenia, który zawsze starała się kryć przede mną. – Jakoś trzymam się. I pracuję jak zwykle. Wiesz, że muszę przygotować tekst referatu do końca tego tygodnia. – I po chwili milczenia, które przeszło mnie bólem jaki był mi dotąd obcy, będącego właśnie niczym innym jak bólem milczenia:

– A jak u ciebie? Jak ty znosisz ten niż? Czy udało ci się coś napisać?

– Nie bardzo – powiedziałem jeszcze ciszej. Wiesz...

– przerwałem.

W słuchawce zatrzeszczało. Lecz zaraz odezwał się znów wyraźny głos Anny.

– Słyhać... (pewnie powiedziała, że źle słyhać).

– Powiedz jeszcze raz.

– Nic, nic. Wszystko w porządku. Mam nadzieję, że pogoda poprawi się. Już dziś, choć rano padał deszcz, zapowiada się chyba zmiana. Ale wiesz, Anno... Gdyby jednak niepogoda utrzymała się, wróć wcześniej.

– Oczywiście, wracaj, Lecz tylko wtedy. Bo powinieneś jednak wypocząć, mimo wszystko. Co morze, to morze. Jod... Pamiętaj o tym. Nieprędko będziesz miał znów urlop...

– Tak, Anno. Wiem. A więc, do zobaczenia. Chciałbym ci coś powiedzieć, ale to dopiero po powrocie...

– Coś ważnego?– W jej głosie odczułem jakby lekkie zniecierpliwienie.

– I tak i nie. Ale nie niepokój się.

– Wiesz, że jestem zawsze spokojna. Ale może jednak powiesz mi o co chodzi. Bo masz jakiś taki dziwny głos...

– Nie, nie. Powiem ci po powrocie. A co do głosu, to pewnie zniekształca go telefon. Do zobaczenia zatem.

– Do zobaczenia.

Powiesiłem słuchawkę na widełkach i stałem dłuższy moment w kabinie podniósłszy dłoń do czoła. Nie miałem gorączki z pewnością. Nie, to nie była żadna choroba fizyczna.

Opuściwszy pocztę poszedłem do znajdującej się nie opodal kawiarenki i zamówiłem dużą kawę, choć na ogół stronie od tego napoju, przedkładając nadeń mocną herbatę.

Później poszedłem wolnym krokiem na bulwar. Mimo niepogody przechadzało się nim wielu letników, pragnących widocznie zażyć nieco wieczornego powietrza, albo po prostu nie wiedzących co robić z wolnym czasem. Zwłaszcza, że tego dnia nie było nic interesującego w telewizji.

Przespacerowałem się w jedną stronę i w drugą – wreszcie ruszyłem w kierunku pensjonatu, w którym mieszkałem.

Następnego dnia rano nie poszedłem na śniadanie, nie wychodziłem w ogóle ze swego pokoju pogrążony w smutku, który się potęgował. Bezwiednie oczekiwałem, że coś nastąpi i wyrwie mnie z tego stanu. Leżąc na tapczanie włączyłem radio tranzystorowe, które przywiozłem ze sobą, lecz prawie go nie używałem. Grano jakieś barokowe trio. Klawesyn powtarzał to, co zaczynały melodyjnym zaśpiewem skrzypce i wiolonczela. Słuchałem z prawdziwą przyjemnością. I wtedy to się stało. Coś jeszcze bardziej niewiarygodnego niż tamte dziwne przeżycia z wczorajszego i przedwczorajszego dnia. Bo one musiały być po prostu szczególnym omamem, inaczej być nie mogło. Ale teraz...

Muzyka urwała się nagle, jakby w aparacie nastąpiła awaria, może z minutę trwała cisza. Potem rozległ się głos kobiecy o niezwykle łagodnym brzmieniu.

– Mówię do ciebie, korzystając z tego prymitywnego aparatu. Tylko ty mnie słyszysz. Nikt inny. Postanowiliśmy ujawnić się przed tobą, wyjaśnić kim jesteśmy i co jesteśmy zdolni uczynić przynajmniej dla niektórych z was, ludzi. Dla tych, którzy naszym zdaniem zasługują na to.

Kim ja jestem? Jestem jedną z Nadistot Kosmicznych, których forma i sposób istnienia jest całkiem odmienny, nie do wyjaśnienia wam, istotom tak efemerycznym. Stworzyła i was i nas Natura, w stosunku do nas jednakże o wiele, wiele hojniejsza. Śledziliśmy od początku rozwój waszego gatunku. Jesteśmy ciekawi dokąd on was zaprowadzi. Chociaż tak dalece różni i wyżej rozwinięci pod każdym względem, odczuwamy więź z wami. Ponieważ myślicie i odczuwacie, jesteście zdolni nawet do najbardziej szlachetnego z uczuć, miłości...

Wiem, że zastanawiasz się czy to, co słyszysz, nie jest audycją radiową, bardziej oryginalną w formie. Nie. A żeby ci to udowodnić, wspomnę o twojej żonie, Annie. Myślisz o niej często. I odczuwasz żal, że od lat życie nie tak jak moglibyście... I masz poczucie winy. Słuszne. Ale niezależnie od tej winy, od wszystkich zaniedbań gromadzących się przez lata, nie zatraciłeś miłości, choć nie potrafiłeś jej sprostać. Lecz niewielu z was to się udaje. Jesteście nazbyt słabi i wciąż doświadczani na różne sposoby przez rzeczywistość w jakiej żyjecie...

Jesteśmy w stanie ofiarować niektórym z was szansę. Szansę naprawienia, odrobienia tego,

co utraciliście na skutek złych wyborów czy też wewnętrznej słabości. Bo my jesteśmy ponad czasem. Przynajmniej tym, którego prawa rządzą wami. Nie jesteśmy nieśmiertelni, ale możemy sami wybierać ten moment gdy zechcemy znów powrócić do Natury. A więc, w porównaniu z wami, można nas nazwać półnieśmiertelnymi... Ten czas, który włada waszym światem, to w naszych oczach jakby swoista taśma filmowa, którą zapisujecie swym istnieniem wraz z przyrodą, której stanowicie cząstkę. My możemy ową taśmę zatrzymywać albo cofać, powtarzać specjalnie na użytek kogoś z wybranych przez nas ludzi. Aby dać mu szansę innego spełnienia jego egzystencji. Nie możesz pojąć, jak to jest możliwe. A jednak jest. Bo ten wasz czas razem z przestrzenią w jakiej toczycie swe trójwymiarowe istnienie, to coś, co można kopiować dowolną ilość razy. Tak więc w pewnym sensie każdy z was żyje w osobnym, własnym czasoprzestrzenioświecie, koegzystując jednocześnie z innymi. Niektórzy z was odczuwają niekiedy tę osobność, tę nieuchwytną granicę oddzielającą go od innych. I właśnie ta granica w dużej mierze sprawia, iż tak trudne jest dla was porozumienie, tak trudna jest miłość wyzwolona od egoizmu.

Myślicie, wpatrując się we wszechświat, w odległe galaktyki, że prawa czasu i przestrzeni obowiązują tam podobne do tych jakie rządzą na Ziemi i w systemie słonecznym. Tak nie jest.

...Czy chcesz skorzystać z ofiarowanej ci przez nas możliwości korekty swego życia? Przede wszystkim gdy chodzi o Annę, o waszą miłość... Możesz cofnąć się o lat kilkanaście czy więcej, do początków waszego wspólnego życia...

Wierzyłem i nie wierzyłem w to, co mnie spotkało. W ów łagodny, kobiecy, niekobiecy głos płynący wolno z głośnika aparatu. Ale czymkolwiek by to było, słyszałem przecież wyraźnie, na własne uszy. I zdecydowałem się odpowiedzieć. Nie mogłem zrozumieć wielu rzeczy. Jak to było możliwe, taki powrót w przeszłość? Przecież byłbym znowu zrosnięty swą świadomością z tamtym czasem. Nie byłaby ona wzbogacona o to wszystko, co przeżyłem później... Mógłbym więc...

– Tak. Powtórzyć wszystko z bardzo niewielką tylko korektą. To jest ryzyko. Bo siebie późniejszego, czyli terażniejszego mógłbyś jedynie przeczuwać w rzadkich i krótkich błyskach iluminacji.

– A czy wtedy, jeśli owa „taśma” korekcyjna byłaby kopią tylko na mój użytek, to czy wszystko inne poza mną składające się na dany świat, także wszyscy inni ludzie współcześni mi, łącznie z Anną – nie stanowiliby jedynie swego rodzaju projekcji mojej świadomości, istniejąc obiektywnie gdzie indziej?

– I tak i nie – odpowiedział głos. – Nie mogę ci tego wytłumaczyć, ponieważ wykracza to poza możliwości ludzkiego umysłu, przynajmniej na obecnym etapie rozwoju.

– Jeszcze jedno. Czy taka próba korekty mego życia z Anną nie wymagałaby także jej zgody? Bo inaczej... – przerwałem.

– Jej zgoda nie musi być koniecznie świadoma.

Lecz skoro chcesz, możemy i jej ujawnić tę samą prawdę, którą ujawniliśmy tobie. Lecz powtarzam, to nie jest konieczne. Ponieważ to ty przecież jesteś winny temu, że wasze życie nie było lepsze, pełniejsze. A więc od ciebie też głównie zależy... – głos nie dokończył.

– Zastanowię się nad tym – rzekłem. – Wiem, że to jest dla mnie wielka szansa, bo nie czuję się dobrze tak, jak żyję w tej chwili. I Anna z pewnością też. Lecz boję się, że nie potrafię wiele zmienić na lepsze aż do chwili gdy nadejdzie starość i zapewne będzie mi już wszystko jedno...

– Dobrze. Zastanów się do jutra. Ale zważ, iż możesz zachować jasną świadomość nawet i do śmierci i nie będzie ci wszystko jedno, jak przeżyłeś poprzedzający ją czas. Co powstrzymuje cię od skorzystania z naszej propozycji? Czyżbyś może podejrzewał, że my, Nadistoty Kosmiczne jesteśmy jakimiś „aniołami mroku”, w które wierzone dawniej, a i dziś są tacy co wierzą w ich istnienie.

– Nie. Ja nie wierzę.

– Wiemy o tym. Wiemy o tobie prawie wszystko. Jak i o innych ludziach, którzy wydają nam się godni uwagi, których egzystencję śledzimy. – Głos zamilkł.

Tkwiałem nieruchomo chyba przez pół godziny na tapczanie, rozmyślając chaotycznie. Radio terkotało monotonna pogadanką rolniczą. Zgasilem je. Ogolilem się i poszedłem na obiad. Na bulwarze było niewielu ludzi. Od morza wiało chłodem. Szedłem wolnym krokiem brzegiem plaży to spoglądając na ciemne chmury, to na spienione morze atakujące ład fala za falą... Morze, wieloznaczny poetycki symbol. Między innymi i symbol czasu, który mknie niby fale przed siebie, zatracając się w głębinach. Ale kiedyś przeminie nawet i pozorna wieczność morza.

Powziąłem szybką decyzję. Spakowałem swoje rzeczy i wsiałem do najbliższego, wczesnowieczornego pociągu zmierzającego w kierunku mego miasta. W środku nocy otwierałem drzwi mieszkania. Anna nie spała. Wyszła naprzeciw mnie, gdy tylko przekroczyłem próg. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę bez słowa. Wreszcie ona odezwała się pierwsza, z widocznym zdziwieniem.

– Myślałam, że przyjedziesz najwcześniejszym następnym pociągiem. Nie przypuszczałam, że mój telegram tak błyskawicznie dotrze do ciebie.

– Jaki telegram?

Była najwyraźniej zdumiona moim pytaniem.

– Żebyś przyjeżdżał natychmiast.

– Dlaczego?

Stała i patrzyła na mnie w napięciu, jakby oczekując jakiegoś wyjaśnienia. Później niespodziewanie uśmiechnęła się. Tajemniczo, jak mi się wydało.

– Dlatego, bo... – szepnęła i urwała.

Wzięłem ją w ramiona i zamarliśmy w długim pocałunku.

* * *

Nie wspomniałem Annie ani słowa o tym, co wyczytałem następnego dnia w popołudniowym dzienniku. Ona sama bardzo rzadko sięga po codzienną prasę. U dołu pierwszej strony widniała wiadomość, że w popularnej miejscowości nadmorskiej U. zdarzyła się minionej nocy tragedia. Na skutek awarii instalacji świetlnej spalił się pensjonat „Horyzont”. W płomieniach zginęło osiem osób, trzy ocalały, nie powróciły bowiem na noc do pensjonatu.

Nie usłyszałem więcej owego głosu przemawiającego w imieniu Nadistot Kosmicznych. Wierzę, że może jednak go jeszcze usłyszę.

MISJA

Był świadomością. Ale nie czystą, bo taka nie może istnieć we wszechświecie. Był więc także materią, lecz nie ulepioną w żaden konkretny kształt, mogącą nie tylko swobodnie przemieniać się w dowolne formy, ale i wstępować w różne skupienia. Mógł być nawet światłem i właśnie jako światło przemierzał ogromne przestrzenie kosmosu, zanim nie dotarł do jakiejś gwiazdy lub którejś z towarzyszących jej planet.

Wiedział, po co się zjawiał w pobliżu tego małego globu. Miał do wypełnienia misję...

Przestał być światłem, a stał się jedną z chmur unoszących się nad oceanem.

* * *

– Spójrz! – krzyknęła Krystyna. Jan zmieniający właśnie położenie zagła odwrócił się szybko. W stronę ich jachciku zbliżał się spory statek handlowy, jeden z tych niezliczonych drobnicowców przemierzających ocean dzielący trzy kontynenty. Nad statkiem, tak nisko, że wydawało się, iż okrywa go niby parasol, zawieszony był świetlisty krąg zmieniający barwy jak tęcza. I naraz, w jednej chwili, którą ledwie mogło uchwycić oko, świetlisty krąg uniósł się z błyskawiczną szybkością w górę, a statek zniknął. Po prostu jakby był tylko przywidzeniem.

Patrzyli na siebie w przerażeniu. Wreszcie pierwszy odezwał się Jan.

– To znowu UFO!

– Nie powinniśmy tędy płynąć, tym szlakiem – wstrząsnęła się.

– Teraz, od pewnego czasu to już nie ma znaczenia. Statki i samoloty giną co pewien czas na wszystkich morzach. Nawet zdarzyło się to już i na Bałtyku.

– Nic mi o tym nie mówiłeś – rzekła z wyrzutem. Ona sama niechętnie czytała prasę, a dzienników telewizyjnych nie oglądała wcale.

– Nie chciałem cię straszyć. Nie chciałem, abyśmy zrezygnowali z naszej żeglugi...

– Rozumiem. Ale myślę, że gdybyś mi nawet o tym powiedział, nie zrezygnowałabym...

Dopłynęli szczęśliwie do brzegów Florydy. Postanowili pozostać przez kilka dni w jednym z portowych miasteczek, aby nieco wypocząć przed dalszą drogą, która miała ich prowadzić do Rio de Janeiro.

Gazety i telewizja mówiły o zniknięciu statku płynącego pod banderą panamską, który nazywał się „Sea-Gull”. Nie było wokół tego nazbyt dużej sensacji, świat zdążył się już bowiem przyzwyczaić do „połykania” przez nieznaną moc statków i samolotów. Jan i Krystyna uważali za stosowne złożyć meldunek o tym, co widzieli, w miejscowym Urzędzie Morskim, prosząc o dyskrecję. Jednak odnalazło ich kilku dziennikarzy, którzy napisali mrożące krew w żyłach artykuły „na podstawie zeznań autentycznych świadków”...

Po pięciodniowym wypoczynku wsiedli na swoją łupinę i puścili się znów na ocean, pragnąc w możliwie szybkim czasie dotrzeć do wybrzeży Brazylii.

Drugiego dnia żeglugi dotarła do nich za pośrednictwem radia, które mieli na pokładzie, sensacyjna wiadomość. Otóż w Japonii jeden z ekspresowych pociągów kursujących na trasie Tokio-Osaka znikł w podobny sposób, jak to zdarzało się dotąd tylko statkom oraz przelatującym nad morzami samolotom. Na krótko przed tym zauważono nad miastem, znajdującym się nie opodal kolejowej trasy obiekt latający, błyszczący silnie niby lustro w blasku słonecznym. A więc tajemnicze siły, które działają nad globem od tylu lat, systematycznie wzmagają swoją działalność, w wyniku której zginęło bez wieści tysiące ludzi (nie mówiąc o stratach materialnych). Fakt zniknięcia pociągu stanowi kolejny dowód agresji owych sił, które świat zna pod nazwą UFO, lecz czym one są w rzeczywistości nie wie, mimo tak licznych na ten temat hipotez.

* * *

Przyswajał sobie potrzebne informacje, a inne eliminował w tempie jakiego nie potrafiłby osiągnąć żaden ze znajdujących się na Ziemi mózgow elektronowych. Wiedział o wszystkim, o czym tylko pragnął wiedzieć, traktując jako szum informacyjny wszystko, co go nie mogło interesować.

Już był całkowicie zorientowany w tym co dzieje się na planecie i gotów do działania. Zdarzało mu się już wykonywać podobne misje, lecz ta była inna z tego względu, że dotyczyła planety zwanej Ziemią, zamieszkaną przez istoty podobne do tych, jakie żyły wtedy... Zanim...

Rozpoczął polowanie. Obecność pierwszego z unicestwionych przez siebie wrogów odczuł z dużej odległości, przelatywał on nad oceanem nie spiesząc się zbyt, wypatrując widocznie ofiary. Kiedy wróg wyczuł jego zbliżanie się, przez chwilę był skonsternowany, nie wiedząc co czynić. Ale chyba zorientował się, co mu grozi, bo ruszył z pełną szybkością w górę, w przestrzeli nad planetą. Wkrótce dosięgnął go i wróg zniknął podobnie, jak zniknęły dotąd jego ofiary analizowane w ten sposób, że musiały ulegać całkowitemu unicestwieniu, aby analiza mogła zostać w pełni dokonana.

W pobliżu wybrzeży jednego z lądów – zapadł już wtedy w tym miejscu wieczór – zauważył aż czterech wrogów.

Ruszył, a one, widocznie nieświadome jego możliwości, starały się użyć przeciwko niemu swej broni. Tym razem postąpił inaczej. Nie zamienił ich w niedostrzegalny przez żadne oko pył, ale pozwolił zamienić się w cztery spadające gwiazdy, które zanim opadły w fale oceanu, zostały zauważone.

Jacht znajdował się już o kilkadziesiąt mil morskich od Rio.

Wczoraj około godziny 20.00 zauważono na wysokości wschodnich wybrzeży Kanady niezwykle zjawisko.

Spadek kilku świetlistych ciał, które liczni obserwatorzy tego zjawiska brali za meteoryty. Jednak stacje naukowe znajdujące się na wybrzeżu stwierdziły, że były to nie wątpliwie pozostałości sztucznych obiektów przestrzennych. Na podstawie tego stwierdzenia szereg spośród kompetentnych w tym zakresie osób uważa, że były to uległe jakiejś katastrofie Niezidentyfikowane Obiekty Latające. Niektóre z nagłówków prasowych brzmiały:

„Czyżby UFO, nękające dotąd mieszkańców Ziemi, rozpoczynały wojnę między sobą?”

– Słyszysz – rzekła cicho Krystyna. – Dzieje się znów coś nowego. Zaczynam bać się coraz bardziej...

– Nie wierzę, aby to były UFO...

– Przecież wiemy, że istnieją, bo sami... Więc dlaczegoż by nie?...

Może masz rację – rzekł po zastanowieniu. – Ale trudno mi uwierzyć w to, aby one zaczęły niszczyć się między sobą.

Przeleciał nad nimi klucz samolotów bojowych. Odprowadzili je wzrokiem. A więc patrolują niebo. Chociaż są przecież całkiem bezsilne wobec UFO...

Dopłynęli do Rio, które oszołomiło ich swoim ogromem i ruchem. Jego mieszkańcy nie przejmowali się zbyt wydarzeniami, które elektryzowały inne kraje. Może dzięki swemu wrodzonemu optymizmowi i radości życia.

Jan i Krystyna spędzili tu tydzień, który wydał im się jednym wielkim świętem. Oni również starali się zapomnieć o tym, co niepokoiło od niejakiego czasu świat bardziej, aniżeli ziemskie kryzysy polityczne.

Zorientował się szybko, że wrogowie mają swoją bazę na satelicie planety. I stamtąd podejmują wyprawy zwiadowczo-analizatorskie. Postanowił uderzyć na ich gniazdo.

Postarał się zbliżyć do satelity tak, aby nie mogli go wykryć. Nie było to dla niego trudne, bo chociaż oni przewyższali pod wieloma względami możliwościami technicznymi mieszkańców Ziemi, to wobec jego możliwości, które nie były już technicznymi, lecz związanymi z tajemnicą kosmosu i jego praw, byli bezsilni. Nie stanowili dla niego żadnych kontrpartnerów.

Nie miał z tego powodu żadnych wyrzutów. Po prostu byli szkodnikami, szczurami kosmosu groźnymi dla Ziemi i nie tylko dla nich, należało więc się ich pozbyć.

W bazie znajdowało się jedenaście statków. W kształcie kręgów, względnie cygar.– Wykorzystując zaskoczenie zniszczył błyskawicznie osiem z nich. Trzy poderwały się do lotu. Dwa dogonił natychmiast i zlikwidował, za ostatnim odbył niezbyt długi pościg i podzielił on los pozostałych.

Zastanowił się, czy zniszczyć także bazę, czy poczekać. Co uczynią pozostali wrogowie, gdy dowiedzą się o ataku i zniszczeniu statków? Czy uznają swoją bezsilność i wyniosą się z Ziemi i jej okolic. Czy też spróbują sprawdzić, nawet za cenę ryzyka, kto przeciwko nim działa... Zdecydował się zaczekać, czuwając nad satelitą niedaleko punktu, w którym znajdowała się baza.

Wrogowie byli podobni do szczurów, będących zwierzętami odważnymi, a nawet zajadłymi, niełatwo godzącymi się z klęską. Toteż w niedługim czasie zlikwidował aż dwadzieścia osiem statków przybywających bądź to pojedynczo, bądź to grupami. Razem pozbył się już czterdziestu trzech..

Ile ich mogło pozostać? Chyba niezbyt wiele. Informacja, którą zaczerpnął z Ziemi, mówiła, że największe skupisko UFO, jakie zaobserwowano, liczyło dwadzieścia siedem obiektów.

Mogły jednak zostać przez nich wezwane posiłki z rodzimej planety. Gdyby jednak nawet tak się stało, to musiałyby upłynąć jakiś czas, zanim by przybyły.

Czekał kilkanaście obrotów globu wokół Słońca, gdy zauważył zbliżającą się eskadrę. Niemożliwe, aby tak szybko przybyły posiłki, musiała być więc to eskadra krążąca dotąd wokół Ziemi. Tak! Zorientował się o tym na podstawie sygnałów ze statków. Środki porozumiewania się „szczurów” były dość osobliwe, rzadkie wśród istot kosmicznych, lecz rozszyfrował ich „rozmowę”. Właściwie to mógłby po prostu ulokować się w ich bazie i stamtąd odbierać sygnały. Lecz wówczas prawdopodobnie staliby się ostrożni. A on chciał zniszczyć ich możliwie najwięcej.

Była to, poza kilkoma jednostkami pozostawionymi na orbicie Ziemi, reszta ich floty wysłanej na tę planetę. Trzydzieści sześć statków.

Zbudziła się w nim chęć zabawienia się z nimi, zanim ich zniszczy. Zamienił się w jeden z tych niepozornych statków kosmicznych, jakie widywał gdzieś w okolicach Aldebarana.

Zbliżyli się ku niemu łukiem i zatrzymali, jakby węsząc. Wyczuwali widocznie, że może to być podstęp. Byli jednak zdeterminowani, wściekli. Ruszyli na niego, okrążając go. Mieli widocznie chętkę, aby, gdyby to było możliwe, schwycić go „żywem”, aby przekonać się kim jest. Wściekłość odebrała im widocznie zdolność chłodnego rozumowania, że skoro jest to prawdopodobnie ich tępicieł, który zniszczył połowę ich floty, to...

I wtedy zaczął swój taniec. Bo był to rodzaj tańca, kiedy przemieniony w śmiercionośne promienie zataczał wokół nich koła, elipsy i ósemki, niosąc jakby od niechcenia zagładę kolejnym statkom, aż nie pozostał z nich ani jeden.

Później skierował się w stronę bazy. Przeistoczony, w zbroi z telurynu, odpornego na wszystko metalu znajdującego się na niektórych dzikich globach towarzyszących Czerwonym Gwiazdom, wkroczył do hangarów znajdujących się w zboczu księżycowego wulkanu,

niewidocznych dla oka patrzącego z góry.

Był wcielonym zniszczeniem prącym nieubłagane naprzód. Zadającym bezlitośnie śmierć wrogom mieszkańców Ziemi, wrogom, którzy pragnęli najpierw przejąć wszelkie ich tajemnice jakie mogłyby się przydać, a następnie stopniowo, lecz systematycznie, z całą pedanterią właściwą ich zwyrodniałemu gatunkowi „wyeliminować” ludzi, aby zająć ich miejsce na planecie.

Dlatego atakowali statki i samoloty, analizując je, co oznaczało dla nich i znajdujących się na ich pokładach ludzi zniknięcie. Dla ludzi było to lepsze, niż dla tych „wybrańców”, których zabierano do bazy, aby poddawać ich szczególnym formom wiwisekcji, co czyniło ich cierpienia większymi aniżeli zadawano je kiedykolwiek, za pomocą tortur, na Ziemi.

Lecz gdyby to ludziom przyszło walczyć z obcymi, a tym bardziej niszczyć ich niby szczury, byłoby to dla nich trudne nie tylko z powodów technicznych...

Najeźdźcy nie byli bowiem ani trochę podobni do szczurów. Raczej do tych istniejących jeszcze do dziś na Ziemi wizerunków i figurek niby to dzieci, niby ptaków z krótkimi, niewyrośniętymi skrzydełkami. Ich twarzyczki były śliczne, słodkie i niewinne. Różnica polegała na tym, że także – bezmyślne. Natomiast twarzyczki przybyszów z kosmosu bezmyślne nie były, czaiła się też w nich chytryść, złość i okrucieństwo. Zanim by to jednak Ziemianie pojęli...

Żeglowali teraz w kierunku Australii. Morze było spokojne, bardziej niż normalnie o tej porze roku. Patrzyli na niebo zdające się czuwać nad oceanem. Oni jednak wiedzieli, że przychylność natury to nie wszystko. Słuchali radia, aby wiedzieć co się dzieje na planecie, nad którą wisiała przecież wciąż ciemna chmura grozy...

Jednak komunikaty radiowe nie przynosiły żadnych nowych groźnych wieści. Płynęli więc, nie uwolnieni wprawdzie od niepokoju, lecz z nadzieją, że ich wielka wyprawa, żegluga, do której przygotowywali się tak długo, przyniesie im tylko to, czego oczekiwali. Lecz przecież nie zapomnieli, że na ich oczach...

Któregoś dnia pojawiła się przed nimi grupa małych wysepek, które były oznaczone na mapie jako nie zamieszkałe. Mieli jeszcze wprawdzie dosyć wody, postanowili jednak przybić do jednej z nich, aby poczuć pod nogami zamiast desek chwiejnego pokładu stałą ziemię. Wysepka była zarośnięta palmami. Oprócz albatrosów znajdowały się inne lądowe ptaki o kolorowym upierzeniu. Gdy przedarli się przez gęstwinę w głąb wysepki, usłyszeli szmer strumienia. Wykapali się w nim z przyjemnością, woda była chłodna w przeciwieństwie do tropikalnego powietrza.

Nie zauważyli żadnych zwierząt, poza niewielkimi jaszczurkami, które na ich widok stały przez chwilę bez ruchu, zaskoczone ich widokiem, a następnie czmychnęły w gąszcz.

Powrócili na brzeg wyspy. Ich jachcik kołysał się leniwie na spokojnych wodach zatoczki.

Wąską plażą ciągnącą się wzdłuż niej nadchodził człowiek.

Stali bez ruchu nie odzywając się do siebie, aż zbliżył się i ujrzeli jego twarz.

– Skąd pan tu się wziął? – zapytał Jan przyglądając się nieznajomemu, który wprawdzie wyglądał jak normalny człowiek, lecz było w nim coś dziwnego, choć trudno byłoby określić dlaczego sprawiał takie wrażenie.

– To nieważne – powiedział nieznajomy patrząc na nich z uwagą. – Wy też znajdujecie się tu przypadkiem. Tak samo i ja.

– Żeglujecie pan samotnie przez ocean? – zapytała Krystyna.

– Tak. Mój jacht jest zakotwiczony po przeciwnej stronie wyspy. Poszedłem plażą aby obejść wyspę i zobaczyłem waszą łódź.

– To jednak dość niezwykle, że tu się spotkaliśmy...

– Rzeczywiście. To samo pomyślałem, gdy zobaczyłem wasz jacht.

Dopiero teraz, po początkowym szoku uświadomili sobie, że nieznajomy używa ich ojczystej mowy.

– Skąd pan zna nasz język? – zapytał Jan.

– Znam wiele języków – odpowiedział nieznajomy.

Lecz to nie wszystko tłumaczyło. Skąd bowiem mógł wiedzieć, którego języka powinien użyć przy spotkaniu z nimi?

Ależ przecież mógł zorientować się na podstawie nazwy ich jachtu. Tak...

– Może... może by pan nas odwiedził i wypił z nami kawę? – zaproponowała Krystyna.

– Dziękuję – odparł nieznajomy. – Ja nie pijam kawy. Cieszę się, że was zobaczyłem. Już dawno nie oglądałem żadnych ludzi. Wracam na swój – jacht i jeszcze dzisiaj odpływam. Życzę wam powodzenia! Myślę, że szczęśliwie przepłyniecie ocean...

Patrzyli na niego, nie mogąc nadal pozbyć się wrażenia, że to spotkanie jest jakieś nierealne. Że nieznajomy kryje w sobie tajemnicę dla nich nie do odgadnięcia.

I rzeczywiście tak było.

Zrealizował swoje pragnienie, żeby przybrać postać człowieka, zobaczyć z bliska mieszkańców Ziemi. Podobni do nich byli niegdyś ci, którzy żyli przed setkami tysięcy lat na tej samej planecie, a następnie, stopniowo, zaczęli odrywać się od niej, swojej kolebki, by stać się istotami kosmicznymi. Czy obecni Ziemianie powtórzą ową ewolucję? Nie wiadomo. Może ich wybór będzie inny, lecz chyba i w nich rosnąć będzie pragnienie przekraczania granic, tęsknota do nieśmiertelności, która wprawdzie nie może być spełniona do końca, lecz w pewnym stopniu tak. Natura wyznaczyła kiedyś kres istnieniu świadomości, jaką posiadał on i podobne mu istoty, wiedział o tym dobrze. Lecz jej istnienie, to wieczność – w porównaniu z egzystencją ludzi.

Będzie czuwał jeszcze jakiś czas nad planetą, a następnie ruszy znowu w przestrzeń, ku

najdalszym gwiazdom...

KRYSTAŁOWI

Zauważyliśmy tę mroczną planetę przypadkiem. Tylko dlatego, że zboczyliśmy nieco z naszej drogi od Układu 19A49, w kierunku Układu IA57, który nas nie interesował, ponieważ zbliżał się powoli do końca swej egzystencji. Jego słońca świeciły coraz słabiej, a planety musiały kolejno wymierać, o ile, oczywiście, była na nich jakakolwiek forma życia.

Nasz statek, „Argo XII” był przygotowany do bardzo długiej podróży kosmicznej. Lecieliśmy już cztery lata (nasze, fizyczne, bo na Ziemi minęło ich znacznie więcej), a mieliśmy w perspektywie jeszcze trzy, aby dotrzeć do Układu 19A49, który niepokoił od dawna ziemskich uczonych swym silnym promieniowaniem mogącym świadczyć, że na jego planetach zachodzą interesujące procesy, spowodowane być może przez zamieszkujące je istoty inteligentne.

I oto aparaty pochwyliły nagle słaby sygnał, który mógł świadczyć, że na planecie mieszkają inteligentne istoty. To był całkiem nikły impuls. A jednak... Kapitan Scare urządził wśród kilkunastoosobowej załogi coś w rodzaju referendum. Zdecydowana większość była zdania, że warto wylądować, aby przekonać się, co na niej się dzieje. Ostatecznie mogliśmy poświęcić kilka naszych biologicznych dni, bo nie wydawało się aby na tym globie czas mógł przebiegać inaczej, niekorzystnie dla nas. Wykryłyby to superprecyzyjne instrumenty „Argo”.

Wylądowaliśmy bez żadnych trudności, w dolinie pośród niewielkich gór rysujących się na tle bladego światła najbliższej gwiazdy, będącej dawniej niewątpliwie słońcem dla tej planety, tajemniczo, ale niegroźnie. Niby na sztychu z XIX stulecia, jaki oglądałem kiedyś w wielkiej archeobibliotece...

Na planecie było zimno. Ale nasze przystosowane do wszystkich okoliczności skafandry zdolne były znieść dużo niższe temperatury. Powietrza nie było, jak się tego spodziewaliśmy. Ale pejzaż planety przedstawiał widok na swój sposób piękny. Coś jakby ze snu o krainie lodów. Docierające wciąż promienie wygasającego słońca załamywały się na gładkiej powierzchni doliny i na zboczach bliskich gór, tworząc różnobarwne refleksy, wywołujące nastrój trudny do określenia. Widok ten nie budził grozy, jak to bywało na niektórych odwiedzanych przez nas globach, nie sprawiał wrażenia beznadziejności, nie nasuwał myśli o nicości czekającej wcześniej czy później wszystkie stare układy gwiazdne, które przeżyły już swój czas...

Pierwsze rozeznanie przeprowadzone na terenie doliny nie przyniosło nic. Żadnych śladów jakiegokolwiek życia. Jakby od początków istnienia tej planety była ona jedynie swego rodzaju lustrem odbijającym niegdyś intensywne, a teraz coraz bledsze światło najbliższej gwiazdy, światło rozszczepiające się i tworzące kolorową panoramę dla nikogo.

A jednak nasze aparaty od czasu do czasu wychwytywały pewne impulsy, które wskazywały, że na globie gdzieś egzystują jakieś formy inteligencji. Jeden z nas, Vex, wyraził przypuszczenie, że może istnieją one ponad powierzchnią planety, będąc dla nas niewidzialnymi.

Kapitan Scare zgodził się, że jest to możliwe. Ale skoro wylądowaliśmy tu, musimy zbadać planetę bardziej dokładnie. Być może, iż coś, czy też ktoś znajduje się na szczytach niewysokich pasm górskich, rozciągających się na całym prawie globie.

Wystartowaliśmy w kilkoro aparatem zwiadowczym, mającym na swoim pokładzie odpowiednie czujniki. Krążyliśmy nad górami i dolinami podziwiając ich pustynne, dzikie piękno. Trwało to dosyć długo, bez żadnego skutku. Wreszcie aparat nasz znalazł się nad szerokim wąwozem, pogrążonym w większym półmroku aniżeli mijane przedtem doliny. I tu nasze czujniki zareagowały słabo, ale wyraźnie.

Wylądowaliśmy ostrożnie na dnie wąwozu, na jego szklistej powierzchni, zapalając jednocześnie wszystkie nasze reflektory. Ściany wąwozu były nierówne, połyskiwały podobnie jak powierzchnia, na której wylądowaliśmy. Blaknącego słońca planety nie było tu widać, docierały jedynie żałosne resztki blasku, który w dolinach był odrobinę silniejszy.

Manewrowaliśmy smugami reflektorów tak, aby spenetrować możliwie największą przestrzeń. I naraz jasny krąg jednego z nich zatrzymał się mniej więcej w połowie wysokości lewej ściany wąwozu.

– Co to może być? – zawołała Atrix, jedna z naszych dwóch towarzyszek.

Wpatrzyliśmy się wszyscy czworo w miejsce obwiedzione jasnym kręgiem.

– To jest... – rzekł Vex. – Wiecie, do czego to jest podobne? Do półkuli wyrzeźbionej jakby w ścianie górskiej...

– Ona nie jest gładka – zauważyła Atrix. – Przypomina ogromny... kryształ.

– Tak! – podchwyciłem. – Zwłaszcza, że odbija światło, podobnie jak kryształy.

– I składa się z symetrycznych płytek – dokończył Vex. – Ale jakże jest wielki, większy od tych, jakie widziałem kiedykolwiek na Ziemi.

– Przesuń promień reflektora albo w lewo, albo w prawo – powiedziała Atrix.

– I przenieśmy tam również pozostałe – dodała milcząca dotąd Sylvia.

Uczyniliśmy to i okazało się, że kryształów jest znacznie więcej. Naliczyliśmy ich kilkanaście, oddalonych od siebie mniej więcej o 25-30 metrów (ich średnica liczyć mogła 10, do 12 metrów), pobłyskiwały w blasku naszych reflektorów, załamując ich światło.

Nagle przyszło nam do głowy, że może i po drugiej stronie wąwozu... Rzeczywiście tak było. Na tej samej wysokości ściany znajdowało się ponad dwadzieścia kryształów bliźniaczo podobnych. Zauważyliśmy jedynie, że różnią się one nieco od poprzednich wielkością. Są trochę mniejsze.

Patrzyliśmy jak urzeczeni. W miarę jak upływał czas oświetlania kryształów zdawały się one jakby ożywać, jakby się w nich coś budziło.

– Słuchajcie – przerwała ciszę Atrix. – Spróbujmy skupić blask wszystkich reflektorów na jednym z nich.

– Po co? – zapytał Vex.

– Mam pewną myśl... – przerwała.

– Jaką? – zapytałem tym razem ja.

– Nie powiem, bo gotowi jesteście uznać mnie za wariatkę.

– Nie, Atrix – powiedział za nas wszystkich Vex. – Przecież wiemy, że nieraz zdarzało ci się wpaść na coś, co nam by nie przyszło do głowy.

Światła wszystkich trzech reflektorów skupiły się na jednym z kryształów wyrastających z prawej strony ściany wąwozu. Był on średniej wielkości.

Trwaliśmy wpatrzeni, milcząc przez kilkanaście minut. Nagle kryształ zaśnił jakby odrobinę intensywniej, a jednocześnie usłyszeliśmy w naszych słuchawkach coś jakby cichutką frazę muzyczną. A później szereg melodyjnych dźwięków które nasze tłumaczące przetłumaczyły po kilku sekundach.

– Więcej... światła...

Byliśmy wstrząśnięci. Patrzyliśmy to na siebie, to na kryształ, nie mogąc wykrztusić słowa. Pierwszy opanował się Vex.

– One... żyją. Chyba, że są tylko przekaźnikami.

Połączył się po chwili z „Argo” i przekazywał kapitanowi, co udało nam się odkryć.

Kapitan Scare był znacznie starszym od nas astronautą, widział w czasie swoich licznych wypraw do odległych układów wiele niezwykłych rzeczy. Dlatego wiadomość o mówiących kryształach nie zaskoczyła go tak jak nas.

– Myślę, że należy z nimi porozmawiać. Z kilkoma z nich. Wszystko wskazuje na to, że znajdują się jakby we śnie z powodu braku światła...

– Kapitanie – powiedział Vex. – A czy one nie mogą okazać się dla nas niebezpieczne? Może są tylko jakimś instrumentem!... I może ten ktoś chce zainteresować nas kryształami, aby...

– To dobrze, że jesteś ostrożny, Vex – stwierdził z powagą kapitan. – Ale ryzyko, niestety, istnieje zawsze. Nie jesteśmy w stanie go wykluczyć. Być może masz rację, że te kryształy przemawiają w jakimś imieniu. Ale tym niemniej naszym obowiązkiem jest wejść z nimi w Kontakt.

Przerwał na moment, a później zapytał:

– Czy tam, w wąwozie, w którym jesteście, uda się jednak wylądować „Argo”?

– Tak. Jeśli będzie się to czynić ostrożnie – powiedział Vex. – Kerr jest dobrym pilotem, ale też musi uważać. Będziemy przez cały czas nadawać sygnał, a kiedy znajdziecie się już nad nami, dojrzyjecie reflektory.

Tak – powiedział kapitan Scare kiedy „Argo” wylądował w wąwozie w pobliżu naszego aparatu. I gdy przyjął nas na swój pokład. – To wygląda rzeczywiście interesująco. Muszę

przyznać, że podobnych kryształów jeszcze nie oglądałem...

Patrzyliśmy wszyscy zgromadzeni w obserwatorium statku na cztery kryształy, na których skupiło się światło siedmiu superreflektorów „Argo”. Na statku czuwały w pogotowiu automaty obsługujące broń. W razie jakiegokolwiek próby agresji wobec nas, włączyłyby się działa laserowe. Ale nikt z nas, może poza podejrzliwym Vexem, nie brał pod uwagę takiej możliwości.

Usłyszeliśmy w translatorze coś w rodzaju westchnienia: „światło”, kiedy przebudził się największy z czterech wybranych przez nas kryształów. Później zaczął przyjmować i odbijać blask niby piękny, gigantyczny klejnot. Pozostałe trzy wyzwoliły się ze stanu letargu wcześniej.

Usłyszeliśmy muzykę, jakiej nie słuchaliśmy nigdy na Ziemi. Była prawdziwą muzyką kosmosu. Nieludzka, nie nasuwającą żadnych skojarzeń z jakąkolwiek formą muzyki zrodzoną dotąd na naszej ojczystej planecie. Lecz o takiej harmonii, jakiej nie osiągnął dotąd nigdy żaden ziemski kompozytor. Było w niej piękno i mądrość – to – mogliśmy odczuć i odczuwaliśmy – lecz jakie były ich źródła, to było poza naszym pojmowaniem. I nie buntowaliśmy się wcale przeciwko temu. Przyjmowaliśmy ową muzykę z wdzięcznością.

Nie wszyscy jednak. To właśnie Vex przerwał nasze zasłuchanie, mówiąc nagle:

– Coś mi się przypomniało z bardzo starych czasów... Czy one nie są czymś w rodzaju mitycznych syren?...

I kryształy jakby wyczuły, że nie wszyscy słuchamy ich tak, jakby tego pragnęły, bo przerwały muzykę. Głos Vexa zabrzmiał niby ostry dysonans przerywający wszelką harmonię. Przynajmniej niektórzy z nas musieli jednak w głębi ducha przyznać, że Vex mógł mieć rację. Ale gdyby dominowały w człowieku podejrzliwość i lęk, spodziewanie się ze strony nieznanego zła, a nie dobra, to czy kiedykolwiek zdolny byłby stać się tym, kim się stał? Zwłaszcza w czasach ostatnich?

Nie potępialiśmy Vexa, lecz nasz stosunek do zjawisk kosmosu, a więc i do znalezionych na tej ciemnej planecie kryształów – był odmienny. Dominowała w nim ufność.

One zdawały się to rozumieć. Bo znów zabrzmiała muzyka i trwała, dopóki nie nastąpiło jej naturalne podsumowanie, głęboko logiczny finał przemawiający do słuchaczy ze szczególną mocą.

A potem rozbrzmiały dźwięki nie będące już muzyką. Translator tłumaczył je.

– Kim?... Wy... Da-le-ko? Tak? Prze-strzeń. Lot...

My – nie. My tyl-ko. Tylko... tu. Wy... światło? Daw-no nie. My. Gaś-nie. Też... My. Też... Teraz.

Słuchaliśmy tych postrzępionych słów i rozumieliśmy dobrze co pragnęli nam przekazać Kryształowi. I odczuwaliśmy coraz bardziej naszą bezsilność.

Zdawali się o tym wiedzieć, bo usłyszeliśmy:

– Wy? Nie. Nie-tu. Światło... Nie. My... Jeszcze. My – tak. Wam.

Ta muzyka była inna, lecz równie piękna i podniosła jak poprzednia.

Atrix szepnęła, patrząc na nas szeroko otwartymi oczami, w których był smutek:

– One nas... żegnają. Bo wiedzą, że...

– Tak – potwierdził kapitan Scare, pochylając głowę. Spojrzeliśmy na niego, jakbyśmy go dotąd nie znali. I podobnie zaczęliśmy patrzeć na siebie nawzajem, jakby widząc się na nowo. I wiedzieliśmy, komu to zawdzięczamy.

Kiedy muzyka wreszcie umilkła, kapitan powiedział cicho:

– Uczynię wszystko po powrocie na Ziemię, aby... przywieźć tu im możliwie największą ilość Sztucznych Słońc...

(Sztuczne Słońca były prawdziwym błogosławieństwem dla dawniej zimnych i mrocznych stref Ziemi, regulując ich klimat bez szkody dla równowagi biofizycznej całej planety. Stopiły one wprawdzie znaczną część lodów arktycznych i antarktycznych, lecz nie wywołało to bynajmniej ujemnych skutków w postaci „potopu”, nadmiar wody został stopniowo sparowany i przeniesiony nad pustynne okolice globu).

Wszyscy pozostali z załogi „Argo XII”, włącznie z Vexem tym razem, myśleli tak samo jak kapitan.

– Choćby miało to przedłużyć ich egzystencję tylko na jakiś czas – rzekł znów kapitan Scare. – Ale gdy chodzi o kosmos, nigdy nic nie wiadomo. Za jakiś czas w pobliżu tej planety może pojawić się nowe słońce, być może odrodzi się cały Układ... Musimy im pomóc. Myślę, że warto nawet zawrócić z naszej drogi ku 19A49. Wyprawę tam może podjąć inny statek. A być może znów nasz „Argo”... Wicie – spojrzał kolejno w twarze nas wszystkich – może uznacie to za głupotę z mojej strony, lecz uważam, że ich trzeba ratować. Chociażby ze względu – przerwał znów, aby „wyrzec jakby ze wstydem... – Nigdy nie interesowałem się muzyką. Ale to...

– To jest czymś większym niż muzyka, choć jest właśnie nią... dopowiedziała Atrix.

* * *

Zanim „Argo XII” uniósł się w przestrzeń, spojrzeliśmy raz jeszcze na planetę oświetloną przez nikłe promienie umierającego Słońca. Tam gdzieś, w mroku przepasanych wąwozów pozostawali oni, Kryształowi. Byliśmy pewni, że oni wiedzą o naszym pragnieniu udzielenia im pomocy. I, że będą na nas czekać pogrążeni we śnie, który oznaczać będzie dla nich nie śmierć, ale nadzieję.

BITWA POD CZARNYM LASEM

Jean Rivauxa znałem od szeregu lat. Spotkaliśmy się po raz pierwszy nad którymś z Wielkich Jezior, gdzie spędzałem wakacje. Jean był kanadyjczykiem francuskiego pochodzenia, co stale podkreślał. Był też zdecydowanym zwolennikiem „wolności dla Quebecu”. Niezależnie od tego czasem niezrozumiałego dla mnie zacietrzewienia, był człowiekiem bardzo miłym, choć niekiedy trochę nerwowym. Lecz tłumaczyły to dwa lata spędzone na wojnie, w kanadyjskim korpusie ekspedycyjnym.

Jean pracował w jednym z biur podróży organizujących pobyty w jego kraju dla turystów ze Stanów. Z pobłażliwością odnosił się zawsze do moich pasji historycznych, których wynikiem były częste podróże do bibliotek europejskich w poszukiwaniu starych kronik i dokumentów.

Siedziałem nad kserograficzną odbitką dokumentu, który znalazłem w jednej z bibliotek wiedeńskich. Był wyjątkowo pasjonujący. Mówił mianowicie o bitwie, która miała być stoczona w czwartym wieku naszej ery w pobliżu Czarnego Lasu, który ówczesnie stanowił strefę neutralną pomiędzy naddunajską prowincją Rzymu, a krainami zamieszkanymi przez plemiona Gotów.

Historia nic nie mówiła o takiej bitwie, ale ostatecznie niejedna zapewne została zapomniana, nie zapisana w kronikach. Tyle ich było w tamtych czasach, u schyłku rzymskiego imperium. To, co mnie wprawilo w prawdziwe podniecenie, odnosiło się do kilku zdań.

„...Wojska księcia Thuna, wodza Gotów runęłyby w głąb kraju nie natrafiając na większy opór, gdyby nie wzmieszanie się sił nadprzyrodzonych. Pojawili się rycerze nieliczni lecz straszni, zadając na wielką odległość śmierć zastępom wojowników Thuna. A wreszcie pojawiły się smoki ogromne, tocząc się z hukiem i dymem po ziemi i plując ogniem, który życia pozbawił setki Gotów. Wtedy pierzchnęli w popłochu, wracając do swych siedzib, nie ważywszy się długo na ponowne pojawienie się w pobliżu Czarnego Lasu, który stał się grobem tylu ich dzielnych towarzyszy.”

Nie mogłem zrozumieć tych zdań. Można by je uznać wprawdzie za przejaw fantazji nieznanego autora tej kroniki, który kopiując ją ze starszych jeszcze źródeł mógł puścić wodze własnych skłonności do rycerskich baśni. Coś mi jednak mówiło, że kryło się w tych zdaniach więcej, niż tylko bujna wyobraźnia autora.

I kiedy tak medytowałem nad tajemniczym dokumentem, usłyszałem głos Jeana.

– Słuchaj, mam dla ciebie propozycję. Przez kilka dni jestem całkiem wolny. Może byś przyjechał do mnie? Zrobilibyśmy jakiś wypad do lasu, na polowanie... Dobrze by ci chyba zrobiło przewietrzyć się trochę. Jak myślisz?

Zdecydowałem się natychmiast. Rzeczywiście taki wypad w kanadyjskie lasy świetnie by mi zrobił. A poza tym odczuwałem chęć pogadania z kimś, kogo lubiłem.

Następnego dnia wsiadłem w samolot lecący na północ i już przed wieczorem witałem się z Jeanem, który przyjechał po mnie na lotnisko.

Następnego dnia odpoczywałem w jego domu gawędząc z nim o tym i owym. W dzień później wzięliśmy strzelby i ruszyliśmy w puszcze. Upolowaliśmy trzy drapieżniki z rodziny kotów, niebezpieczne dla zwierzyny płowej, więc nie chronione przez prawo.

Trzeciego dnia po kolacji, gdy popijaliśmy zimnego bourbona, zdecydowałem się zwierzyć Jeanowi z problemu, jaki stanowił dla mnie dokument mówiący o bitwie pod Czarnym Lasem. Z jednej strony wiedziałem, że podobne sprawy nie interesują go, lecz z drugiej musiałem podzielić się z kimś swym zainteresowaniem dla niezwykłego dokumentu.

– Nie chciałem cię zanudzić – rzekłem. – Ale borykam się w tej chwili z pewną sprawą, która mnie szczerze intryguje jako historyka. Otóż znalazłem niedawno pewien dokument, którego odbitkę mam ze sobą.

Nie bój się. Liczy ona zaledwie kilka stron. Chciałbym, abyś go przeczytał.

Po chwili Jean zagłębił się w lekturę tekstu, a ja przez ten czas słuchałem muzyki Vivaldiego sączącej się cicho z adaptera.

Kiedy Jean czytał ostatnią kartkę, na której był ów „baśniowy” opis, drgnął nagle, twarz jego przybrała dziwny wyraz. Dopiero po dłuższej chwili opanował się i sięgnął po szklanekę z alkoholem.

– Gdzie to znalazłeś? – zapytał, patrząc na mnie uważnie.

– W jednej z bibliotek wiedeńskich. Było to okryte kurzem. Widocznie nikt po to nie sięgał od dawna...

– Słuchaj, stary – rzekł to z niezwykłą powagą. – Czy chciałbyś poznać prawdę?

– Jaką prawdę?

– Właśnie związaną z bitwą... pod Czarnym Lasem.

Byłem zdumiony. Skąd Jean mógł cokolwiek na ten temat wiedzieć. O bitwie, która rozegrała się (albo i nie) przed wieloma wiekami.

– Pewnie, że chciałem – wykrztusiłem wreszcie. – Ale skąd ty...

No właśnie – powiedział jakby z pewnym zmęczeniem w głosie. – Ale tak się składa, że jestem jednym z niewielu żyjących jeszcze na świecie facetów, którzy mogą ci powiedzieć jak było...

Milczałem, patrząc na niego coraz to bardziej zdumionym wzrokiem.

– Tak. Powiem ci, chociaż złożyłem uroczystą obietnicę milczenia o wszystkim... Ale ostatecznie... nie wiem jak długo jeszcze pożyję. I inni, którzy nie umarli dotąd, a byli wtedy ze mną. Myślę zresztą, że nie zdradzisz od kogo się o tym dowiedziałeś... A nieraz myślałem o tym, że ta historia nie może tak całkiem zagaść, jak gdyby jej wcale nie było. To jest historia naprawdę niesamowita, stary...

Otworzyłem usta aby coś powiedzieć, lecz wydało mi się, że lepiej będzie jeśli nie powiem nic, tylko po prostu dam mówić Jeanowi.

Wypił jeszcze jeden tęgi łyk bourbona i zaczął.

– Było to w roku 1944. Wystartowaliśmy wielkim transportowcem, który mógł lądować także i na wodzie.

Mój pluton, czterdziestu dwóch ludzi – oraz pluton czołgów. Trzy maszyny i dwunastu ludzi. Mieliśmy wy lądować w północnej Irlandii. Tymczasem...

Jean sięgnął znów po szklaneczkę.

– Byliśmy już o czterysta kilometrów od Irlandii, gdy nagle wysiadły wszystkie urządzenia nawigacyjne. Dwaj piloci i radiotelegrafista szamotali się jak diabli, ale nic nie poradzili. My, w środku maszyny, oczywiście o niczym nie wiedzieliśmy. Aż do chwili, gdy lądowaliśmy na wodach jakiegoś jeziora. Przycumowaliśmy niedaleko brzegu. Wtedy przyszedł do nas pierwszy pilot i rzekł:

– Koledzy. Nie wiem absolutnie gdzie jesteśmy. Wszelka łączność została zerwana. Lecieliśmy jak się da, licząc, że będzie przywrócona. Wreszcie zaczęło braknąć paliwa... Więc skoro zobaczyliśmy ziemię, a na niej jezioro, nie było wyjścia, tylko trzeba było lądować...

Wszyscy milczeli. Przez okna maszyny widać było dzikie brzegi. Ja byłem najstarszy rangą (pomijając pilotów), musiałem więc zdecydować. Powiedziałem:

– To mi wygląda na diabelne odludzie. Może to północna Szkocja?

– Może – powiedział pilot. – Oby tak było. Ale wydaje mi się, że zalecieliśmy donikąd.

– Jak to? – spytałem. – Co to znaczy donikąd? Możemy być najwyżej na Szetlandach... Jaka jest temperatura na zewnątrz?

– Rzeczywiście. Nie pomyślałem o tym. Zaraz sprawdzę. Jeśli termometry działają.

Wrócił po chwili i powiedział:

– Musimy być gdzieś znacznie bardziej na południe.

Bo termometry wskazują 19 stopni!

Powziąłem szybką decyzję.

– Pójdzie ze mną trzech – zwróciłem się do swych ludzi. – Bierzymy ponton i płyniemy do brzegu.

– Szefie – zwrócił się do mnie jeden z żołnierzy. – A jeśli zalecieliśmy gdzieś do tych... – nie dokończył.

– No, to wtedy mamy wojnę z głowy, chłopcy – odpowiedziałem. – Nic nie będziemy mogli wskórać, chociaż mamy trzy czołgi...

Nikt nic na to nie odpowiedział. Po chwili ponton był gotowy. Otworzyliśmy luk, spuściliśmy łódź na wodę i ja wszedłem pierwszy, a ze mną trzech szeregowców. Okazało się, po przepłynięciu kilkunastu metrów, gdy zgruntowaliśmy wiosłem wodę, że była bardzo płytka.

Wybrzeże zarastały gęste krzaki, nie opodal rosły duże kępy drzew. Poza paroma ptakami, które przeleciały nisko nad nami, nic nie było słychać ani widać. Przedzieraliśmy się ostrożnie przez krzewy dłuższą chwilę, aż usłyszeliśmy głosy. Głosy były męskie, a język dziwny, chociaż coś przypominający... Kazałem swoim ludziom zaczekać w chaszczach, a sam zbliżyłem się wolno do ich skraju, aby wyrzeć.

Ściskając mocno swój pistolet maszynowy wysunąłem głowę. O kilkanaście metrów ode mnie stało paru mężczyzn w błyszczących hełmach, z tarczami w ręku i mieczami przy bokach. Rozejrzałem się wkoło pomyślawszy: „ki diabeł, komu tu chce się nakręcać film historyczny?”

Jednak nie dojrzałem nic, co by mogło potwierdzać moje przypuszczenie. Rycerze (było ich sześciu) ruszyli wolno przed siebie, rozglądając się bacznie. Musieli mieć widocznie dobry wzrok, bo nagle dostrzegli mnie. Ruszyli biegiem w moim kierunku. Stałem bez ruchu przyglądając się im, przypuszczając nadal, że są przebierańcami. Ale gdy byli już blisko, spostrzegłem, że wcale nie na żarty pragną uczynić użytek ze swych krótkich mieczy. Puściłem więc w górę krótką serię z pistoletu. Zatrzymali się. Byli przerażeni, przyglądali mi się teraz niby jakiemuś monstrum.

Obok mnie pojawili się trzej moi ludzie. Szeregowiec Smith zapytał:

– Wszystko w porządku, poruczniku?

– Tak.

Przemówiłem do obcych najpierw po niemiecku, później po francusku, ale nie wydawało się aby znali którykolwiek z tych języków. Jeden z przebierańców zareagował tylko na niektóre słowa niemieckie. Powiedział coś szybko do swoich towarzyszy, a następnie wysunął się przed nich i zagadał coś miękkim językiem zbliżonym do włoskiego, bo zrozumiałem coś niecoś.

– „...Demony lasów... stamtąd...” Jedno słowo zabrzmiało jak „Goci”.

– On mówi chyba starym narzeczem włoskim – zwróciłem się do swoich.

– Panie poruczniku – zakrzyknął naraz szeregowiec Laurent nad słuchający od dłuższej chwili słów jakimi zwracał się do swoich towarzyszy tajemniczy przebierańiec. – Ależ wydaje mi się... Tak! Oni rozmawiają po łacinie! Uczyłem się trochę łaciny w szkole średniej... Pan porucznik pozwoli, że ja...

Po czym zwrócił się do obcych.

– Salve te! Quis estis?

* * *

Po krótkiej przerwie, w czasie której Jean dokończył swego bourbona i popił szklaneczką toniku, mój gospodarz kontynuował opowiadanie.

– Udało nam się więc porozumieć, chociaż Laurent nie mógł się pochwalić zbyt gruntowną

znajomością łaciny. Wiesz, kim byli owi przebierańcy?... Żołnierzami naddunajskiej legii, strzegącymi granic imperium Rzymu, którego władcą był cesarz Teodozjusz... Tak! Znaleźliśmy się w czwartym wieku naszej ery... I do licha – łatwiej było owym rzymskim legionistom wytłumaczyć sobie nasze „cudowne” pojawienie się, wziąć nas za jakieś półbóstwa germańskich lasów, aniżeli nam zrozumieć co właściwie się stało.

...Oczywiście czytywaliśmy rozmaite fantastyczne komiksy mówiące o przenoszeniu się w przeszłość, lecz abyśmy sami mogli stać się bohaterami czegoś takiego...

Patrzyłem przez cały czas na opowiadającego Jeana i choć z początku podejrzewałem go o chęć zażartowania ze mnie, później uwierzyłem mu. Ostatecznie minęło trzydzieści lat, w czasie których zdarzyło się na Ziemi sporo niewytłumaczalnych rzeczy. A więc i takie przeniesienie w inny czas, choć nadal niewytłumaczalne, nie musiało być fantastyczną błagą...

Jean najwidoczniej odczuł, że poważnie odnoszę się do jego opowieści, bo mówił dalej w sposób spokojny i bardziej zwięzły.

– Nasze stosunki z Rzymianami ułożyły się przyjaźnie. Uznali oni za pomyłkę mniemanie, że otaczamy opieką i darzymy sympatią barbarzyńskich Gotów, którzy właśnie szykowali swój kolejny najazd, pod wodzą groźnego wodza, Thuna. Spodziewano ich się niebawem. A tymczasem nie nadchodziły obiecywane posiłki z głębi imperium. Widocznie inne granice państwa także były szarpane.

Nie zapraszaliśmy Rzymian na pokład naszego zakotwiczonego u brzegów jeziora samolotu. Właściwie to głównie tylko ja i szeregowiec Laurent spotykaliśmy się z nimi częściej...

Zwiedziłem z nim dwie obronne osady – forty. Nie było w nich wielu żołnierzy, a i zapasy broni wydawały się nader skromne. Perspektywy dłuższej obrony przed liczną armią Gotów nie były pomyślne. Zastanawiałem się wciąż, co właściwie my, przybysze z XX wieku mamy w tej sytuacji robić.

– A co w ogóle myśleli, jak przyjęli to wszystko inni spośród was? – zapytałem Jeana.

– Niektórzy przyjęli sytuację, o dziwo, z wisielczym humorem, jako przygodę jedyną w swoim rodzaju, coś przecież całkiem fantastycznego. Innym wydawała się ona trochę jak sen, który wyglądał wprawdzie całkiem realnie, lecz przecież nie może trwać nieskończenie. Kilku żołnierzy jednakże wpadło w szok, znalazło się na pograniczu utraty zmysłów, kiedy dowiedzieli się, że wylądowaliśmy... w czwartym wieku. I, że nie mamy żadnych możliwości powrotu w nasz wiek. No bo w jaki sposób?...

To gnębiło nas wszystkich, bez wątpienia. Ale cóż, trzeba było stawić czoła rzeczywistości, jakakolwiek by ona była.

Nadeszły wiadomości o zbliżaniu się wojsk gockich. Rzymianie przygotowywali się do obrony. Nie wiem czy mogli wiązać jakiegokolwiek nadzieje z naszą obecnością, ale chyba nie. Wystarczało im już to, że nie jesteśmy po stronie wrogów. A my, jakże byśmy mogli ingerować

w historię bądź co bądź... Choć zapewne niewielu z nich rozumiało naszą paradoksalną sytuację.

Goci przyszli. Obserwowaliśmy ich przez lunety. Naprzeciw nich wysunęły się uformowane w równe szeregi oddziały Rzymian. Dlaczegoż nie bronią się w swych otoczonych szańcami fortach? – pomyślałem. Lecz oni chcieli zetknąć się z wrogiem pierś w pierś, pozostawiając w fortach jedynie maleńkie załogi.

I oto zobaczyliśmy coś, czego nie spodziewaliśmy się. Ruszający do ataku Goci wysunęli przed siebie... jeńców ze związanymi rękami, a nawet kobiety i dzieci z zagarniętych po drodze małych osiedli. Gnali ich przed sobą, a gdy niektórzy próbowali zbiec na boki, przeszywały ich strzały łuczników.

Legioniści stali czekając bez ruchu. Gdy zostało już tylko niewiele metrów, zaczęli coś krzyczeć do ludzi stanowiących żywą osłonę dla Gotów. Jeńcy padali na ziemię przyjmując bezbronne ciosy barbarzyńców, zanim nie ruszyli Rzymianie. Bitwa była okrutna. Jej skutek nietrudny do przewidzenia. Tylko nielicznym Rzymianom udało się wycofać. Większość zasłała pole bitwy. Goci nie ścigali resztek oddziałów rzymskich, zadawałając się dobijaniem rannych nieprzyjaciół.

Patrzyliśmy na to pogrążeni w grozie. Wiedzieliśmy o tym, w jaki sposób walczyli żołnierze hitlerowscy, zwłaszcza z oddziałów SS... Ci, których widzieliśmy przed sobą, byli praprapradziadami tych, którzy narodzili się w kilkanaście stuleci po nich. Prawdopodobnie. Bo przecież znana nam historia mówiła, że byli tacy Goci, którzy przyjęli kulturę rzymską za swoją i odznaczali się tolerancją wobec podbitych...

Najwidoczniej jednak wojownicy wodza Thuna byli inni, byli prawdziwymi, żądnymi krwi barbarzyńcami. Nie, nie mogliśmy nadal patrzeć na to obojętnie. Wydałem odpowiednie rozkazy. W kwadrans później mój pluton zajął stanowiska ogniowe na skraju gęstwiny okalającej jezioro.

Ja – wraz z szeregowcem Laurentem i jeszcze dwoma żołnierzami, wyszedłem na otwarte pole, nad którym unosił się ciężki zapach krwi.

Laurent podniósł do ust polowy megafon i przemówił swoją ubogą, lecz zrozumiałą jednakże i dla ludzi IV wieku łaciną. W przekładzie brzmiało to tak:

– Przemawiamy do wodza Thuna. I do was, jego wojowników! Jesteśmy demonami, których rozgniewał wasz haniebnny czyn. Nie walczyliście jak prawdziwi rycerze, ale jak bestie, zasłaniając się bezbronnymi i zabijając ich. Macie powrócić do siebie, taki jest nasz rozkaz!

Po momencie osłupienia, który trwał ze dwie minuty, barbarzyńcy ochłonęli. Niektórzy z nich pobiegli w stronę skórzanego namiotu swego wodza. Inni zwrócili się ku nam z nadstawioną bronią.

Czekaliśmy na odpowiedź, która niebawem nadeszła i była taka, jakiej właściwie spodziewaliśmy się. Gotom niestraszne wydawały się nawet demony, zresztą, wyjąwszy

egzotyczny dla nich ubiór, nie różniliśmy się od innych ludzi. Na trzymane przez nas pistolety maszynowe nie zwrócili większej uwagi.

Powietrze przeszły strzały wystrzelone z łuków. Dwie z nich dosięgły szeregowca Laurenta i jeszcze jednego z pozostałych moich ludzi. W tej chwili żołnierze ukryci w krzakach otworzyli ogień. Oprócz peemów zagrzechotały dwa cekaemy. Wycofałem się, unosząc ze swym towarzyszem rannego Laurenta. Czwarty z nas był, niestety, martwy.

Zginęło wielu Gotów, ale inni z szaleństwem w oczach pędzili na ścianę ognia. Prawdopodobnie byłoby pośród nas więcej poległych, gdyby nie czołgi, które wyłoniły się z zarośli i z miejsca rozpoczęły ogień ze swych dział. Wtedy dopiero wojownicy wodza Thuna rzucili się do panicznej ucieczki.

Kazałem przerwać ogień. I czekaliśmy w czerwonym blasku zachodzącego słońca, patrząc jak reszta armii Gotów niknie w cieniu Czarnego Lasu, z którego wychynęła o świcie aby nieść śmierć i pożogę.

Długo grzebaliśmy, wraz z żołnierzami rzymskimi, ciała zalegające pole bitwy. Szeregowca Renę Sautela pogrzebaliśmy w osobnym grobie.

Czuliśmy się po tym wszystkim, prawdę mówiąc, nieszczególnie. Przecież zabijaliśmy ludzi uzbrojonych tylko w miecze, włócznie i łuki... Lecz po tym, co widzieliśmy, wydawali nam się oni godni bezwzględnego potraktowania.

Jean zamilkł, sięgając po fajkę. Nabiwszy ją, siedział bez ruchu w swoim fotelu wypuszczając kłęby pachnącego dymu. Milczeliśmy obaj dosyć długo. Wreszcie zapytałem Jeana.

– Jak wam się udało powrócić? Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– A jak ci się wydaje?

– Że udało wam się chyba wystartować z jeziora i...

– Nie. To było nie całkiem tak. Po prostu przybyli oni. Z przyszłości. Zaniepokoiłi się naszą działalnością. Że będąc tak nieopanowani, możemy nazbyt zmienić tok dziejów... Uznali, że powinniśmy jednak wrócić do swego czasu. Kazali nam wsiadać do samolotu zabierając absolutnie wszystko, co mieliśmy ze sobą.

I rzeczywiście wystartowaliśmy, ale tylko dzięki nim...

Przedtem musieliśmy wszyscy obiecać, że nie powiemy nikomu nic co się nam przydarzyło. Od początku do końca ca... Wylądowaliśmy na lotnisku w północnej Irlandii w tym czasie, jaki był zaprogramowany gdy wyruszyliśmy z Kanady.

– I co dalej?

Jean roześmiał się.

– Niektórym z nas wszystko wydało się tylko snem, halucynacją. Większość z nas zginęła zresztą wkrótce w czasie wyzwolenia Francji. Myślę, że jestem jednym z nielicznych którzy żyją

do dziś dnia.

Zastanowiłem się i powiedziałem.

– A nie boisz się, Jean...

– Że jestem może na ich „podśluchu”? Niewykluczone. Ale któżby uwierzył nawet i teraz, choć od tamtego czasu minęło tyle lat.

– Ja ci uwierzyłem.

– Ty. I cóż z tego. Gdybyś nawet podał tę historię do publicznej wiadomości, uznano by to za jeszcze jedną z opowieści typu science-fiction.

Jednak Jean nie miał chyba racji. Potwierdzeniem tego wydaje się fakt, że gdy zadzwoniłem do niego w dwa miesiące później, nie odebrał telefonu, a gdy dowiadywałem się o niego w miejscu jego pracy, powiedziano mi, że Jean po prostu zniknął. Chociaż ostatecznie ludzie znikają w rozmaity sposób. Może więc jeszcze go zobaczę?

KOMETA

Byłem sam pośrodku wszechświata. Tak mi się w każdym razie wydawało. Bo któż wie, gdzie jest ten środek. Może być w każdym miejscu międzygwiazdnej przestrzeni. To, że byłem sam, to był skutek mego własnego wyboru. Zdecydowałem się na to cztery lata temu, kiedy przeżyłem tam, na Ziemi, coś, co niemal odebrało mi ochotę do życia. Straciłem kogoś, kto był dla mnie tak bliski, że wydawało mi się, iż bez niego (w tym wypadku: bez niej) świat byłby chłodny i nieludzki, pozbawiony sensu. A jednak Sonia umarła mając zaledwie dwadzieścia siedem lat i nikt ani nic nie mogło jej uratować.

Przez dłuższy czas egzystowałem na pograniczu obłądu. Później zwyciężyła jednak we mnie tak zwana wola życia i stałem się znowu zdolny do myślenia o przyszłości, którą miałem jeszcze przed sobą. Gdybym żył w pradawnych czasach, o których zachowała się pamięć, wstąpiłbym zapewne do klasztoru, albo coś w tym rodzaju. Dziś, gdy całkiem zapomniano o dawnych religiach, mogłem poświęcić swe życie po prostu ludziom zamieszkującym tę samą planetę, na której przebywałem ja i Sonia, zanim nie odeszła.

Przeszedłszy odpowiednie badania, podpisałem kontrakt na pięcioletni pobyt na stacji G39, jednej z wielu wysłanych w kosmos, aby służyła statkom mknącym przez przestrzeń ku coraz dalszym globom, aby zadośćuczynić odwiecznej potrzebie naszego gatunku, potrzebie poznawania wszechświata, którego częścią była Ziemia.

Stacja podobna była do koła z ośmioma „szprychami”. W jego okręgu mieścił się ogród, a więc tereny wypełnione ziemskim gruntem, na którym rosły rozmaite rośliny, warzywa i drzewa owocowe, które pod wpływem czterech zainstalowanych w równych odstępach sztucznych słońc, wydawały obfity plon. Plon ten zbierały specjalne automaty. Kiedy więc do bazy przycumował kolejny statek kosmiczny, mógł być zaopatrywany w produkty nie gorsze od tych, jakie były na Ziemi. Jedna czwarta okręgu, to był ogród rekreacyjny. Mogły tu, pośród drzew i kwiatów przypominających im daleką ojczyznę, wypoczywać załogi statków w przerwie swoich rejsów.

W „szprychach” wielkiego koła znajdowały się wszelkiego rodzaju magazyny oraz pokoje gościnne. Sercem bazy była oczywiście jego oś. Tu znajdowało się centrum kierowane przez Nadkomputer kontrolujący działanie całej stacji, zakotwiczonej zawsze w określonym miejscu przestrzeni, bez prawa zboczenia z punktu oznaczonego ściśle na mapach wszystkich astronautów.

Zjawiali się oni mniej więcej raz na trzy miesiące i przebywali w bazie od kilku do kilkunastu dni. W pozostałym czasie byłem jedynym mieszkańcem G39.

Czy czułem się wtedy samotny? Gdybym powiedział: tak, przyznałbym się do normalnej ludzkiej słabości, która była niewątpliwie udziałem niektórych przynajmniej innych

zawiadowców baz, którzy podpisali kontrakt kierując się odmiennymi pobudkami niż ja. Czuję się względnie dobrze. Miałem do dyspozycji liczne taśmy dźwiękowe i obrazowe. Mogłem obcować ze sztuką tworzoną na Ziemi we wszystkich jej historycznych epokach. Czując się zmęczony, mogłem zapaść w długi sen, w razie potrzeby byłem budzony, abym mógł spełniać swoje obowiązki.

Do obowiązków tych należało między innymi i wypróbowywanie raz na jakiś czas aparatu nazwanego intuitem. Przyznam się, że czyniłem to zawsze niechętnie, bowiem sceptycznie odnosiłem się nie tyle do samego aparatu, co do celu któremu miał służyć. Intuit wynalazł przed kilkunastu laty uczoney, który miał na swym koncie kilka innych zadziwiających wynalazków. Dotyczyły one głównie wyposażenia dalekodystansowych statków kosmicznych. Intuit był jednakże odmienny od nich. Jego działanie miało polegać na uzyskiwaniu kontaktu z istotami posiadającymi inteligencję, kimkolwiek i jakiegokolwiek by one były.

Na Ziemi aparat działał bezbłędnie. Na dowolną odległość mogli się ze sobą kontaktować za jego pomocą ludzie. Ale oni przecież mieli wiele innych sposobów komunikacji. Dlatego inni poważni uczeni śmieli się wręcz z wynalazku profesora Glauta. Przyznawali mu – i to niechętnie – tylko jedyną zasługę. Że jego aparat wykazał ostatecznie, iż na Ziemi jedynie ludzie są istotami inteligentnymi.

Ale żeby można było za jego pomocą uzyskać kiedykolwiek kontakt z jakimiś hipotetycznymi istotami inteligentnymi w kosmosie? Ja również w to nie wierzyłem. Jednak Rada Świata zdecydowała, aby wszystkie stacje posiadały to urządzenie. Także i wyruszające w bardziej odległe rejony kosmosu statki. Do tej pory jednakże, a minęło, jak powiedziałem, kilkanaście lat od chwili wynalezienia i skonstruowania intuitu, żaden kontakt nie został nawiązany.

Dzieliłem przekonanie większości obywateli naszego globu, że jesteśmy samotni jeśli chodzi o tę specyficzną właściwość naszego gatunku, zwaną inteligencją. Czy należało się z tego powodu cieszyć, a tym bardziej unosić pychę, to całkiem inna sprawa.

Byłem zdecydowany spełniać swoje obowiązki (wszystkie) niezależnie od tego, czy mi się to podobało czy nie. Tak więc pewnego dnia, któryś raz już z rzędu podczas mego pobytu na G39, sięgnąłem po aparat.

Tkwiałem przy nim znudzony około godziny. Postanowiłem jednak wypełnić mój obowiązek, skoro wymagano tego ode mnie.

I usłyszałem, a raczej odebrałem, bo przecież nie chodziło tu o mój słuch, ale mózg.

– Kim... Kim... Kim jesteś, powiedz...

– Dlaczego nie meldujesz, kim ty jesteś? Z jakiego statku – pomyślałem, sądząc, że uchwyciłem kontakt z którąś z rakiet ziemskich badających kosmos.

– Sta... statku? – odebrałem. – Co to znaczy: sta... statek?

Wtedy zaszło we mnie, w moim mózgu coś, co można by określić jako nagłe przeobrażenie czy też przeorientowanie na całkiem inny program. Jakby coś, istniejącego tylko w mej podświadomości, zrozumiało, że tym razem nie chodzi o normalny kontakt. Kontakt z ludźmi.

– Kim ty jesteś?

Teraz ów przekaz jaki uzyskałem za pomocą intuitu stał się całkiem wyraźny, wydało mi się, że znany mi jest od zawsze, odkąd istnieję, tak bliski jak nie była żadna rozmowa prowadzona za pomocą głosu czy też telepatii.

– Nie mogę ci wyjaśnić kim jestem, zanim nie będę wiedziała, czy mnie zrozumiesz. Wiem w tej chwili tylko jedno, że nie jesteś istotą mi podobną. Bo z nimi spotykam się wprawdzie rzadko, ale czasem mijamy się w przestrzeni i rozmawiamy ze sobą. Ciebie spotkałam przypadkiem, zastanawiałam się nawet, czy się do ciebie odezwać. Chociaż byłaś otwarta.

– Otwarta? – nie rozumiałem. – Choć nie wiem kim ty jesteś, odpowiadam. Ja jestem człowiekiem, istotą żyjącą na jednej z planet Galaktyki...

– Wiem, że takie istoty żyją na planetach. Uzyskiwałam z nimi kontakt... Lecz... boję się ich.

– Dlaczego?

– Bo często starały się wykorzystać mnie do swoich celów.

– Jakich?

– Różnych, ale przeważnie godzących w porządek kosmosu. Dlatego bardzo rzadko, nawiązując kontakt, decyduję się na rozmowę. Ale niekiedy odczuwam potrzebę, mimo wszystko... Z ciekawości chociażby. Przemierzam nieskończone przestrzenie i powracam znów w okolice, w których niegdyś byłam. I widzę, że zaszły zmiany. To jest... to jest trudne do zrozumienia nawet dla mnie, chociaż będę istnieć dopóki będzie istnieć...

– Dopóki będzie istnieć co? – zapytałem.

– ...Ko... Nie mogę tego nazwać. Widocznie źle odbierasz, albo ja...

– Postaraj się jeszcze. Istotnie mój aparat jest niedoskonały.

– ...Dopóki istnieć będzie ko-me-ta... Kometa, na której żyję, lecz która nie jest mną. Ja jestem bardziej niż ona nie-ma-te-rial-na... Nawet nie ga-zo-wa... Jeszcze mniej... Ale na niej właśnie istnieję. Tak zadecydowała Natura...

– Rozumiem. Chciałbym – tu zastanowiłem się w jaki sposób mógłbym przekonać...

– Odbieram cię... Bardziej, niż jesteś tego świadoma. Jesteś inna, niż tamte istoty z różnych planet. Tak mi się wydaje. Nie masz złych zamiarów. Choć nie jestem jeszcze pewna tego całkiem...

Na moment zaabsorbowało mnie jedno.

– Dlaczego odzywasz się do mnie tak, jakbym był kobietą?

– Ko...bie...?

– Tak. Na mojej planecie istnieją dwie płci. Kobiety i mężczyźni. Ja jestem mężczyzną.

– Chyba rozumiem... Już z czymś takim spotkałam się kiedyś, dawno temu. Chociaż to jest rzadkie.

– A ty – powiedziałem z pewnym wahaniem – mówisz o sobie tak, jakbyś była kobietą. Teraz dłuższą chwilę nie było odpowiedzi.

– Nie wiem, nie wiem kim jestem w tym sensie. To nie ma dla mnie żadnego znaczenia, rozumiesz?

– Tak Po prostu tak się określam, jak się czuję. Jaka się sobie wydaję. A ty... odbierasz mnie, to co ci przekazuję, właśnie w taki sposób.

– Tak.

– Śledząc twoje myśli wiem, że u was to jest w dużym stopniu sprawa rozmnażania. Dla mnie i podobnych mi ten problem całkiem nie istnieje. Kiedy powstaje nowa kometa, wtedy, chociaż nie zawsze, nie koniecznie, powstaje związana z nią aż do końca jej istnienia istota podobna do mnie.

– Rozumiem.

– Wiesz? Rozmawiasz ze mną całkiem, ale to całkiem inaczej, niż te wszystkie inteligentne twory żyjące na planetach, z którymi kiedykolwiek uzyskałam kontakt. Wprawdzie nigdy nie mogły mi w gruncie rzeczy zagrozić, wykorzystać do swoich celów, to jednak kontakt z nimi pozostawiał mi przykre wrażenie. A z tobą... jest inaczej. Chciałabym cię jednak prosić, abyś nie powiadamiał nikogo, że nawiązałeś ze mną rozmowę... Niech to pozostanie tajemnicą między nami. Tak będzie lepiej.

– Dlaczego? – zapytałem, chociaż ja również pomyślałem o tym, aby zachować tajemnicę.

– Bo mam wrażenie, że będzie lepiej dla was, Ziemiaków, jeśli jeszcze przez jakiś czas nie będziecie wiedzieć o istnieniu w kosmosie innych inteligencji, a w każdym razie porozumiewać się z nimi. Nawet bardziej podobnymi do was w sensie fizycznym.

– Myślę, że masz rację – powiedziałem.

– Powiedz mi bliżej o sobie – poprosiła. – Chciałabym coś więcej dowiedzieć się o tobie, zanim kontakt między nami przerwie się ze względu na zbyt dużą odległość. Nie wiem dokładnie, kiedy znów powrócę w te okolice i czy mamy jakąkolwiek szansę skontaktowania się jeszcze. I zobaczenia, choćby z daleka. Teraz, za kilka dni będziesz mógł zobaczyć moją kometa, kiedy zbliży się. Obserwuj niebo, a ujrzysz prawdopodobnie nawet gołym okiem... Chciałabym wiedzieć jak żyłeś w przeszłości i jak żyjesz obecnie? Domyślam się, że wiek jaki możesz osiągnąć jest krótki w porównaniu z moim?

– Tak. Zaledwie sto kilkadziesiąt okrążeń planety wokół macierzystego Słońca. A dawniej żyliśmy jeszcze krócej.

Milczała, jak gdyby wstrząśnięta tym faktem. Wreszcie powiedziała:

– Może jednak jeszcze się spotkamy. Powrócę tu pewnie po okresie czasu, który dla ciebie

oznacza trzydzieści kilka lat... Przypuszczam, że musisz teraz wrócić do swych zajęć. Opowiesz mi więc bliżej o sobie jutro albo pojutrze, dobrze? A więc...

– Jeszcze jedno – powiedziałem szybko. – Co kilka miesięcy zatrzymuje się na stacji jakiś statek. Boję się, czy któryś z nich nie pochwyci sygnału. Bo wprawdzie wiem, że rzadko zdarza się aby ktoś sięgnął po intuicję, ale może to się zdarzyć.

Zastanowiła się.

– Tak. Musisz być więc ostrożny. Choć przecież statki komunikują ci swoje zbliżanie się?

– Tak.

* * *

Opowiedziałem jej prawie wszystko, jak jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się zwierzyć przed człowiekiem. Poza Sonią, oczywiście. Czułem niewytłumaczone zaufanie do tej kosmicznej istoty mknącej szybko przez niebo, związanej w niezrozumiały dla mnie sposób z egzystencją gazowej pochodni przemierzającej przestrzeń po wyznaczonych przez Naturę torach.

Mówiłem o swoim dzieciństwie, o latach kiedy pojawiła się w moim życiu Sonia. O jej odejściu.

– Rozumiem, czym to było dla ciebie – powiedziała – chociaż jestem tak bardzo inna. Rozumiem czym może być dla ciebie – i dla wielu z was – samotność. Choć my jesteśmy zawsze samotne, takie jest nasze przeznaczenie. Lecz, wiesz, nieraz już budziło się i we mnie coś takiego, co wydawało mi się nieracjonalne. Coś, co nie było już tylko ciekawością poznania odmiennych inteligencji. Lecz to były przeważnie tylko inteligencje i nic poza tym. Dlatego odczuwałam wówczas – niezrozumiały dla mnie – zawód.

– Odczuwałaś – powtórzyłem. – A więc nie jesteś tylko mózgiem, tylko inteligencją...

– Chyba nie. Chociaż odkrywałam to powoli, przez bardzo długi czas. Miałam czas myśleć, zastanawiać się nad tym. Częściej może, niż nad innymi sprawami. Choćby nad tym, po co właściwie istnieję taka, jaka jestem, przywiązana do tego obłoku rozrzedzonej materii, który unosi mnie w mroku wszechświata. Gdyby chociaż czekała mnie długa droga gdzieś ku krańcom kosmosu, to by było straszne zarazem, ale i wspaniałe. Lecz przemierzać w przestrzeni określoną trajektorię i krążyć tak wciąż, dopóki nie zdarzy się katastrofa... Ta myśl jest często nie do zniesienia dla mnie.

...Wam chyba pomaga znieść los wyznaczony przez Naturę – podjęła po chwili – to, że jest was tak dużo, że choćby w sensie fizycznym nie jesteście osamotnieni. Nawet i ty, jeśli tylko będziesz tego pragnął, możesz powrócić na Ziemię.

– Tak, mogę – powiedziałem, – Lecz przedtem czas musi coś zatrzeć we mnie jeszcze. Aby był zdolny spojrzeć znów w błękitne, a nie czarne niebo. I poczuć na twarzy promienie

słońca.

Kometa przesuwiała się majestatycznie, pozostawiając za sobą długi warkocz. Zaliczała się do największych, jakie można było spotkać w kosmosie. Patrzyłem na ekran w kabinie obserwacyjnej i zastanawiałem się, w którym miejscu znajduje się Ona, jak jest wielka, choć to przecież skądinąd nie ma żadnego znaczenia. Po prostu jest, i to powinno mi całkowicie wystarczyć.

Rozmawialiśmy codziennie. Pragnęliśmy wykorzystać ten niezbyt długi czas jaki nam jeszcze pozostał, zanim nie urwie się kontakt. Staliśmy się przyjaciółmi. To słowo zdające się brzmieć absurdalnie w tym wypadku, było zarazem jak najbardziej prawdziwe. Po którejś z kolejnych rozmów nasza mnie nawet myśl, że chętnie bym wyruszył w ślad za nią statkiem, aby towarzyszyć jej w podróży i móc rozmawiać tak, jak nie rozmawiałem dotąd z nikim, poza Sonią.

Lecz oto stało się to, czego podświadomie lękałem się. Podchwycono nasz kontakt na niewiele dni przed jego ustaniem, przed pożegnaniem. To był statek nie zapowiedziany. Wracał z dalekiej wyprawy do galaktyki Kolibra. Mógł powracać równie dobrze o kilka lat później... Nie dawał żadnych sygnałów, ponieważ nie orientował się, że na jego drodze znajduje się G39. Lecz wychwytywał z przestrzeni wszelkie sygnały, także i przy pomocy intuitu.

Posłyszano moją rozmowę z Nią. Wprawdzie tylko fragment, bo Ona szybko zorientowała się, że ktoś jeszcze podłączył się, lecz to wystarczyło aby domyślić się, że był to kontakt pomiędzy człowiekiem a obcą istotą inteligentną.

Nie dowiedziano się ode mnie nic, choć grożono mi, że dopuszczam się zdrady ludzkości. Nie przyszło jednak nikomu do głowy, spośród tych, którzy mnie przesłuchiwali, że Ona znajdowała się na komecie oddalającej się w stronę odległych gwiazdozbiorów. (Zanim przerwała ostatnią naszą rozmowę, zdążyła mi jeszcze przekazać: – nie zapominaj! Żegnaj!...).

Postąpiono ze mną surowo, a na początku grożono mi nawet karą śmierci. Ostatecznie izolowano mnie na małej wysepce na Atlantyku, gdzie mieścił się zakład będący czymś pośrednim między więzieniem a sanatorium psychiatrycznym. Spędziłem tu, na tej małej przestrzeni otoczonej murem, tak, że nie mogłem nawet oglądać pobliskiego morza, ponad trzydzieści lat. Miałem niejednokrotnie ochotę popełnić samobójstwo, lecz pomijając fakt, że było to utrudnione, powstrzymywała mnie myśl, że może jednak zajdą na Ziemi jakieś zmiany, które usprawiedliwią moje dalsze istnienie. Że ludzie staną się zdolni do bezinteresownych, przyjacielskich stosunków z istotami podobnymi do Niej. Bo jeśli chodzi o ewentualne spotkanie z kosmicznymi wrogami, to są na to i tak dostatecznie przygotowani.

Odwiedzali mnie co jakiś czas różni naukowcy, względnie przedstawiciele sił zbrojnych, starając się natrafić na moment słabości. Liczyli, że czegoś się dowiedzą. Bo mimo szerokiego stosowania inuitów (o czym wiedziałem, gdyż nie odcięto mnie mimo wszystko od środków

masowej informacji) nie udało się nawiązać żadnego kontaktu.

Prawdopodobnie z czasem zaczęto by nawet sprawę traktować jako omyłkę, gdyby nie istniejący zapis mojej rozmowy z Nią, który nieraz mi odtwarzano aby skłonić mnie do zeznań.

Wreszcie któregoś roku podano do powszechnej wiadomości, że współmieszkańcy mej planety zetknęli się z obcą świadomością, jedna z wypraw galaktycznych natrafiła na glob zamieszkały, a raczej zarosnięty przez inteligentne rośliny. Ponieważ cztery statki kosmiczne składające się na eskadrę, która dotarła na ów glob, podczas lądowania napromieniowały sporą część planety, rośliny wszczęły obronną walkę. Lecz ich możliwości były mizerne, toteż w krótkim czasie glob zamienił się w pustynię. Dokonały tego dzieła zniszczenia istoty, do których i ja się zaliczałem.

Odczułem wtedy rozpacz, gdy się o tym dowiedziałem. Pomyślałem nawet, że może postąpiłem niesłusznie ukrywając swój kontakt z Nią. Może Ona wytłumaczyłaby mieszkańcom Ziemi, że nie mogą wszystkiego oceniać jedynie z własnego punktu widzenia. Reagować w ten sposób, w jaki zareagowały załogi owej zwiadowczej eskadry.

Poczułem się winny, po raz pierwszy od chwili wielu letniej izolacji na wysepce. Nie wolno mi było być może ukrywać mojej tajemnicy, chociaż przecież obiecałem jej dochować.

Moje wątpliwości wzmocniły się, gdy zaczęły odzywać się głosy potępiające tamtą tragedię, mówiące, że był to błąd ze strony Ziemian. Lecz czy można go było uniknąć? Jednego byłem pewny, że życie zasiane w kosmosie przez Naturę jest wielorakie w swych formach i że trzeba osiągnąć nie tylko inteligencję, lecz i mądrość, aby potrafić znajdować właściwe rozwiązania. Jak na razie gatunek ludzki zdobył się na to, aby nie niszczyć samego siebie, jak bywało przed wiekami. Rozumiałem, że już to stanowiło wiele. Choć jeszcze zbyt mało.

* * *

A więc jeszcze usłyszałem Ją. Zanim... Stało się to późno, lecz jeszcze dość wcześnie na to, aby Ziemia została uratowana.

Z początku pojawienie się komety nie budziło większego niepokoju, mimo że zbliżyła się do Ziemi na taką odległość, na jaką dawniej nie zbliżała się nigdy żadna inna. Panika rozpoczęła się dopiero wtedy, gdy obliczenia wykazały, iż zderzenie z jej jądrem jest nieuniknione.

Mimo posiadania różnych rodzajów broni o silnym działaniu, ludzie nie rozporządzali jednakże jeszcze takimi środkami, które by umożliwiły zniszczenie komety, zanim ta zbliży się do planety. Ziemię czekała więc zagłada.

Zwróciłem się z prośbą o intuicję już wtedy, gdy powstały pierwsze podejrzenia, że tor komety przeciąć się może z torem planety. Odmówiono mi, wzięto natomiast na przesłuchania. Wtedy powiedziałem wreszcie o Niej i wyraziłem przypuszczenia, iż także na komecie zmierzającej

w stronę Ziemi znajduje się podobna istota...

– Oczywiście, jeśli nawet istnieje i jeśli uda mi się nawiązać z nią kontakt, to jeszcze nie daje żadnej nadziei ratunku. Bo drogami komet kieruje Natura. Więc nawet i w tym wypadku...

– A dlaczegoż to miałbyś spróbować kontaktu akurat ty, a nie ktokolwiek inny?– zapytano mnie.

– Rzeczywiście: dlaczego... – powtórzyłem. – Może po prostu z tej tylko przyczyny, że mnie się to już raz kiedyś zdarzyło...

Tak więc dano mi wreszcie udoskonalony model intuitu. I po kilkogodzinnych zaledwie próbach (jednak wtedy liczyła się już nawet każda godzina) uzyskałem kontakt. I stwierdziłem prawie natychmiast, że na komecie mającej za cztery doby zderzyć się z Ziemią znajduje się Ona, ta sama, która przed trzydziestu kilku laty powiedziała mi na pożegnanie: nie zapominaj...

Ona też mnie rozpoznała. I gdy to się stało, milczała przez długą chwilę, a ja myślałem już, że kontakt się przerwał, że to może Ona sama go przerwała. Lecz nie.

– Czy... domyśliłeś się, że to właśnie ja... zbliżam się do Ziemi?

– Pomyślałem, że jest to prawdopodobne. Choć mogłaby to być też inna kometa.

– I co wtedy? Cóż mógłbyś uzyskać wówczas? Prawa Natury są nieubłagane. A jeszcze bardziej wtedy, gdy się próbuje zakłócić je. To, że tor mego lotu w przestrzeni uległ zmianie, jest wynikiem ataku ze strony mieszkańców pewnej planety wiedzących o mnie. I za to macie teraz odpokutować wy...

– Tak – powiedziałem cicho i zamilkłem.

– Lecz to się nie stanie – rzekła równie cicho jak ja przed chwilą. – Ponieważ ja mogę do tego nie dopuścić. Nie mówiłam ci wtedy, przed laty o tej możliwości. Posiadają ją – na swoje szczęście czy nieszczęście – wszystkie istoty inteligentne...

– Czy Ty... – przerwałem.

– Tak. A więc: żegnaj. I nie zapominaj...

Patrzyłem na niebo, po którym przesuwała się szybko, ciągnąc za sobą wielki welon kometa. Minęła niedługa chwila i niebo rozbłysło feerią ognia, który niemal oślepił oczy. Później ogień ten zaczął stopniowo przygasać. Ziemia była uratowana.

GHORRY

Tego dnia Mary upiekła placek ze śliwkami, świetny jak zwykle. Toteż Jack rozsiadając się w swym fotelu przed telewizorem, aby obejrzeć wieczorny program rozrywkowy, ustawił obok siebie na stoliku talerz z kilkoma dużymi kawałkami placka. Mary krzątała się jeszcze w kuchni, pobrzękując naczyniami. Kiedy na ekranie speaker lokalnej stacji zapowiedział wyświetlenie kolejnego odcinka przygód porucznika Starka, Jack krzyknął wzywając żonę, która równie jak i on uwielbiała sensacyjne perypetie jasnowłosego oficera stanowej policji.

Do living-roomu wsunął się kot Blackie, ulubieniec zarówno Mary jak i Jacka. Był taki dyskretny, nigdy nie narzucał swego towarzystwa jak to robią hałaśliwe i wierzące się wciąż psy. Tylko od czasu do czasu wskakiwał na kolana i łaszcząc się prosił, aby pogłaskać jego puszystą sierść. Mruczał wtedy cicho, wpatrując się razem ze swymi opiekunami w ekran, jakby rozumiał, co się na nim działo.

Tym razem usadowił się na swej poduszeczce w rogu wersalki. Gdy dzielny porucznik Stark wsiadał w swój szybki sportowy wóz, aby podjąć pogoń za zwyrodniałym mordercą młodej dziewczyny, w pokoju pojawiła się wreszcie i Mary, siadając obok męża na drugim fotelu.

Akcja na ekranie rozwijała się coraz ciekawiej. Właśnie porucznik toczył efektowną walkę na pięści ze swym demonicznym przeciwnikiem, gdy Blackie, spoczywający dotąd spokojnie na swej poduszce, podniósł się, najeżył grzbiet i zaczął parskać.

– Co mu się stało? – Jack spojrzał na żonę, zdziwiony zachowaniem kota.

Mary była nie mniej zdziwiona zachowaniem Blackiego.

Zwierzę odwróciło się tyłem do telewizora i patrzyło błyszczącymi oczami w stronę tej części obszernego pokoju, która pozostawała w półmroku, bowiem stojący w rogu, nie opodal telewizora kolorowy lampion oświetlał jedynie jego poblizę, tak jak to było zalecane dla higieny wzroku.

– Może Blackie spał i przyśniło mu się coś denerwującego – wyraziła przypuszczenie Mary.

– Tak, to jest prawdopodobne – odrzekł Jack i zaczął śledzić dalej przygody ulubionego bohatera na ekranie.

Kot wrzasnął przeraźliwie i zeskoczywszy z wersalki pobiegł w kąt pokoju, gdzie stała szafka barowa i schronił się pod nią.

Mary spojrzała najpierw w ślad za nim, a następnie, jakby pod wpływem jakiejś myśli wstała z fotela i odwróciła się w stronę drzwi wiodących do hallu.

– Jack – powiedziała niepewnie. – Spójrz, co to może być...

– Gdzie? – Jej mąż niechętnie oderwał wzrok od telewizora.

– Tam, przy tamtej ścianie... o, wstańże i zobacz. Jack wstał posłusznie i obejrzał się.

– Czy nie widzisz, Jack... Takie jakieś światełka!

– Jakie światełka? Nic nie widzę.

– Ależ przecież ja je widzę...

– E, tam. Wydaje ci się. To może jakiś odblask z zewnątrz. Story okienne nie są całkowicie zasłonięte.

– Nie. To wygląda jakoś inaczej.

– Daj spokój, Mary. Przywiduje ci się. Siadajmy, bo chcę obejrzeć spokojnie program.

Mary zajęła swoje miejsce. Ale w przeciwieństwie do męża nie mogła skupić uwagi na wydarzeniach rozgrywających się na ekranie, chociaż te były bardzo emocjonujące. Film wkrótce zakończył się. Porucznik Stark odniósł jeszcze jedno ze swych zwycięstw. Gdy Jack zmienił kanał, aby obejrzeć z kolei popularny quiz, Mary wstała, zbliżyła się do barku i zaczęła wabić Blackiego, który wciąż tkwił pod szafką. Kot wysunął się wreszcie i znalazłszy się po chwili na kolanach Mary uspokoił się.

– Wiesz, Jack – powiedziała cicho Mary – wydaje mi się, że on coś widział. I ja widziałam to również, choć z pewnością nie tak dobrze jak on...

Jack rzadko zwracał się gniewnie do żony. Tym razem jednak nie wytrzymał i ofuknął ją.

– Histeryzujesz, kochanie!

Mary wołała nie wdawać się w dyskusję. Wiedziała przecież, jak bardzo jej mąż nie lubi, gdy przeszkadza mu się przy oglądaniu ulubionych programów. Ostatecznie rozumie go, należy mu się przecież relaks po wyczerpującej pracy.

* * *

Minął tydzień, a może dziesięć dni. Mary i Jack znów siedzieli przed ekranem, oglądając tym razem serial historyczny. Blackie pozostał gdzieś w głębi mieszkania, widocznie wolał tym razem jakieś spokojne miejsce do snu, z którego nie budziłyby go dźwięki dochodzące z telewizora.

Właśnie rycerz Bertuzar uwalniał z rąk północnoafrykańskich barbarzyńców swą ukochaną Leirę, gdy Mary przypominając sobie, iż pozostawiła w piekarniku makaronową zapiekankę wstała z fotela i ruszyła do drzwi. Ruszyła – i zachwiała się, nie mogąc przez moment wydobyć głosu z gardła.

Wreszcie udało jej się wykrztusić: O, mój Boże – i osunęła się na dywan. Jack poderwał się i ruszył ku niej, lecz zamarł, wpatrując się szeroko otwartymi oczami przed siebie. W pokoju jaśniały zielonkawym światłem trzy kształty, nieokreślone, to jakby romboidalne, to wydłużające się, nie przypominające jednakże niczego znanego ludzkim oczom. Gdyby to były jedynie plamy na obrazie jakiegoś nowomodnego malarza, można by je uznać za przejaw jego nieposkromionej wyobraźni. Nie były to jednakże plamy” lecz świetliste kształty kołyszące się nad powierzchnią

podłogi, zmieniające położenie, to kurczące się, to rozrastające w zielonkawym pulsowaniu. Biła od nich jakaś nieokreślona groza.

Jack stał i patrzył, nie mogąc poruszyć się z miejsca. Usłyszał cichy jęk Mary. Sam nie wiedział jak to się stało, ale krzycząc głośno podbiegł do kontaktu zapalając górne światła, automatycznie wyłączył się wtedy telewizor. Świetliste kształty znikły. Jack opadł na chwilę na fotel dysząc ciężko, czuł się tak jak przed zawałem, który przeżył dwa lata temu. Gdy wreszcie zebrał siły, zrobił kilka kroków i pochylił się nad żoną, która ocknęła się już z omdlenia, lecz leżała wciąż na dywanie patrząc nieruchomym wzrokiem w stronę ściany, przy której jeszcze przed chwilą tańczyły w powietrzu niesamowite kształty.

Mary odwróciła głowę w jego stronę, gdy zbliżał się do niej ze szklanką wody sodowej, do której domieszał nieco whisky.

– Czy teraz... ty również widziałeś?

Jack wzdrygnął się, a parę kropel wylało się z podawanej żonie szklanki.

– Tak.

– I co sądzisz? – wyrzekła z trudem Mary, pijąc wolno podany jej płyn.

– Nie wiem. Doprawdy nie wiem. Tylko jedno, żęto było... to było... – trudno mu było znaleźć odpowiednie słowo.

– ...Straszne – dokończyła za niego żona.

– Tak. Ale... Przecież musi być jakieś wytłumaczenie tego...

– Powinno być – rzekła Mary, siedząc już na fotelu. – Podaj mi, proszę, odrobinę whisky.

Jack zawahał się. Przecież Mary tylko podczas świąt pozwalała sobie na dwa, trzy kieliszki alkoholu. Ale w tym wypadku nie mógł jej odmówić. Nalał mniej więcej jedną czwartą szklanki i podał małżonce.

– Przecież to nie mogły być duchy – powiedziała Mary, łykając whisky. – Przecież wiemy, że nic takiego nie istnieje, prawda? – spojrzała z nadzieją na męża.

– Duchy? Mary!...

– No, właśnie, przecież żyjemy w końcu dwudziestego wieku. Jeszcze może sto lat temu moglibyśmy znaleźć takie wytłumaczenie. W starych książkach pisali o straszących tu i ówdzie duchach. Lecz dzisiaj? Powiedz, Jack, co o tym myślisz, bo inaczej gotowa jestem uwierzyć we wszystko.

– Wiesz, Mary? Nasuwa mi się tylko jedno przypuszczenie. Że to były projekcje, będące wynikiem jakiegoś eksperymentu...

– Dlaczego miałyby pojawić się akurat u nas, w naszym livingroomie? I to podczas oglądania przez nas telewizji. O, Jack. Pamiętasz, wtedy, gdy Blackie schował się pod szafkę i tak się dziwnie zachowywał, a ja zobaczyłam światełka, których ty nie widziałeś...

– Pamiętam.

– Więc ten eksperyment musiał zacząć się już wtedy... Lecz dlaczego właśnie wtedy, gdy oglądaliśmy telewizję, podobnie jak i dzisiaj?

– To zapewne przypadek.

– Może. Ale odtąd będę bała się włączyć telewizor. Nie uczynię tego, zanim coś nie wyjaśni się. Zanim nie będę wiedziała, co to było...

Sądzę, Mary, że to nie ma żadnego związku z oglądaniem przez nas telewizji. Ale pewne jest, że musimy o tym zawiadomić szeryfa. Cokolwiek by to było – a z pewnością jest to jakiś przeprowadzany bez naszej wiedzy eksperyment – nie może doprowadzać do takiego zdenerwowania, jak to się zdarzyło dzisiaj.

– Nazywasz to łagodnie:...zdenerwowaniem...

Małżonkowie opuścili livingroom. W sypialni znaleźli w nogach jednego z łóżek Blackiego. Nie żył. Był nienaturalnie skurczony, w jego złocistych, otwartych oczach zastygło przerażenie.

* * *

Gdy nadszedł piątek, dzień, w którym miał być transmitowany mecz piłki nożnej między „Atlantami” z Bostonu, a „Kolosami” z Los Angeles, Jack usiadł w swym fotelu jak czyni to przez długie lata. Nie włączył jednakże telewizora. Nie tylko dlatego, że prosiła go o to Mary, ale także dlatego, że po prostu... odczuwał lęk.

Szeryf Clark ze stanowej policji wysłuchawszy relacji Jacka oświadczył, że podobne „zjawiska” zameldowały mu liczne osoby z miasteczka. Obiecał zadzwonić gdzie trzeba, aby dowiedzieć się czy miasto jest ofiarą jakichś naukowych doświadczeń. Szeryf stwierdził, że sam nic nie widział, ponieważ nie miał ostatnio zupełnie czasu na oglądanie telewizji. A jego żona i dzieci przebywają u teściów w odległym stanie Oregon.

Jack odczuwał dużą pokusę, aby jednak włączyć aparat. Taki interesujący mecz! Dlaczego ma go nie obejrzeć tylko dlatego, że komuś gdzieś zachciewa się jakichś idiotycznych eksperymentów... Mary poszła do fryzjera, nie wróci wcześniej jak za dwie godziny. Więc...

Kiedy podjął odważną decyzję i już zamierzał włączyć zdalnie aparat, nagle rozległ się dzwonek u drzwi od mieszkania. Rad nierad poszedł otworzyć i po chwili ujrzał przed sobą Sama Nicholisa, właściciela sąsiedniego domku jednorodzinny.

Sam miał ściągniętą w nienaturalnym skurczu twarz.

– Jack! – wydyszał z trudem.

– Co się stało, na Boga?

– Jack!... Moja matka... Myślę, że nie żyje, ale nie jestem tego pewien. Mam popsuty telefon. Muszę zadzwonić po pogotowie.

Jack podszedł błyskawicznie do aparatu, nakręcił numer pogotowia i bez słowa podał słuchawkę Samowi.

Kiedy sąsiad upewnił się, że karetka przybędzie w ciągu kilkunastu minut, oparł się ciężko ręką o stół i rzekł cicho.

– Myślę, że matce nic już nie pomoże.

– Ale jak to się stało? Przecież nie dalej jak wczoraj widziałem starszą panią Nichols i zdawała się czuć jak najlepiej.

– Tak. Chociaż od pewnego czasu zaczęła uskarżać się na niedomagania sercowe. Nie było to jednak nic groźnego. Ale ja wiem, co ją zabiło.

– Co? – zapytał Jack.

– To te diabelskie świetlaki!

– Świetlaki? – zdziwił się Jack, choć domyślał się, o czym Sam mówi.

– Czyżby u ciebie nie pojawiły się?

– Tak. Jeśli masz na myśli te dziwne, świecące zielono kształty.

Mówię ci, to jest jakaś diabelska sprawa! Zauważyłem to po raz pierwszy trzy tygodnie temu. Kiedy zaczęło powtarzać się – zawsze podczas oglądania telewizji – pomyślałem, że to jest jakiś chwyt reklamowy, bo ja wiem... Ale to zaczynało być coraz bardziej straszne. Poszedłem do szeryfa, powiedział mi, że postara się sprawę wyjaśnić, zwłaszcza, że ma już kilkanaście podobnych meldunków... Zabroniłem mamie włączać telewizor i sam zrezygnowałem z oglądania programów. Jednak dzisiaj mama nie posłuchała mnie – chciała widocznie obejrzeć swój ulubiony serial... Kiedy wszedłem do pokoju, zobaczyłem jak te świetlaki tańczą jakby obok leżącego na podłodze ciała... Wyłączyłem zdalnie aparat i wtedy one zaczęły wolno niknąć. Zanim jednak zniknęły, jeden z nich ruszył ku mnie. Uciekłem i powróciłem do pokoju dopiero w kilka minut później, kiedy już ich nie było.

– Sam. Nic nie rozumiem... co to może być...

– Ja też nie rozumiem, ale boję się, że... Proszę cię, Jack... Chodź do mnie, zanim nie przyjedzie pogotowie. Ja po prostu...

– Dobrze – powiedział Jack i ruszył z Samem do jego domu.

Kiedy po kilku minutach pojawiło się pogotowie, lekarz stwierdził zgon pani Nichols. Patrzył dziwnym wzrokiem na Sama, wzdragał się jakby, ale wreszcie powiedział:

– Wszystko wskazywałoby na to, że matka pana została uduszona.

– Uduszona? – krzyknął Nichols.

– Tak. Chociaż brak jest tego rodzaju śladów, które pozostawia morderca, gdy jest on... człowiekiem. Sprawa jest więc bardzo tajemnicza. Niezrozumiała.

– Niezrozumiała?! – wybuchnął Sam Nichols. – Przecież to one zamordowały moją biedną

matkę.

* * *

Okazało się, że tego samego dnia zginęły – w podobny jak pani Nichols sposób – cztery osoby z miasteczka. Pośród nich szeryf Clark, który postanowił sam stwierdzić jak wyglądają owe zjawy pojawiające się tylko w pomieszczeniach gdzie włączone były aparaty telewizyjne.

Rosła trwoga, prawie nikt nie ważył się już włączyć odbiornika. Małe dzieci izolowano tak, aby nie mogły tego uczynić bez wiedzy rodziców. W kilka dni później ukazał się we wszystkich gazetach, a także na falach rozgłośni radiowych następujący komunikat:

„Do wszystkich mieszkańców kraju. Zawieszamy na czas nieokreślony pracę wszystkich stacji telewizyjnych. Powodem tej trudnej decyzji jest fakt, że zaobserwowano dziwne i groźne dla życia telewidzów zjawiska. Są one przedmiotem badań specjalnej komisji naukowej, która nawiąże współpracę z uczonymi innych krajów, w których wystąpiły analogiczne zjawiska. Na terenie Stanów Zjednoczonych stwierdzono dotychczas ponad siedem tysięcy ofiar śmiertelnych. Na całym świecie liczba ta, według nieoficjalnych danych, sięga czterdziestu kilku tysięcy osób. Prosimy obywateli o zachowanie spokoju. Apelujemy jednakże, aby dla własnego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa całego społeczeństwa nie włączać aparatów telewizyjnych niezależnie od braku programów. Stwierdzono bowiem, że groźne zjawiska, których natury jeszcze nie znamy, związane są z promieniowaniem jakie wytwarzają jedynie kineskopy. Przewodniczący naukowej komisji, profesor Sinclair Wilson z uniwersytetu nowojorskiego wysunął pewną hipotezę, której potwierdzenie lub zaprzeczenie przyniosą badania przeprowadzane obecnie w jego laboratorium, przy pomocy innych wybitnych uczonych. Będziemy się starali możliwie najszybciej podać do publicznej wiadomości wyniki tych badań.”

Mimo że komunikat ten powinien być odebrany, czy to za pośrednictwem prasy czy radia, przez wszystkich mieszkańców kraju, zanotowano na przestrzeni następnego dnia wiele dalszych ofiar. Były pośród nich dzieci, byli starcy, a także ludzie lekkomyślni czy też ciekawi, gotowi ryzykować swoje zdrowie, a nawet i życie, jeszcze gorzej było na terenie niektórych innych krajów, zwłaszcza, że były pośród nich i takie, w których nie zaprzestano pracy telewizji, uważając całą sprawę za jakiś humbug, za coś po prostu niemożliwego, chociaż potwierdzeniem były wciąż powtarzające się tragiczne fakty.

Prasa prześcigała się w sensacyjnych tytułach: CZYŻBY ZBRODNICZY EKSPERYMENT SZALONEGO GENIUSZA? CZYM SĄ ŚWIETLISTE LARWY? INWAZJA Z KOSMOSU, UPIORY GALAKTYCZNE, TELEWIZJA – GNIAZDEM ŚMIERCI. Jak się miało wkrótce okazać, niektóre z tych fantastycznie brzmiących tytułów miały być bliskie strasznej prawdy.

W kilkanaście dni po pierwszym komunikacie, ukazał się dodatek nadzwyczajny wszystkich dzienników. Drukowany wielkimi literami tekst brzmiał:

„Do mieszkańców całego świata! Przeprowadzone w szybkim tempie badania zarówno uczonych naszego kraju, jak i współpracujących z nami naukowców Związku Radzieckiego, Anglii, Francji, Indii, Japonii i innych państw doprowadziły do potwierdzenia hipotezy profesora Wilsona. Doszedł on mianowicie do wniosku, że przed kilkoma tysiącami lat rozsiane zostały na Ziemi zarodki z jakiejś planety. Przez długie wieki nie miały one żadnych możliwości rozwoju. Aż do chwili powstania telewizji. Ponieważ jedynie specyficzne właściwości promieniowania, jakie powstają podczas pracy odbiorników telewizyjnych mogły pobudzić zarodki do życia i wzrostu. Telewizja istnieje około czterdziestu lat. Ghorry – bo tak zostały nazwane kosmiczne istoty, rozwijały się stopniowo w towarzystwie ludzi oglądających programy telewizji, będąc jednakże dla nich niewidzialnymi. Dopiero na niedługi czas przed swym dojrzeniem zaczęły manifestować się wizualnie, a ostatnio w sposób agresywny w stosunku do mieszkańców Ziemi.

Gdyby nie decyzja – podjęta przez wszystkie rządy świata – zniszczenia (poza nielicznymi laboratoryjnymi) stacji nadawczych TV, gdyby nie odkrycie na czas niebezpieczeństwa, ghorry mogłyby na przestrzeni już nie najbliższych lat lecz miesięcy, podjąć próbę likwidacji rodzaju ludzkiego. Są to istoty o całkiem innej konsystencji fizycznej niż ludzie i zwierzęta. Walka z nimi byłaby niesłychanie trudna, a być może w ogóle niemożliwa wówczas, gdy osiągnęłyby już pełną dojrzałość. Nie osiągną jej, jeśli my, Ziemianie, na to nie pozwolimy. Badania przeprowadzone na izolowanych w laboratoriach naukowych, a bliskich ostatecznego stopnia dojrzałości ghorrach wykazały, że jeśli istoty te nie będą miały pokarmu w postaci promieniowania telewizorów przez okres najbliższych siedmiu lat, to zginą, ponieważ nie są zdolne przetrwać dłużej w stanie półdojrzałości.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że ghorry miały za swój cel opanowanie naszej planety. Świadczy o tym choćby liczba stu kilkunastu tysięcy zamordowanych przez nich ludzi, która byłaby tylko początkiem. Są to zapewne istoty posiadające jakiś rodzaj inteligencji, ale całkiem różnej od naszej, uniemożliwiającej jakiegokolwiek porozumienie.

Podpisano: Światowy Komitet Obrony Przed Ghorrami.

WIELKI SEN

Pograżamy się znów w Wielki Sen, my, część ludu Ysylvów, która nie mogąc znieść warunków życia panujących na tej niegościnniej planecie wybrała sen w głębi Urwistej Góry...

Pierwszy zlecił mi zapisanie wydarzeń, na wypadek gdyby pojawili się kiedyś tutaj nasi bracia z planety Aubis, która była domem naszych przodków. Pozostawiliśmy na szczycie góry znak, który zostanie na pewno dostrzeżony...

Wiemy, że przybyliśmy na ten glob strachu i okrucieństwa ogromnie dawno temu. Uległ awarii statek kosmiczny, którym przebywali przestrzeń międzygalaktyczną nasi przodkowie. Prawie wszyscy ocalili podczas lądowania. Ocalały też niektóre przyrządy w statku, choć on sam był rozbity. Zostały one przetransportowane do jaskiń, które stały się miejscem zamieszkania.

Lecz już od samego początku zaczęła się walka z tymi potwornymi istotami, kolosami o długich ogonach, pokrytymi pancerzami, o paszczach pełnych ostrych zębów. Były też istoty latające o długich, błotnistych skrzydłach, uzbrojone w podobnie drapieżne i groźne zęby, jak istoty lądowe i wodne.

Nasi przodkowie nie spodziewali się istnienia tych potworów, bo dotąd nie spotykali ich nigdzie. Toteż niektórzy z nich – zaskoczeni – zginęli, zostali pożarci. Przydały się bardzo resztki ocalałej broni. Można było skutecznie walczyć nią z potworami. Ale broń ta wystarczyła tylko na jakiś czas, później wyczerpały się baterie zasilające.

Następne pokolenia musiały kryć się przed potworami, wielu więc Ysylvów zmarło z głodu, nie mogąc podejmować wypraw po jadalne owoce rosnące w lasach, gdyż w każdej chwili mogli być zaatakowani. Ci, którzy przeżyli, z nadzieją patrzyli w niebo, mając nadzieję, że może nadejdzie pomoc z Aubis. Niestety, ani razu nie ukazał się na niebie żaden statek kosmiczny.

Nasi przodkowie nauczyli się poruszać zawsze gromadami. Uzbrojeni w długie, zastrzone kije, w metalowe części wygrzebane z wraku statku, mieli szansę stoczyć zwycięską walkę z pojedynczymi potworami, jeśli jednak było ich więcej...

Większość spośród ludu Ysylvów żyła krótko, zarówno ze względu na ciągłe ataki potworów, jak i ze względu na inne niebezpieczeństwa czyhające na planecie. Wreszcie za naszego, ósmego już z rzędu, pokolenia, część naszego ludu wybrała Wielki Sen, którego możliwość istniała i przedtem, ponieważ ocalał podczas niefortunnego lądowania na tym globie Usypiacz znajdujący się na statku. Jednak mieszkańcy planety Aubis używali Usypiaczy niezmiernie rzadko. Z dwóch powodów. Po pierwsze – uważając, że należy starać się odnieść zwycięstwo nad najtrudniejszymi choćby warunkami życia, zapanować nad wszelkimi przeciwnościami losu. A po drugie, że zapadając w Wielki Sen nigdy nie było wiadomo, jak długo będzie on trwał. Istniało ryzyko, że mógł on trwać nawet tak długo, że przebudzeni z niego

mogli stwierdzić, iż są jedynymi żyjącymi, ponieważ ich gatunek przeminął...

Odważyliśmy się jednak na to. My, część ludu Ysylvów pod wodzą tego, którego wybraliśmy Pierwszym. Reszta postanowiła toczyć nadal walkę o przetrwanie. Z dziką planetą i zamieszkującymi ją potworami. W imię przyszłości dla swoich dzieci i wnuków. Bo nie spodziewali się już żadnej pomocy znikąd. Uważali, że muszą podjąć próbę urządzenia się na stałe na globie, który nazwali Reą.

A my udaliśmy się do jaskini we wnętrzu Urwistej Góry, starannie maskując wejście tak, aby nikt nie mógł domyślić się jego istnienia. Ułożyliśmy się na specjalnie przygotowanych posłaniach i uruchomiliśmy Usypiacz.

* * *

Gdy przebudziliśmy się, dłuższą chwilę przychodziliśmy do siebie, aby uświadomić sobie na nowo nasze istnienie. Bo w czasie Wielkiego Snu nie wiedzieliśmy o nim, tym różnił się od zwyczajnych snów.

Byliśmy pełni lęku. Nie wiedzieliśmy ile upłynęło czasu od momentu gdy postanowiliśmy schronić się we wnętrzu Urwistej Góry przed niebezpieczeństwami życia na Rei. W ciągu tego czasu mogło się stać bardzo wiele. Nie przypuszczaliśmy, aby mogli przetrwać pozostali Ysylvowie, ci którzy wybrali walkę.

Kilku z nas miało opuścić jaskinię, aby przekonać się, co się dzieje na zewnątrz. Dodatkowym ich zadaniem było zbadanie możliwości zdobycia jakiegoś pokarmu, ponieważ obudzeni nie mogliśmy długo przetrwać bez pożywienia.

Byłem jednym z tych, którzy po przekroczeniu zamaskowanych korytarzy i otwarciu tajemnych drzwi znaleźli się pośród zielonych krzewów i ujrzeni nad swymi głowami błękit nieba. Było ono jaśniejsze niż kiedyś, nie miało tego granatowego zabarwienia jak dawniej. Także powietrze wydało nam się inne. Mniej wilgotne i w swojej suchości przeniknięte jakimś zapachem, którego nie pamiętaliśmy. Może zresztą tylko tak nam się wydawało. Drzewa były natomiast zdecydowanie inne. Małe, o wiele mniejsze niż wtedy... Miały inne pnie, inne konary, gałęzie i liście. Nie tak bujne i nie tak drapieżne jak tamte pamiętane przez nas, które zdawały się zazdrościć wyglądu przebiegającym pośród nich z głuchym dudnieniem zębatym potworom-gigantom.

Gdy skradaliśmy się pośród lasu, bojąc się, że w każdej chwili może nas zaskoczyć nieznaną wróg, a byliśmy przecież bezbronni, ujrzyliśmy kilka maleńkich istotek latających. Były mikroskopijne w porównaniu do tamtych, jakże dobrze nam znanych i pozbawione zębatych paszczek. Wydawały jakieś ciche dźwięki przyjemne dla ucha.

Idąc przez las nigdzie nie dostrzegaliśmy drzew owocowych. Zmartwiło nas to, lecz pocieszałyśmy się, że odnajdziemy takie drzewa gdzieś dalej. O ile oczywiście nie napadnie na nas jakiś wróg.

Las zaczął się przerzedzać i wyszliśmy na małą polankę. Stała na niej niewysoka budowla, coś co mogło przywoływać wizję siedzib naszych przodków z planety Aubis. Wiedzieliśmy o tego rodzaju siedzibach mieszkalnych z legend przekazanych ludowi Ysylvów przez tych, którzy przybyli tu z głębi kosmosu.

Jedno więc było już pewne. Że żyją na Rei jakieś istoty zdolne do budowania sobie siedzib. Trudno było uwierzyć aby przetrwali Ysylvowie, którzy wybrali walkę i nie schronili się w Wielki Sen. Byli to więc widocznie jacyś inni osadnicy na niegościnniej planecie. Nie wiedzieliśmy przecież absolutnie, ile mogło minąć czasu od chwili naszego zaśnięcia.

Zbliżyliśmy się ostrożnie do budowli na pół przytomni z wrażenia. Za chwilę mieliśmy bowiem spotkać się z tymi nieznanymi istotami, prawdopodobnie całkiem innymi od nas. Jakże się z nimi porozumiemy? Gdy byliśmy już blisko, usłyszeliśmy ostry dźwięk. Popatrzyliśmy na siebie. Była to widocznie mowa nowych mieszkańców Rei. Nie wydawała się przyjemna. Powiedziałem cicho do mych towarzyszy aby poczekał w zaroślach otaczających siedzibę, a ja spróbuję nawiązać kontakt.

Podszedłem do prostokąta bardzo zgrabnie zrobionego z drzewa, z połyskującym uchwytem. Już to świadczyło, że istoty zamieszkujące siedzibę musiały być zdolne technicznie, skoro potrafiły zrobić podobny wejściowy prostokąt. Zresztą cała budowla to potwierdzała.

Wykrzyknąłem głośno słowa powitania. Trudno było wprawdzie przypuszczać, aby obecne istoty mogły mnie zrozumieć, cóż jednak innego mi pozostało?

Odpowiedzią był ów nieprzyjemny głos, który usłyszeliśmy wcześniej. Powtórzyłem powitanie. Głos odezwał się znowu hałaśliwy, nerwowy, nieprzyjazny. Prostokąt nie otwierał się. Byłem zdziwiony, że nieznanne istoty nie chcą sprawdzić z kim mają do czynienia. Przecież mogły mnie dostrzec przez przezroczyste otwory w siedzibie. Mieszkańcy budowli ukrywali się jednakże i wyraźnie nie chcieli spotkać się ze mną.

Pomyślałem nagle, że być może są tak bardzo inni, że mogli uznać mnie za istotę niebezpieczną dla siebie. Tak, to by tłumaczyło ich zachowanie.

Zamierzałem już odejść zrezygnowany, gdy spojrzawszy w przezroczysty otwór w ścianie siedziby dostrzegłem jej mieszkańca. Był znacznie mniejszy ode mnie. Twarz jego była wydłużona i pokryta sierścią. W otwartych ustach które przypominały raczej paszczę szczerzyły się białe, ostre zęby... Stałem jak wryty, myśląc gorączkowo. – A więc na Rei zapanowała jakaś nieznaną rasą, małych wprawdzie, ale Potworów! Że potwór ten nie wyszedł ze swej siedziby i nie zaatakował mnie, zawdzięczać można było z pewnością tylko temu, że ja byłem od niego większy. Chociaż kto wie jakby się skończyło takie spotkanie, bo on miał paszczę pełną ostrych

zębów, a ja nie.

Znalazszy się wśród swoich, powiedziałem im co zaobserwowałem. Byli pod wielkim wrażeniem, choć starałem się ich uspokoić mówiąc, że z takimi Potworami będzie można dać sobie radę łatwiej niż z tymi, które prześladowały nas zanim zrezygnowani nie pogrążyliśmy się w Wielki Sen.

Odparli na to (nie bez racji) że Potwory inteligentne, zdolne do budowania sobie takich siedzib, muszą mieć jeszcze coś więcej aniżeli ostre zęby... A my nie mamy żadnej broni.

Mimo lęku, który i ja odczuwałem, postanowiliśmy kontynuować nasz zwiad, czekali przecież na jego wynik Ysylvowie pozostali w grocie.

Obraliśmy teraz inny kierunek, starając się kryć pośród drzew i krzewów. Po pewnym czasie usłyszeliśmy z dala jakiś hałas. Należało odkryć jego źródło bez względu na strach, który nas nie opuszczał. Staraliśmy się też zachować orientację w terenie, aby nie zbłądzić i nie narazić się na długie szukanie drogi powrotnej. Hałas spotęgował się, gdy zbliżyliśmy się do skraju lesistego wzgórza. Oprócz głośniego warczenia jak gdyby podrażnionych zwierząt, słychać było co raz przeraźliwe długie dźwięki trudne do zniesienia dla uszu.

Znalazszy się na wzgórzu wyrzeliśmy ostrożnie, kładąc się uprzednio na ziemię, aby ukryć naszą obecność. I oto, co dostrzegliśmy.

...Gładkie, szerokie pasmo ciągnące się skądś i zmierzające dokądś. Po paśmie tym pędziły z wielką szybkością jakieś stwory połyskujące w słonecznym świetle swymi różnobarwnymi pancerzami. Niektóre prześcigały się wzajemnie, wydając owe szczególnie przykre dla ucha dźwięki. Patrzyliśmy w milczeniu, bezgranicznie zdumieni. Najbardziej tym, że we wnętrzu tych pędzących przed siebie w zapamiętaniu po gładziźnie pasma stworów – byli ludzie.

Patrzyliśmy na siebie, drżąc. To było czymś najstraszniejszym, przekraczającym naszą zdolność pojmowania.

Lecz nie był to jeszcze ostatni z szoków, jakie przyniósł nam ten pierwszy dzień po przebudzeniu z Wielkiego Snu, nasza wyprawa w celu stwierdzenia jakie oblicze ma obecnie Rea.

Wracaliśmy w stronę Urwistej Góry, gdzie czekali Ysylvowie. Kim byli ci ludzie, których dostrzegliśmy na moment we wnętrzach połyskujących stworów? Czy moż-żliwe było jakiegokolwiek nawiązanie z nimi kontaktu?

Gdy mijaliśmy jedną z polan, idąc jej skrajem, usłyszeliśmy warczenie podobne do tego, jakie wydawały tamte stwory, ale trochę odmienne. Narastało, zbliżało się ku nam z powietrza. Podnieśliśmy do góry głowy. Nisko nad lasem pojawił się wielki ptak. Jego skrzydeł prawie nie było widać. Wirowały tak bardzo szybko, wydając zapewne owe pół-warczenie, pół-szum nasilający się z każdą chwilą gdy ptak nadlatywał nad nas, skamieniałych w bezruchu, nie

mogących od niego oderwać wzroku.

Zatoczył nad nami krąg, zniżając jeszcze swój lot. I wtedy dopiero dostrzeżliśmy, że przypomina tamte stwory pędzące po paśmie, posiada podobny pancerz, a wewnątrz niego znajdują się dwaj ludzie w niezwykłych ubiorach, patrzący na nas i mówiący coś do siebie. Ptak zatoczył jeszcze dwa kręgi i odleciał, choć wydawało nam się przez chwilę, że zamierza nas zaatakować.

Po jakimś czasie doszliśmy na tyle do siebie, że ruszyliśmy w dalszą drogę i udało nam się powrócić do groty.

* * *

Po wysłuchaniu tego, co mieliśmy do opowiedzenia, Pierwszy zamyślił się z pochyloną twarzą, a wszyscy inni Ysylvowie milczeli podobnie jak on. W półmroku wielkiej groty, do której docierały tylko wątle prześwity z kanałów doprowadzających do wnętrza powietrze, mój lud ważył w myślach uzyskane wiadomości, próbując zrozumieć ich sens. Wreszcie większość Ysylvów doszła do tego samego wniosku, a jaki to był wniosek, powiedział za wszystkich Pierwszy.

Nie wiadomo czy ci ludzie żyjący dzisiaj na Rei są potomkami Ysylvów, którzy niegdyś wybrali walkę z Potworami. Być może są to inni osadnicy przybyli z kosmosu... Tak czy inaczej ludzie ci są najwyraźniej podporządkowani owym stworom, we wnętrzu których przebywają. Są więźniami stworów, które z pewnością posiadają inteligencję, w przeciwieństwie do Potworów z jakimi walczyliśmy przed Wielkim Snem.

Gdybyśmy zdecydowali się opuścić grotę, z pewnością i my popadlibyśmy w niewolę, zostalibyśmy zmuszeni do stania się częścią owych ścigających się na gładkim paśmie, albo latających Nowych Potworów. Stare Potwory zabijały nas i pożerały. Nowe kazałyby sobie towarzyszyć, służyć w jakiś niezrozumiały dla nas sposób.

Sądząc po tej budowli na polanie... była ona siedzibą ludzi, a ów skarłały, zębaty Potwór tylko przypadkowym mieszkańcem... Tak więc można wyciągnąć wniosek, że ludzie zostali poddani władzy Nowych Potworów stosunkowo niedawno. Lecz my nie jesteśmy w stanie im nic pomóc. Zresztą bardzo prawdopodobne, że nie chcieliby żadnej pomocy, pogodzili się bowiem z losem jaki ich spotkał.

Nam nie pozostaje nic innego, jak pogрузić się powtórnie w Wielki Sen. Może, gdy przebudzimy się znowu, na Rei nie będzie już żadnych Potworów. A może będą tylko one.

JAŚ I MAŁGOSIA

Jaś i Małgosia szli drogą wiodącą do lasu. Prowadziła ona wzdłuż niewielkiego jeziora, nad którym przelatywały dzikie kaczki i inne ptaki. Jaś i Małgosia szli do Dużego Lasu po raz pierwszy razem. Obyczaj ich plemienia pozwalał na to młodym wtedy, gdy dziewczyna kończyła lat szesnaście, a chłopiec osiemnaście. Prowadził swą wybrankę na jedną z ustronnych polan pokrytych gęstą trawą, gdzie nikt nie mógł ich podglądać, chyba tylko któreś ze zwierząt. Zwierzęta w Dużym Lesie były niegroźne dla ludzi. Właściwie to nie wiadomo dlaczego, lecz istniało między nimi a plemieniem coś w rodzaju przyjaźni. Zdarzało się, że w okresie zimy ludzie wynosili zwierzętom na skraj lasu pożywienie, część zebranych przez siebie na uprawianych polach plonów, oraz zgromadzonych jesienią owoców. Zwierzęta natomiast niekiedy ratowały ludzi tonących w jeziorze, lub niedalekiej rzece – dotyczyło to zwłaszcza słabo umiejących pływać dzieci.

Tak więc Małgosia i Jaś nie bali się Dużego Lasu, do którego zmierzali aby uświęcić swoją miłość. Bo musiało to stać się na łonie natury, a podobny ślub spełniały nie tylko młode pary, ale i starsze, dopóki tylko zdolne były do współżycia fizycznego, trzy razy do roku, na wiosnę, w lecie i w jesieni.

Kiedy słońce poczęło się wolno schylać ku zachodowi, weszli w cień pierwszych wysokich drzew i w zapach gęstych krzaków, na których rosły smaczne, różowe jagody zwane słodkawkami. Zatrzymali się, zrywając ich trochę i podając sobie wzajemnie na złożonych dłoniach. Śmieli się do siebie przy tym, a w pewnej chwili Jaś ucałował mocno Małgosię w szyję, a później w usta. Schwyciła swoją ręką jego dłoń i płasając na pół dziecinnie po drodze, pobiegli leśną ścieżynką.

Byli już niedaleko polany, którą obrali sobie oboje podczas osobnych dotąd wypraw do lasu na miejsce swego pierwszego miłosnego spełnienia. Przystanęli i popatrzyli na siebie z nagłą powagą.

– To już blisko – rzekła cicho dziewczyna.

– Tak. Już blisko – powtórzył chłopiec.

Naraz z gąszczu po lewej stronie ścieżki wyłonił się jelen. Wyszedł naprzeciwko nich jakby zagradzając drogę. Skłonił parę razy głową w kierunku skąd przyszedł, potem patrzył na nich uważnie okrągłymi, lśniącymi oczami. Nozdrza mu drgały, pysk miał lekko rozchylony jak gdyby chciał coś powiedzieć. Ale nie mógł, bo był przecież tylko zwierzęciem.

Podeszli do niego i usunęli go delikatnie z drogi, głaszcząc po miękkim, brązowym karku. Stał na ścieżce i patrzył za nimi, dopóki nie znikli na zakręcie ścieżki.

Przemknął nad nimi z furkotem skrzydeł wielki ptak. Wzniósł się nad drzewa, zawrócił i znów znizywszy lot przeleciał tuż nad ich głowami. Zakrzyczał coś w swym ptasim języku.

– Wiesz – powiedziała Małgosia. – Zwierzęta są jakby niespokojne. Dlaczego?

Jaś pogłaskał dziewczynę po włosach i powiedział:

– Nie. Witają nas po prostu. Widocznie dawno już nie widziały tak ślicznej dziewczyny jak ty!

Małgosia roześmiała się. Nie wydawała się być wcale zawstydzona komplementem chłopca.

Minęli parę kęp wysokich drzew na brzegu polany Słońce oświetlało ją jeszcze jasno, dlatego oślepieni na moment jego ciepłymi promieniami, nie dostrzegli z początku tego, co znajdowało się nieco z jej prawej strony. To coś było czarne i duże, przypominało od spodu chatkę, ale nad jej pozbawionym kantów dachem znajdowały się trzy kule, jedna obok drugiej. Kule stały się chwilami jaśniejsze od słonecznego światła, lecz zaraz ciemniały gwałtownie, by po pewnym czasie zapłonąć na powrót.

Jaś i Małgosia stali oszołomieni, nie wiedząc co zrobić. Chcieli odruchowo cofnąć się poza drzewa, aby mieć czas na zastanowienie czym mogło być to, co zastali na polanie. Lecz było już za późno. Jedna z kul zapłonęła jeszcze jaśniej od pozostałych, oderwała się od „dachu” przedziwnej chaty i poszybowała błyskawicznie ku nim. Gdy znalazła się nad nimi, zawirowała nad ich głowami. Osunęli się na murawę, zemdleni.

* * *

Znajdowali się w obszernej izbie, która była klatką izolowaną od reszty wielkiego pomieszczenia. Leżeli osobno na wąskich posłaniach, do których byli przymocowani za pomocą kolorowych sznurków tak mocno, że kiedy Jaś spróbował poruszyć choćby odrobinę lewą ręką, naprężając najbardziej jak tylko mógł mięśnie, poczuł jedynie ostry ból, a sznur nie ustąpił ani trochę.

Patrzyli na siebie w przerażeniu, nie wiedząc co powiedzieć. To, co im się przydarzyło, przekraczało zdolność ich pojmowania. Wszędzie wokół nich było jasno, przeraźliwie jaskrawo. Na powierzchniach rozciągających się poza przezroczystymi taflami sześcianu, wewnątrz którego się znajdowali, pobłyskiwały jakieś przedmioty, niektóre z nich zdawały się poruszać.

Nagle w jednej z zewnętrznych powierzchni powstał obszerny otwór, przez który weszła do środka jakaś postać. Postać była straszna. Miała wprawdzie coś w rodzaju nóg i rąk (raczej łap), lecz była niepodobna ani do żadnego z ludzi, ani zwierząt. Była pokraczna i ciężka, a jednocześnie niezwykle zwinna, szybka w ruchach, gdy przemykała wzdłuż jaskrawych powierzchni, zatrzymując się przy owych wiszących i poruszających się tajemniczych przedmiotach, przytykając do nich drgające koniuszki swych górnych łap.

Po niedługim czasie poczwara wyszła tak samo jak przedtem się pojawiła. Jaś i Małgosia zostali znowu sami. I wtedy jakby coś zaświtało w głowie dziewczyny, odezwała się po raz

pierwszy od chwili gdy poraziła ich na łące wirująca kula i gdy znaleźli się tu gdzie byli.

– Jasiu...

Chłopiec spojrział na dziewczynę z bólem i jakby wstydem, że nie jest zdolny nic zrobić w tej sytuacji, która przerastała nieskończenie ich oboje, której nie był w stanie nawet zrozumieć.

– Małgoś?

– Wydaje mi się, że wiem, co nam się przydarzyło. Przypomniałam sobie co opowiadała mi kiedyś, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką, matka mojej matki. To była mądra kobieta, chociaż wielu ludzi z niej się śmiało, ponieważ mówiła niekiedy takie niezwykle rzeczy...

– Niezwykle?

– Tak. Opowiadała rozmaite historie, które zapomniałam. Nie tylko dlatego, że byłam mała, ale także dlatego, że matka nie pozwalała mi ich słuchać mówiąc, że nie trzeba mnie straszyć. Bo po co słuchać takich zmyślonych przez kogoś w dawnych czasach historii, skoro wiadomo, że nam, ludziom, przyjazne są nawet najdziksze zwierzęta... Przypomniałam sobie teraz, gdy tu jesteśmy, że matka mojej matki opowiadała, że czasem Duży Las może być niebezpieczny. Bo pojawia się w nim Latająca Chata, w której mieszka i podróżuje po świecie taka nieludzka i niezwierzęca istota, która zwie się BA-BA-JA-GA... I, że ta istota zwabia ludzi, zwłaszcza młodych, oraz dzieci i...

– I co?

– I pożera ich!

– Jak to pożera? Przecież my, ludzie, nie pożeramy zwierząt, a one nie pożerają nas. Więc jak to możliwe, żeby...

– A jednak tak mówiła matka mojej matki. Strzeż się teraz, gdy jesteś małą dziewczynką i kiedy będziesz większa, idąc do Dużego Lasu, kiedy nad niebem przeleci niezwykła gwiazda. Obojętnie: w dzień, czy w nocy. I tak będzie można dojrzeć jej blask, bo jest większy od słonecznego...

– Małgosiu – krzyknął chłopiec usiłując zerwać się ze swego posłania mimo bólu i mimo wiedzy, że jest to daremne. – Ja widziałem chyba taką właśnie gwiazdę!

Po chwili milczenia dziewczyna zapytała.

– Kiedy?

– Przedwczoraj. Wraciałem właśnie do domu z koszem owoców. Był zmierzch. I ujrzałem gwiazdę spadającą w kierunku... tak! W kierunku Dużego Lasu. Żebyś powiedziała mi wcześniej, to...

Przerwał.

– Nie mogłam ci powiedzieć, bo jeszcze nie pamiętałam... Bo nie przypuszczałam, że matka mojej matki mogła mówić prawdę... Gdyby jeszcze żyła, może by dostrzegła gwiazdę,

a przynajmniej dowiedziała się o jej locie i ostrzegła mnie. A tak... Pewnie widziałeś ją nie tylko ty. Ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Ponieważ...

– Ponieważ wszyscy wzięli ją za jedną z tych zwykłych gwiazd, które spadają z nieba latem i jesienią – dokończył Jaś.

– Tak. I dlatego również, że nikt dziś nie wierzy w BA-BA-JA-GE. I w jej Latającą Chatę.

Zamilkli. Tajemnicze przedmioty na jaskrawych płaszczyznach poruszały się bezgłośnie. Jaś i Małgosia patrzyli na siebie z rosnącą rozpaczą w oczach.

– I co będzie z nami – odezwał się tym razem pierwszy chłopiec.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Tylko w jej oczach ukazały się łzy.

Kiedy Jaś i Małgosia obudzili się, stwierdzili że leżą swobodnie na swych posłaniach, że znikły owe kolorowe więzy uciskające ich ciała. Podnieśli się i spojrzeli na siebie. Małgosia uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Jaś pochwycił ją i ścisnął w swojej.

– Wiesz, o czymś myślałam i... zapomniałam. Gdzie my jesteśmy?

– Nie wiem – odparł chłopiec. – Ale czy to takie ważne? Lepiej chodźmy stąd do domu...

– Domu? – zdziwiła się dziewczyna. – A czy to – zatoczyła wkoło ręką – nie jest nasz dom?

Jaś zastanowił się.

– Myślę, że nie. Że byliśmy tu tylko z wizytą.

– U kogo?

– Nie wiem. Może przyszliśmy tu, kiedy nikogo nie było i zdrzemnęliśmy się trochę.

– A gdzie jest ten ktoś, do kogo przyszliśmy?

– Nie wiem. Boli mnie głowa, Małgosiu.

– Mnie też.

– To wyjdźmy stąd.

– Ale nie widzę żadnego wyjścia – popatrzyła na niego z nagłym przestraczem.

– Jak to nie widzisz? Popatrz!

Powiodła w ślad za jego wzrokiem. Rzeczywiście w jasnej ścianie ciemniał otwór jakby zapraszający do wyjścia.

Wstali i biorąc się za ręce ruszyli w stronę otworu. Za chwilę znaleźli się w wąskim korytarzu, u jego wylotu widniała plama światła, jednak mniej jaskrawego niż w pomieszczeniu, które opuścili. Już mieli ruszyć w tym kierunku, gdy Małgosia przystanęła. Dojrzała bowiem jakieś zielone światełko mrugające z prawej strony korytarza. Zaciekawiona pociągnęła w jego stronę chłopca.

– Spójrz. Tu są też chyba jakieś drzwi.

– No to co?

– Ciekawa jestem co za nimi jest?

– Chodźmy lepiej do domu – mruknął chłopak. – Chce mi się jeść. Widocznie nic tu nie znaleźliśmy, zanim zasnęliśmy. A tego, do kogo przyszliśmy jak nie ma, tak nie ma. Mógłby chociaż zostawić coś do zjedzenia. A swoją drogą nie rozumiem, dlaczego nie mogę sobie przypomnieć do kogo tu przyszliśmy. Boli mnie głowa...

– Mnie też – odparła dziewczyna. – Ale zanim wyjdziemy, muszę koniecznie przekonać się co jest za tymi drzwiami. Po prostu muszę.

– Ale przecież są zamknięte.

– Zobacz, tu są jakieś guziczki. O, jeden, drugi, trzeci. Spróbuję nacisnąć!

Zanim Jaś zdążył cokolwiek odpowiedzieć, nacisnęła pierwszy z guzików. Drzwi otworzyły się. Ukazał się korytarzyk węższy od tego którym szli przed chwilą.

– Chodź.

– Po co?

– Boisz się?

– Ja? – Chłopak ruszył odważnie w głąb korytarzyka.

Po zrobieniu kilkunastu kroków znaleźli się w niewielkiej salce. Jej środek zajmował sześcian o przezroczystych ścianach, znacznie mniejszy jednakże od tego, który opuścili przed niewielu minutami.

Patrzyli na dwa młode ciała znajdujące się za ścianami, ciała śpiącej dziewczyny i chłopca. Później spojrzeli na siebie nawzajem.

– Przecież on jest zupełnie podobny do ciebie – stwierdziła Małgosia z wielkim zdumieniem.

– Przecież ta dziewczyna, to... – nie dokończył przerażony Jaś.

Stali i patrzyli na tamtych, śpiących, nieruchomych, a jednak żywych podobnie jak i oni.

– Co to znaczy? – szepnęła Małgosia.

– Nie wiem, ale uciekajmy stąd szybko!

Gdy przebiegali tych kilkanaście kroków dzielących ich od korytarza wejściowego, usłyszeli jakieś piskliwe dźwięki, które skłoniły ich do jeszcze szybszego biegu ku krańcowi korytarza, gdzie z pewnością było wyjście.

Gdyby zdolni byli rozumieć owe dźwięki, usłyszeliby następujący komunikat składany przez GVS 3481 Dyspozytorowi odległemu o setki tysięcy lat świetlnych.

– ZADANIE WYKONANE. ALE OMYŁKA CO DO SERWKÓW. ZBYT INTELIGENTNE. ZATRĘ. WRACAM Z PRÓBKĄ ZGODNIE Z ROZKAZEM.

* * *

Jaś i Małgosia szli szybko przez polanę oblaną łagodnym, porannym światłem słońca. Na

gałęziach drzew odzywały się przebudzone niedawno ptaki. Chłopiec i dziewczyna nie oglądali się za siebie. Nie dostrzegli więc, jak z polany poderwał się wielki, nieforemny kształt i poszybował błyskawicznie prosto w górę, w niebo. Małgosia odezwała się, kiedy już znaleźli się na ścieżce leśnej.

– Gdzie my właściwie byliśmy?

Jaś odparł, patrząc na nią pobłaźliwie.

– Na spacerze. Na spacerze w Dużym Lesie. Przyszliśmy tu przed zachodem słońca, a później... – przerwał na moment... – Później zasnęliśmy.

– A czy nie martwią się o nas we wsi?

– Myślę, że nie – odparł z pewnym wahaniem, a później dokończył z nagłą stanowczością. – Ostatecznie jesteśmy już dorośli. I byliśmy razem w Dużym Lesie.

Dziewczyna myślała przez chwilę, a potem rzekła.

– A ja pamiętam, że bolała mnie bardzo głowa. A przedtem... Przedtem coś się zdarzyło. Nie pamiętam tylko co...

Jaś powiedział z pewnym zniecierpliwieniem w głosie.

– Małgosiu. Po prostu byliśmy razem w Dużym Lesie. I to wszystko. Będziemy tam chodzić raz na jakiś czas, chyba, że...

– Że co? – zapytała dziewczyna, spokojnym już głosem.

– Że... Nie wiem właściwie... Nic. Tak tylko jakoś mi się powiedziało. Chodź, czas już najwyższy na śniadanie.

– Zobacz, tu rosną jakieś jagody. Spróbujmy ich.

Zerwała kilka okrytych poranną rosą słodkawkę i podniosła je do ust. Natychmiast je jednak wypluła.

– Pfuj! To niedobre!

Szli szybko ścieżką przez las. Ujrzeni naraz jakieś zwierzę, zastępujące im drogę, patrzące na nich uważnie błyszczącymi, okrągłymi oczami.

Przystanęli. Jaś rozejrzał się, podniósł z ziemi grubą gałąź i zamachnął się na zwierzę.

– Precz z drogi, bydlę!

Zwierzę stało jeszcze przez chwilę obrzucając ich nieruchomym spojrzeniem, potem weszło wolno w gąszcz, obejrzawszy się raz jeszcze zanim zniknęło.

Wysoko nad głowami Jasia i Małgosi przelatywały ptaki, krzyżąc coś do siebie, jakby przekazując tylko sobie wiadomą wieść. Były to mądre ptaki. Tylko one odkryły prawdę. Dlatego nie obniżały swego lotu, jak wczoraj, gdy młoda para wchodziła do Dużego Lasu. Bo tamci Jaś i Małgosia byli im dobrze znani.

POD BIAŁYMI OBŁOKAMI Leżałem pod białymi obłokami. Słońce nagrzewało moje

ciało, rozciągnięte pośród dzikich traw i ziół, równomiernie i nie męcząco. Byłem pełen nieokreślonej radości, jaka zdarzała mi się tylko w niektóre, wybrane, pogodne dni lata, kiedy nie musząc myśleć o żadnych nudnych i nużących sprawach codzienności, oddawałem się kontemplacji świata zewnętrznego. Tego świata, który nie był jeszcze skażony dotknięciem rąk ludzkich. On jeszcze istniał, choć było go z każdym rokiem coraz mniej. Lecz wiedziałem, że jest on mimo wszystko silniejszy od człowieka. I jeśli pozwala mu się brukać, to tylko dzięki swej wielkiej cierpliwości.

Byłem sam z przyrodą, choć świadom tego, że gdzieś, całkiem już niedaleko, czyhają zabijające zieleń dymy, czyhają rozmaite hałasy, wśród których milkną najodważniejsze nawet ptaki. Nie byłem tu wrogiem, choć mogłyby wydać mi przecież złe świadectwo choćby te zioła zgniecione moim leżącym na nich ciałem...

Patrzyłem na białe obłoki sunące wolno pod przezroczystym niebem, przyspieszające niekiedy swój bieg, kiedy powiał wiatr od dalekich mórz, wiodące swój beztroski taniec ku chwale światła ponad planetą.

Prawie zasnąłem w poczuciu błogości, która zdawała się wykraczać poza mnie, nie dotyczyć moich własnych uczuć, myśli, ani nawet doznań zmysłowych. Czułem się włączony we wszystko, choć przecież nigdy nie miałem do czynienia z praktykami Zen czy im podobnymi, o których tylko słyszałem albo czytałem.

Nagle usłyszałem cichutki lecz bardzo wyraźny szept, wobec którego śpiew świerszcza wydawałby się krzykiem.

– Duży Człowieku!

Nie otwierałem oczu, ponieważ wydawało mi się, że szept ów należy do pólenu w jakim się znajdowałem. Lecz kiedy poczułem na swym ramieniu lekkie łaskotanie i usłyszałem coś w rodzaju figlarnego śmieszku, gdyby można śmiać się szeptem – spojrzałem najpierw na płynące wolno nadal, chociaż już inne obłoki, a następnie, odwróciwszy głowę, na lewe ramię.

Ktoś zerwałby się pewnie w przerażeniu, choć nie było w tym widoku nic okropnego, wręcz przeciwnie. Lecz ja nadal byłem przecież oderwany od (tak zwanego) realnego świata i związanych z nim wyobrażeń. Na moim zbrązowiałym od słonecznych promieni ramieniu siedziała para maleńkich istotek o ludzkich kształtach, nagich i pięknych niby mityczni Adam i Ewa w dniu stworzenia. Jedyny szczegół który ich różnił od tamtej pary, to były skrzydełka, takie, jakie stare legendy przypisywały elfom. Patrzyłem i czekałem.

– Wiedzieliśmy, że możemy z tobą porozmawiać. Tak bardzo rzadko zdarza nam się rozmawiać z ludźmi. Kiedyś, dawno, to było łatwiejsze. Zresztą i nas było więcej. A was mniej. Nas niedługo może w ogóle już nie będzie. Lecz na razie jesteśmy, a dopóki jesteśmy, chcielibyśmy czasem porozmawiać z ludźmi, jak dawniej...

– Kim jesteście? – zapytałem prawie szeptem, bałem się bowiem, że mój głos...

Natychmiast jednak zrozumiały to i rozproszyły moje obawy.

– Nie bój się. Jesteśmy przyzwyczajeni do znacznie większych hałasów, niż normalne brzmienie twego głosu. Przecież nasze życie upływa głównie pośród obłoków. I zdarza się nam nieraz spotykać z tymi waszymi maszynami latającymi. My możemy słyszeć tylko na miarę naszych możliwości. Dlatego nie to nas zabija. Ale to, że obłoki są coraz rzadziej naprawdę białe. Że zamiast nich pojawiają się czarne chmury pełne deszczu, złego deszczu. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– ...Kim jesteśmy? Po prostu bardzo małymi – w porównaniu z wami – skrzydlatymi ludźmi, których przyroda stworzyła kiedyś w zamierzchłych czasach, podobnie jak i was... Nasz gatunek nie ma żadnej nazwy, bo i po co? To tylko wy, Duzi Ludzie nazywaliście nas różnie spotykając się z nami, co zresztą nie zdarzało się zbyt często, gdyż zależało to od nas. Byliśmy dla was zawsze nieuchwytni, w przeciwieństwie do innych małych ludzi, zwanych przez was „krasoludkami”. Ich już, prawie nie ma, bo zabrakło dla nich miejsca na planecie, w miarę jak wy opanowywaliście całą Ziemię. Przyroda nie przewidywała chyba tego. Stworzyła was, Dużych Ludzi, nas, żyjących w powietrzu, oraz „krasoludki”... My żyjemy, po prostu żyjemy, ciesząc się słońcem (którego światło jest dla nas jedynym pokarmem), unosząc się nad planetą i podziwiając jej piękno... Chyba trudno ci to zrozumieć, chociaż wiemy, że należysz do tych nielicznych Dużych Ludzi, którzy doceniają wartość samego istnienia. Nie goniąc wyłącznie w głupim pośpiechu i krzątaninie za tym wszystkim, co nazywacie „tworzeniem materialnej cywilizacji...”

Przyroda, dając wam przywileje, jednocześnie upośledziła was. Bo wy nie możecie karmić się słonecznymi promieniami. Musicie starać się o pokarm i wiele innych rzeczy. Jednak kiedyś i wasz gatunek był szczęśliwy. W tych czasach, które dzisiaj wydają się wam czasami prymitywizmu. Wtedy także i wy, Duzi Ludzie, byliście dziećmi przyrody, a nie niewolnikami waszego rozumu, który zaczął wywyższać się, dążyć do celów przekraczających konieczne potrzeby...

Na to nie mogłem się zgodzić. Powiedziałem więc do maleńkiego Adama, który już wraz ze swą towarzyszką opuścił moje ramię i siedział po prostu w powietrzu, tuż nad murawą, trzepocząc od czasu do czasu swymi złocistymi skrzydełkami:

– Jesteście bardzo sympatyczni oboje. Cieszę się, że mogłem was poznać. Ale wydaje mi się, że to, co mówiłeś, niezupełnie jest słuszne. Oczywiście wy myślicie inaczej żyjąc pod białymi obłokami. Trudno więc wam zrozumieć pewne rzeczy. Nie chcę bronić nas, współczesnych „Dużych Ludzi”. Bo rzeczywiście zabrnęliśmy w coś, co obraca się przeciwko nam. Ale z drugiej strony... Nam by nigdy nie wystarczyło wędrowanie pośród obłoków i cieszenie się samym faktem istnienia. Bo pragniemy również zrozumieć wiele rzeczy. Choćby to, po co

w ogóle istnie jemy...

Mały Adam wyszeptał z niejaką złośliwością.

– Czy to pragnienie zrozumienia przynosi wam szczęście?

Zastanowiłem się. Popatrzyłem na drzewa, nad którymi wciąż przesuwały się białe obłoki.

– Szczęście? Chyba nie. Ale pewien rodzaj radości – tak. Większość z nas goni istotnie za tym, co nie ma ani wartości, ani znaczenia z filozoficznego punktu widzenia. Lecz najlepsi z nas spełniają przeznaczenie swego gatunku: przekraczania kolejnych granic, rozwijania świadomości, która jest dla nas najbardziej cenną ze wszystkiego, czym obdarzyła nas przyroda. Czy wy tego nie rozumiecie?

Tak – powiedziała nagle mała Ewa, przyfruwając bliżej mnie, tak, że jej poruszające się szybko skrzydełka musnęły w locie moją twarz. – Rozumiemy wiele rzeczy, bowiem my także myślimy, zastanawiamy się nad różnymi sprawami. Nie jesteśmy takimi prostodusznymi „duszkami”, jakie ukazują wasze książki, zaliczane do „bajeczek” dla dzieci... Eo chciał cię po prostu... wypróbować. On już jest taki.

– Dobrze, że mu to powiedziałaś, Liv – zaszeptał znów jej towarzysz – dostrzegłem, że uśmiecha się. – Nie gniewaj się, Duży Człowieku... Nam przyroda dała także świadomość. Tylko, że my jesteśmy pogodzeni z naszym życiem, a także z jego końcem, który przychodzi nagle, zupełnie niezauważenie. A wy – nie. I może właśnie dlatego staracie się utrwalić w rozmaity sposób. Począwszy od pisanych przez was książek, a skończywszy na piramidach czy na ogromnych wieżach... A nam nie zależy nic a nic na utrwalaniu się. Może dlatego właśnie, że żyjemy nie na powierzchni Ziemi, lecz w powietrzu... Pośród obłoków, które są tak nietrwałe. Jedne przestają istnieć, a na ich miejsce rodzą się pod światłem słońca nowe. I tak w nieskończoność.

– Naprawdę żyjecie tylko chwilą, która trwa, dopóki trwa? – zapytałem.

– Naprawdę – odpowiedziała za siebie i swego towarzysza Liv.

– To po co wam właściwie ta wiedza, którą posiadacie choćby o nas, o naszych sprawach?

Liv zatrzepotała znów złocistymi skrzydełkami.

– Po to choćby, aby niekiedy móc porozmawiać z wami, Dużymi Ludźmi. A poza tym, po to, aby nie być gnuśnymi, hedonistycznymi „elfami”, które by tylko bawiły się, kochały ze sobą i piły niby wino światło słoneczne, niewiele różniąc się od motyli...

Teraz ja się uśmiechnąłem.

– Żałuję – powiedziałem – że nie mogę razem z wami unieść się w powietrze i poszybować tam – pod niosłem głowę i spojrzałem w stronę białych obłoków.

Marzyłem o czymś takim od dziecka. Nie o podróży samolotem. Ale właśnie, aby pofruwać na własnych skrzydłach. I wielu innych ludzi, całkiem dorosłych, bardzo by tego pragnęło. Szkoda, że przyroda nie dała nam skrzydeł jak wam, może wówczas Duży Człowiek byłby mniej

wrogi wobec innych ludzi...

– Właśnie to jest najokropniejsze – powiedziała Liv – że wy potraficie się zabijać.

– Tak – odparłem smutnie. – To jest najbardziej krzywa z krzywych ścieżek naszego gatunku.

– Wiesz – odezwał się teraz Eo. – Nawet nas próbowano wykorzystać w tym celu.

– jak to? – zdziwiłem się.

– Zdarza nam się czasami popełnić omyłkę. Nawiązując kontakt z ludźmi, którzy... Zdarzyło to się i mnie. Człowiek, którego spotkałem po drugiej stronie wielkiego morza, wydawał się być podobny do ciebie. Rozumiał przyrodę i kochał ją jako swoją matkę. A jednocześnie... Zdolny był do nienawiści wobec innych ludzi. Pragnął nakłonić mnie, a za moim pośrednictwem i innych spośród nas, abyśmy podjęli się „służby wywiadowczej” na rzecz jego państwa.

– Wywiadowczej?

– Uważał, że my nadajemy się idealnie na szpiegów, wykrywających nieprzyjacielskie bazy pocisków atomowych.

Milczałem. Odczuwałem wstyd, który przecież nie był moim wstydem, lecz bądź co bądź zaliczałem się do Dużych Ludzi..

Rozległo się przytłumione z początku, a później potęgujące się buczenie. To był wielki bąk. Krążył koło mnie. Nie mogłem powstrzymać się od odruchu lęku. Nie lubiłem i bałem się tego rodzaju owadów: bąków, szerszeni, os...

Bąk odleciał ode mnie i przysiadł na kępce koniczyny. Wtedy Liv podfrunęła, niewiele większa od niego, i zaczęła głaskać jego brunatnożółte futerko. Wydawał się być zadowolony z pieszczoty niby kot. Bzykał cicho. A po paru chwilach wzniósł się w powietrze i odleciał.

– Czy was jeszcze kiedyś zobaczę? – zapytałem.

– Może tak, a może nie – zaszeptał Eo. – Wędrujemy po całym, wielkim świecie. Razem z białymi obłokami. W tym czasie gdy tu jest zimno, przebywamy w tych stronach Ziemi, gdzie jest wciąż niezmiennie słoneczne światło i ciepło. Z pewnością zawędrujemy tu znów na wiosnę albo w lecie. Ty nas pewnie zapamiętasz, bo to była dla ciebie przygoda, to spotkanie z nami... Ale czy my zapamiętamy ciebie, nie wiem. Spotkamy więcej ludzi podobnych do ciebie, takich z którymi można porozmawiać. Myślę, że będą oni istnieć na Ziemi równie długo jak i my... Jeśli przybędziesz tu, na tę polanę w przyszłym roku, może któregoś dnia pojawimy się znów. A jeśli nie my, to któryś z naszych braci albo sióstr. Do zobaczenia zatem, Duży Człowieku, Do zobaczenia – powiedziałem patrząc jak podrywają się do lotu, zawisłszy na moment na wysokości mojej twarzy – Liv pomachała na pożegnanie swą maleńką rączką – a później wznosząc się szybko, znikając z zasięgu mego wzroku, ku białym obłokom płynącym nieprzerwanym korowodem poprzez przezroczyście, letnie niebo.